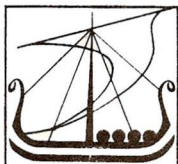


ARTUR

Lundkvist

WOLA NIEBA



SERIA DZIEŁ PISARZY
SKANDYNAWSKICH

WYDAWNICTWO POZNANSKIE

ARTUR
Lundkvist

WOLA NIEBA

PRZEŁOŻYŁ
ZYGMUNT ŁANOWSKI

POWRÓCIŁ DO Karakorum z dawna oczekiwany, od dawna w drodze, poprzedzony wiadomościami o zwycięstwach odniesionych na zachodzie i nie wysychającym strumieniem łupów wojennych.

Przebywał tak daleko i tak długo, że powstało nie wypowiedziane pytanie, czy w ogóle kiedyś wróci, czy wyprawa wojenna nie poprowadzi go coraz to dalej, aż wreszcie poza granice świata.

A teraz powrócił, nagle jest między nimi i jego obecność jest odczuwalna wszędzie, niczym sprężenie w napinanym łuku, ciśnienie silnego wiatru, ale także jak świeżość na górskim zboczu w czasie topnienia śniegów.

I wielu stawia sobie ciche pytania: czy się postarzał, czy jest zmęczony, czy złagodniał, czy ma już dość wojny i podbojów, czy przebywać już teraz będzie w Karakorum przez dłuższy czas pokoju?

Czy też pozostał nie zmieniony i niezmienny, bez wieku, nigdy nie zadowolony z tego, co osiągnął, czy wkrótce znowu nie zacznie wojny i nie wyruszy na nowe podboje w nowych stronach świata?

Nikt nie mówi o nim po imieniu, nawet on sam nie używa swego imienia, zabronione jest pisać je inaczej jak tylko złotem, jest Chanem i to wystarczy, nikt nie pomyli go z innymi chanami.

Nie przystoi mu kazać wyróżniać się szczytnymi tytułami i atrakcyjnymi określeniami, nie musi nazywać się tym, kim jest: Władcą nad wszystkimi Mongołami, przedstawicielem Wiecznego Błękitnego Nieba na ziemi, Panem świata.

Jakież to różne czasy panują na świecie? Uczeni Chana z wszystkich stron świata mogliby wyjaśnić mu to, zważywszy, że czas liczy się rozmaicie w różnych stronach, a mimo to jest to jeden i ten sam czas.

Na zachodzie, w świecie chrześcijańskim, jest rok Pański 1225, ale w islamie liczy się zaledwie rok 603, na wschodzie w Chinach jest 265 rok dynastii Sung, już tysiąc pięćsetny, odkąd zaczęto budować Wielki Mur, a na południu w Indiach młody Sułtanat Delhijski kończy dwadzieścia lat, podczas gdy od upadku cesarskiej dynastii Guptów upłynęło siedemset lat, a ponad 2500 lat minęło, odkąd kraj podbili Ariowie.

Te wyjaśnienia nie powiedziałyby jednak Chanowi nic prócz tego, że świat jest wielki i pełen wyobrażeń, które mogą być ważne tam, gdzie powstały, ale są tylko złudzeniami pod Wiecznym Błękitnym Niebem, co pojął on już bardzo dawno.

Rachuba czasu najmniej obciąża myśli Chana, wystarczy mu, że znajduje się on w swoim własnym czasie, czasie Chana, gdy dzieją się największe rzeczy i spełnia się Wola Nieba.

Być może niekiedy wyobraża on sobie czas niemal jako rozległą przestrzeń, podobną do nie przejranej wzrokiem równiny, gdzie on sam znajduje się pośrodku, w terażniejszości, w tym dniu, który właśnie trwa, podczas gdy pozostały czas rozpościera się bez określonej granicy, w tył ku przeszłości jego rodu i w przód ku przyszłości jego potomków.

Gdyby jeszcze myślał o czasie jako o przemijaniu, z pewnością wyobrażałby go sobie jako nieprzerwaną wędrówkę po bezgranicznych przestrzeniach, nieprzerwaną jazdę konną tam, gdzie świat powstaje i staje się, a równocześnie odchodzi i znika za człowiekiem.

On, Chan, jak nikt inny z jego rodu poczuł, jak świat rozszerza się. W miarę tego, jak rozprzestrzeniały się jego podboje i wypady, świat rodził się, powstawał, ziszczał się dla niego i rósł nieprzerwanie.

Przede wszystkim rozszerzył się we wschodnim i zachod-

nim kierunku ogromny przestwór między wschodem i zachodem, aż jakby spotkały się one z sobą i przeszły w siebie nawzajem. Niemal bezkresny obszar, a przecież zdalny do przemierzenia dla człowieka, który porusza się konno.

Stanął nad brzegiem wschodniego morza, wodnej dali bez końca, gdzie człowiek na koniu zmuszony jest się zatrzymać, i gdzie chyba nie ma dalej nic prócz wody, pustynnych wodnych przestworów, które przechodzą w Niebo i łączą się z nim.

Wtargnął na zachód daleko poza pustynie i łańcuchy górskie, tam gdzie znowu zaczynają się wielkie wody i świat się kończy, choć doszły doń słuchy, że nowe kraje zaczynają się jeszcze dalej w stronie słońca stojącego w zenicie albo słońca zachodzącego wieczorem.

Północ i południe stanowią te strony świata, w których panuje straszliwe zimno i straszliwe gorąco, powstrzymujące ludzi i konie.

Na północy napotkał wielkie lasy, głęboki śnieg i podobne do zwierząt istoty ludzkie, które podróżują z psami i nie znają koni, odrażający świat, nie posiadający nic, co mogłoby wabić zdobywcę.

Na południu dotarł do nieprzebytych górskich łańcuchów, ale wie, że nie stanowią one jeszcze końca świata w tym kierunku. On sam okrążył te góry i wtargnął na wypalone równiny, ale jeszcze dalej na południu mają znajdować się tylko nieprzeniknione gąszcza, bezdenne bagniska i coraz bardziej nieznosny upał, gdzie kamienie żarzą się, a woda wrze, istoty zaś, które mimo wszystko tam żyją, są podobno opalone na czarno od słońca i niemal nie można ich uważać za ludzi.

Także na północy i na południu (opowiedzieli mu o tym ludzie szczególnie uczeni) napotka w końcu morze, bezkresne morze, które otacza świat i łączy się z Niebem: na północy zamrożone na lód, który nigdy nie topnieje, na południu znikające wśród unoszących się oparów.

Chan nie wierzy jednak w granice świata, za wszystkimi tymi krajami, które znają ludzie najbardziej uczeni, może istnieją jeszcze inne, nieznanne, czekające na odkrycie: kto to wie, z wyjątkiem samego tylko Nieba?

Widział przecież, jak świat rośnie i rozszerza się stopniowo, widział to na własne oczy, doznawał tego pochylony nad swoim rączym rumakiem, przez dni i miesiące, przez zmieniające się pory roku, ze wzrokiem wbitym w przesuwające się obok tereny, to znów mknącym jak strzała ku odległemu horyzontowi.

Nie bardzo wierzy w to, czego sam nie doznał, co inni mu mówili, stale wątpił i często przekonywał się, że istotnie, była to nieprawda. Czemu nie miałyby to odnosić się także do tego świata, którego jeszcze nie oglądał?

Ze zdumieniem sięga czasem myślą wstecz do swego pierwszego świata, świata dzieciństwa i wzrastania, zrazu rozpostartego tylko na kilka dni jazdy w różne strony, obejmującego kilka pastwisk między najbliższymi rzekami, kilka dolin między górskimi szczytami i obozowiska własnego szczepu z jego obszarpanymi czarnymi jurtami.

Potem przyszła znajomość z innymi szczepami, walki i wyprawy łupieżcze, porażki i ucieczki, natarcia i zwycięstwa daleko poza pustynnymi połaciami, wśród górskich okolic, między coraz to bardziej odległymi i obcymi ludami, w miastach z domami zbudowanymi z drzewa lub kamienia.

Świat rósł tylko i rozszerzał się, zdawał się nie mieć żadnego krańca: wystarczyło jedynie wdzierać się weń i podbijać go, trzeba było tylko ludzi i koni, woli, która by zespałała rozproszone szczepy i prowadziła je do zwycięstwa: woli, która by wykonywała Wolę Nieba i której dlatego nic nie mogło się przeciwstawić.

Posłannictwo jego rosło wraz ze światem, on sam rósł wraz ze swym posłannictwem, nic go nie powstrzymywało, ogrom nie przerażał go, tylko podniecał jeszcze bardziej, pędził go przed siebie.

Nic nie pozostało takie, jakie było kiedyś, ani nawet on sam; tylko przez wyteżenie pamięci potrafił odnaleźć siebie takim, jakim był kiedyś, tkwił w sobie samym niczym mała istota albo bożek schowany głęboko.

A równocześnie wraz ze światem rozszerzał się czas, czas jego własnego życia: życie jego zaczęło mieścić w sobie coraz to więcej, rozciągało się coraz to bardziej w tył, jak gdyby nawiązywało i kontynuowało życie poprzednich pokoleń, z tymi chanami, których zachowała pamięć szczepu i którzy byli znani tylko jak przez mgłę ze swych czynów i sławy.

W przeszłości majaczyła w nieznanej odległości legenda o pochodzeniu Mongołów; legenda o wilku z gór na południu, który połączył się z łanią z lasów na północy: Szary Wilk i Płowa Łania, symbole dzieci wodzów, które zjednoczyły różne szczepy w jedno państwo.

Ale Chan odkrył stopniowo, że życie Mongołów było bezczasowe i bez śladów w porównaniu z wieloma innymi ludami, było ono jak wiatr na pustynnym stepie, wszelkie ślady zatarte, tylko dzień dokładany do dnia, rok do roku, lud bez historii.

Nie pozostawili po sobie nic trwałego, żadnych miast, żadnych inskrypcji ani pomników, ani trwałego grobu czy choćby tylko kamienia ze śladami ludzkiej dłoni: tylko trawa wyrastała i znowu więdła, śnieg słał się i znowu topniał, popiół po ogniskach, i ślady końskich kopyt, które znowu zasypywał piach.

Odkrył również, że Mongołowie, nawet także i wtedy, gdy wszyscy skupili się pod jego panowaniem, nie byli mimo to największym ludem na świecie, o nie, byli jednym z mniejszych i uboższych, który mógł wznieść się do władzy i potęgi jedynie dzięki Woli Nieba, przez to, że został wybrany przez Niebo.

We wszystkich stronach świata z wyjątkiem północy żyły ludy równie nieprzeliczone jak ziarenka piasku albo żdźbła trawy, umacniały się one wysokimi murami, a ich miasta były ogromne, lśniące od bogactwa i przepychu.

Były to ludy, które miały historię, ich pomniki i zapisy

ciągnęły się daleko wstecz, daleko poza pamięć ludzką i wędrujące legendy: ba, daleko poza istniejącymi państwami i ludami istniały świadectwa o jeszcze starszych państwach i ludach, pograżonych w ziemi, poukładanych jedne na drugich.

Czas miniony wydawał się potężniejszy, niż można było to objąć myślą, dlaczego więc czas przyszły nie miałby być równie albo jeszcze bardziej rozległy i ważki?

Słyszał jednak pogłoski, że te obce ludy często uważały, iż świat ma się ku końcowi i jego zagłada jest bliska: taka była wola ich bogów, a ich mędracy uczyli, że końca można spodziewać się każdego dnia albo godziny.

Ale dla niego, Chana, ta mowa nie miała żadnego znaczenia, był przekonany, że znajduje się w centrum świata i czasu, pewny, że jego państwo trwać będzie długo, według Woli Wiecznego Błękitnego Nieba.

Teraz powrócił i wjeżdża do Karakorum na czele swego wojska i niezliczonej rzeszy niewolników i brańców wojennych, rzemieślników i uczonych, karawan przewożących łupy, i stad koni.

Jedzie kilka kroków przed innymi dowódcami, wybranymi chanami i örlükami, siedzi na białym bojowym rumaku, z kolanami podkurczonymi w wysoko podniesionych strzemionach, nieruchomy, nieco zapadnięty w sobie, pograżony w samotności władcy, niezgłębiony jak zawsze.

Nie patrzy na boki, wydaje się nieświadomy, że wjeżdża do swojej stolicy, zwycięzca nieporównany, witany przez masy ludzkie w gęsto zbitym tłoku już tam, gdzie stoją pierwsze jurty rozproszone na skraju pustyni.

Spokój i cisza panują, gdy tak jedzie przed siebie, kurcząc się wokół kopyt końskich i unosi chmurę za nimi, ale w masie ludzkiej nikt się nie rusza i nie słyhać ani jednego okrzyku, najbliżsi klęczą i chylą się ku ziemi, twarze wszystkich zwrócone są w dół z czcią, nikt nie patrzy na niego, gdy przejeżdża obok, każdy odczuwa tylko jego potężną obecność.

Być może znajduje się ktoś dostatecznie śmiały, by ukradkowym spojrzeniem uchwycić jego obraz, ośmiela się może wtedy także pomyśleć, że Chan wydaje się zmęczony i postarzały, nie wykazuje oznak żadnej radości z powrotu, ani nawet jakby nie zauważa, że po tak długim czasie spotyka znowu swój lud w swym własnym mieście Karakorum.

Ciało robi wrażenie ciężkiego, plecy są ugięte jakby pod jakimś brzemieniem, rudobrazowe włosy poprzetykane pasmami siwizny, broda i obwisłe wąsy także, policzki wydęte tak, że twarz poszerzyła się, stała się równie szeroka jak długa, nos niemal czworokątny, a oczy zapadły się w głębokich fałdach w gęsto pooranej skórze.

Gdy powoli zsiada z konia, by podejść do ogromnego białego namiotu władcy, widać, że kuleje, powłóczy trochę jedną nogą, to dawne uszkodzenie biodra coraz bardziej daje mu się we znaki.

Chan wchodzi do namiotu i jednym spojrzeniem dostrzega, że wszystko pozostało tu nie zmienione, tak jak tego oczekiwał: jedwabna tkanina błyszczy mieniąc się jak mora przy podmuchach wiatru, srebrny stół stoi nakryty przy wejściu, na palenisku pośrodku namiotu płonie mały ogień z kolczastych gałęzi, przejrzysty i niemal pozbawiony dymu, nie dla ciepła, lecz jako źródło światła, jako znak życia i oczyszczającej siły.

Chan podchodzi do podwyższenia obok ogniska, gdzie stopy jego grzęzną w rzadkich, włochatych skórkach, które owo podwyższenie pokrywają, i siada na niskiej szerokiej ławie, krzyżując nogi pod sobą i opierając ręce o uda, w na pół jeździeckiej pozycji także i teraz, gdy pozwala sobie na odpoczynek po podróży.

Jego dowódcy i inni wybitni mężowie wchodzi w ślad za nim do jurty, jeden po drugim, z odpowiednią zwłoką, i siadają na ławach wokoło, stosownie do rangi i godności, wszyscy milczący, w oczekiwaniu, aż Chan coś powie.

Ale on zwleka, siedzi pogrążony w myślach, nieruchomy, z oczyma ukrytymi w głębokich fałdach skóry, migocąc tyl-

ko niekiedy srebrnymi pierścieniami w uszach, zdawałoby się, że zapadł w sen, gdyby nie ta wyprostowana postawa, a mimo to nic nie uchodzi jego uwagi, jest przecież rzeczą zwykłą, że widzi wszystko, nie robiąc wrażenia, jakby coś dostrzegał.

Ani jednej kobiety nie widać w namiocie władcy, to chwila mężczyzn, wspólne milczenie po powrocie do domu, kobiety nie cisną się do przodu wśród Mongołów, mają własne jurty i żyją własnym życiem z dziećmi i zajęciami domowymi.

Chan ma wiele żon i jeszcze więcej kobiet, które należą do niego nie podniesione jednak do stanowiska żony, ale z nich wszystkich jedynie Börte ma wolny dostęp do namiotu władcy, Börte jest jego pierwszą małżonką i ma najwyższą rangę.

Kiedy minął odpowiedni czas, także Börte wchodzi przez otwór w namiocie i mrużąc oczy od blasku ognia idzie prosto ku swemu panu i mężowi, schyla przed nim lekko głowę i patrzy na niego, a żadne z nich nie zmienia wyrazu twarzy i nie mówi ani słowa.

Börte siada na podwyższeniu na lewo od niego i siedzi tam skrzyżowawszy nogi, milcząc, nieruchoma tak jak Chan i pozostali mężowie; ponad nią, tak jak i ponad nim, wisi mały bożek, sporządzony z czarnego i czerwonego sukna i kołysze się lekko od nieodczuwalnego przewiewu.

Gdy Chan w końcu odzywa się, czyni to w swój zwykły powolny sposób, z namysłem, zwięźle, ciężko ważąc słowa: wydaje rozkaz trzydniowych uroczystości dla wszystkich, zarówno tych, którzy pozostawali w domach, jak i tych, którzy powrócili, a dopiero czwartego dnia zacznie przyjmować posłów, kurierów, kapłanów, kupców i innych, którzy wyczekiwali na jego powrót i pragną audiencji u niego.

Po słowach Chana nastaje chwila ciszy, jak gdyby po to, by zostały one w pamięci i dotarły do wszystkich, po czym dopiero zebrani w jurcie dają swój poklask i na skinienie Chana wstają, chodzą po jurcie, częstują się owocami, mięsami, napojami zastawionymi na srebrnym stole.

Potem zaczyna się świętowanie i kończy się wszelka ci-sza, cała uroczysta godność znika jak wymieciona z ordy Chana, z jego miasta Karakorum.

Szlachtują mnóstwo owiec i wołów, rozpalają ogniska między jurtami i w domach, płyną strumieniami trunki, mocno sfermentowany kumys, sprowadzone z obcych kra-jów wino ryżowe i gronowe.

Podnoszą się głosy w wołaniach i śpiewie, rozlega się głoś-ny śmiech, mężczyźni tańczą i mocują się, zataczają się, rzy-gają i znowu najadają się do syta jadem i napitkami, ciągną się nawzajem za uszy w nadziei, że to im pomoże pochłonąć jeszcze więcej, przewracają się i leżą na ziemi we śnie, by po jakimś czasie chwiejnie podnieść się zno-wu na nogi i dalej się bawić.

Jest to tak, jak powinno być, prawdziwie monogolska zabawa, gdzie we wszystkim panuje nadmiar i swawola, gdzie nie jest już potrzebna żadna wstrzeźliwość i nie wymaga się od nikogo żadnego opamiętania.

Ale sam Chan bierze w tym tylko najkonieczniejszy udział, tyle aby uczcić uroczystość i właściwie ją za~~u~~ nau-gurować swoją obecnością, nie ma już ochoty na swawolę tak jak dawniej, uważa, że nie ma już ani sił, ani czasu, by trwonić je na pijaństwo i rozrywki, tyle innych spraw zaprzęta go i nie chce opuścić jego myśli.

Odwiedza Börte w jej jurcie, odprawiają służebne i sia-dają obok siebie, sami z sobą po raz pierwszy po jego po-wrocie, zwracają twarze ku sobie i rozpościera się na nich łagodność, oczy Chana błyszczą ze szparek, w których są ukryte, a jego ciemne, głęboko poorane oblicze traci nie-co ze swej nieprzeniknioności.

Kiedy przerywa milczenie, czyni to po to, by powiedzieć jej, że dobrze dbała o ordę podczas jego nieobecności, utrzy-mywała wzorowy porządek, zapobiegała niezgodzie i roz-darciu, jest z tego bardzo zadowolony.

Börte odpowiada, że od dawna zna swoje stanowisko i swoją odpowiedzialność jako *katun*, pierwsza małżonka Chana, zrobiła wszystko, co do niej należało, a Niebo było z nią podobnie jak z nim, jej panem.

Chan nie dostrzega w jej słowach żadnego ukrytego tonu goryczy albo wyrzutu, jest ona zbyt dumna, by jeszcze okazywać coś takiego, nie wspomina nic o tym, że lata bez niego były długie albo ciężkie, nie napomyka też nic o tym, że zwlekał tak długo z powrotem do domu, dłużej, niż to się mogło wydawać konieczne, nie robi też żadnej aluzji do Merkitki, której wolno było towarzyszyć mu w czasie całej wyprawy, ani tym bardziej do innych kobiet, o których pogłoski słyszała.

Nie, ten czas już przeminął, gdy cierpiała z powodu zaniedbywania jej pod tym względem, teraz wystarcza jej, że jest *katun*, z całą tą władzą i pozycją, jaka jej przypada.

Chan widzi, że Börte postarzała się tylko nieznacznie przez te lata, stała się tylko nieco bardziej koścista, twardsza, podobna do drzewa, które rośnie na skraju pustyni, skóra jej napina się na kościach policzkowych i marszczy delikatnie wokół ust, ale oczy są takie same jak w młodości, szare jak granit, ostre i przenikliwe: są to oczy, których zawsze lękał się trochę i których spojrzenie czasem trudno mu było wytrzymać.

Chan ujmuje dłoń Börte i prowadzi ją do legowiska, wyciągają się obok siebie na miękkich skórkach i spoczywają tak razem, lecz żadne z nich nie przejawia pożądania wobec drugiego, nie trzeba nic mówić, gdyż oboje wiedzą, że tego rodzaju współzycie już między nimi przeminęło.

Gdy tak leżą w milczeniu, Chan wraca myślami do ich długiego współzycia, jawi się ono jak obrazy z przeszłości, które jakby pogłębiają odpoczynek, dają mu dopiero teraz uczucie prawdziwego powrotu do domu, i może Börte sięga myślami do przeszłości w taki sam sposób, tak że bez słów jednoczą się oboje w swoich wspomnieniach.

Börte była dziecinną narzeczoną z lat młodzieńczych, czekał na nią długo, zanim mógł wprowadzić ją do jurty w swojej ordzie, dzielili z sobą niebezpieczeństwa i wyrzeczenia, nim zapewnił sobie władzę i panowanie jako Chan,

stała niezachwianie przy jego boku i urodziła mu czterech synów, którzy wyrosli na wspaniałych mężczyzn i wielkich wodzów, mianowani na örliukowe orły, cesarskich książąt, dziedziców mocarstwa Mongołów.

Była twardą i waleczną małżonką, dawny młodzieńczy blask i niefrasobliwość opuściły ją, ale nie siła woli, nie ostrość myśli i języka: rozmawiała z nim tak, jak nie ważył się nikt inny, i nierzadko przekonywała go o słuszności swych zapatrywań.

Kiedy spogląda teraz w dół w klarowną głębię pamięci, widzi samego siebie jako chłopca, umiał już jeździć konno i wypuszczać z łuku strzałę, tak jak wielu dorosłych mężczyzn, był porywczy jak młody byczek, ale mimo to skoro do opamiętania, zdolny nagle ochłodzić swój żar i myśleć jasno, podobnie jak hartuje się rozżarzone żelazo, jeśli wsadzi się je do wody.

Nazywano go Temudżynem, to było jego poprzednie imię, zanim został Chanem i otrzymał wzbudzające strach imię władcy, a ojcem jego był Jesügej, z przydomkiem Baatur, dzielny wódz nad szarookimi Kijatami, mąż poważany w swoich okolicach.

Aż nadarzyła się okazja, że wraz z ojcem wyruszył konno, uzbrojony jak wojownik, nareszcie wolny od pasienia owiec i bydła razem z dziećmi, teraz miał zobaczyć świat poza własnymi pastwiskami, zwykłymi letniami i zimowymi miejscami pobytu.

Jechali przez pustynne przestwory całymi dniami i spotykali karawany kitajskich kupców, zniewieściałych mężczyzn, którzy napawali chłopca pogardą, tacy byli ludzie, którzy żyli w miastach, zamknięci i bojaźliwi.

Potem wjechali między zalesione górskie stoki koło rzeki Onon i zobaczył po raz pierwszy wodę, która spływała wartkim nurtem z szumem, hukiem, z kolosalną siłą, i drzewa, które były tak wysokie, że zdawały się dosięgać chmur.

Nad jeziorem, czystym jak zwierciadło, dotarli do największej ordy, jaką kiedykolwiek widział, z niezliczonymi jurtami i kłębamii tłustego dymu, i wyszło im naprzeciw wielu jeźdźców, którym towarzyszyły ujadające psy,

zapamiętał to tak dobrze dlatego, że psy od dzieciństwa napawały go wstrętem, niemal strachem.

Zaprowadzono ich do chana, wodza szczepu Ongirat Deja Seczena, czyli Deja Mądrego, słynnego wojownika, ale jeszcze słynniejszego z powodu swej mądrości i rozsądku, i przyjął on Jesügeja jak bliskiego przyjaciela i brata, okazał także Temudżynowi względy należne młodemu wojownikowi i synowi wodza.

W jurcie była także córka chana, dziewczynka jeszcze bez zaznaczających się piersi, ale swobodna i błyskotliwie żywa jak ryba w prześwietlonej słońcem wodzie, tak że olśniła oczy młodzieńca, który natychmiast ją sobie upodobał.

Dziewczynka nazywała się Börte, Szarooka, i Temudżyn uświadomił sobie rychło, że to ją właśnie chce mieć, ona zostanie jego narzeczoną, gdy nadejdzie właściwy czas.

Zwrócił się ze swoim pragnieniem do ojca i nie zostało ono źle przyjęte, ojciec nadmienił tylko, że dziewczynka jest jeszcze za mała, ale za kilka lat będzie z niej chyba piękna i dzielna młoda kobieta, która potrafi doić krowy i oprawiać skóry, będzie to akurat w porę, gdy syn na serio dorośnie do ożenku.

I Jesügej rozmówił się z Dejem Seczenem, który był zadowolony z zalotów, przyjrzał się Temudżynowi z uznaniem, zwrócił uwagę na jego szarozielone kocie oczy i jasny blask bijący od jego twarzy, jak również na jego proste ramiona i delikatne członki, i powiedział, że widział we śnie białego orła, który niósł w szponach słońce i księżyc, co było dobrym znakiem, i że on sądzi, iż Temudżyn i Börte będą dla siebie odpowiedni, a równocześnie przyjaźń między ich rodami umocni się jeszcze bardziej.

Przyszłe małżeństwo zostało omówione i poświęcone uroczystościami, Jesügej udał się potem w drogę powrotną, a Temudżyn pozostał tam, by służyć Dejowi Mądrymu, słuchać go i uczyć się wszystkiego, co potrzebne jest wojownikowi i przyszłemu władcy, ale cały czas chętnie wodził wzrokiem za żwawą Börte.

JAK ZWYKLE wiosna przyszła na wyżynę jak burza i powódź, przyszła z wichrem gorącym jak oddech zwierzęcia i sprawiła, że ziemia parowała, a resztki śniegu stopniały, przyszła z wylewami wszystkich rzek, strumieni, szlaków wodnych w dolinach i zagłębieniach terenu.

Wymiecione do czysta niebo zapełniło się gromadami ptactwa z szumem i trąbieniem zdążającego na północ, zwierzęta ciągnęły stadami, wychodziły z lasów i zbierały się na równinach, jelenie jakby pokryte plamami śniegu biegły wielkimi susami, niedźwiedzie pojawiały się i zabijały bydło, świstaką kopały sobie nory w ziemi i siedziały tam świszcząc.

Trawa strzeliła niemal z dnia na dzień, gdy ktoś położył się w niej, by spać, zdawało mu się, że urosła wyżej, gdy się zbudził, było i konie, podobnie jak i wiele różnych dzikich zwierząt, pasło się na niej zębami i językami, każde szukając swojego gatunku, owce rodziły jagnięta i szybko tłuszczały, mleko tryskało strumieniem z wypełnionych wymion.

Kwiaty zakwitły w różnych kolorach, jak pożar, walczyły z sobą nawzajem o przestrzeń, przerastały się w górę, całe pola błękitnych narcyzów i fioletowych hiacyntów, penii i maków rozwijających czerwone główki w gęste zaspę, płomiennych tygrysy lili, które sięgały mężczyźnie do piersi, jaskrów niczym ogromnych pasm roztopionego żółtego masła, dzwonek wielkich jak głowa dziecka.

Unosiły się odurzające zapachy, aromat kwiatów i pyłek kwiatowy niosły się z wiatrem daleko na pustynię, pędzone przed siebie różowymi albo złotymi mieniącymi się chmurami, dzikie pszczoły, trzmiele i rozmaite owady brzęczały,

roily się, migotały w powietrzu i na ziemi, żółty pyłek kwiatowy zbierał się na obrzeżu wód, tworząc złote obwódki, a narybek polował nań nieprzerwanie, tak że na wodzie powstawały koła, niczym podczas deszczu ciężkich kropel wody.

Dla nomadów był to czas sytości po zimowym głodzie, obżerali się mlekiem i mięsem, trzymali nad ogniskami kołty z gotującym się mięsiwem, rzucali psom zaledwie na pół obgryzione kości, łatwo wpadali w śmiech i śmiali się do rozpuku z szeroko otwartymi ustami i trzęsącymi się brzuchami, ale też łatwo popadali w gniew i popełniali gwałty.

Bardziej niż kiedykolwiek mieli do czynienia ze zwierzętami, harcowali na koniach, wskakiwali na ich grzbiety, cwałowali szerokimi kołami po stepie, wracali i zeskakiwali z koni, zanim te zatrzymały się, dużo czasu zajmowało dojenie, mężczyźni gwizdali klaczom, które stały ze źrebakami u boku, podczas gdy je dojono, bydło przeżuwało, wdychając uspokajający dym z otwartych ognisk.

Także kozy dojono, miały one kołyszające się, pokryte czarnymi plamami wymiona, które niemal wlokły się po ziemi, małe dziewczynki uczyły się na nich dojenia, napięte dojki strzykały mlekiem niemal same z siebie, a chłopcy igrali z owcami, siadali na nich okrakiem i ujeżdżali je z podkurczonymi kolanami, usiłowali kierować nimi, trzymając je za uszy, albo też uczyli capy bóść, stawali przed nimi z wypiętymi tyłkami i pozwalali zwierzętom trykać w nie tak, aż ze śmiechem upadali na ziemię.

Temudżyn był w wieku między dzieckiem a młodzieńcem, uczestniczył na przemian w zabawach i zajęciach, ujeżdżał najbardziej odporne tryki i mocował się z nimi, stał przy dojeniu klaczy i brał udział w chłostaniu dużych skórzanych worków z kobyliim mlekiem, żeby doprowadzić je do fermentowania, pomagał zbierać bydłce łąjno do koszy i suszyć je na słońcu na opał.

Przyglądał się, gdy pokrywano krowy i klacze, gdy rodziły się cielęta i źrebaki, pomagał ciągnąć sterczące do przodu zadnie nogi, gdy poród był uciążliwy, chwycił i wiazał owce, gdy miano ścinać wełnę, brodził w wodzie po

wylewach i wyciągał ryby pętlą albo też ogradzał tamą płytkie wodne zatoczki, które później wyczerpywano, aż ryby trzepotały w płytkiej wodzie i można je było łapać rękami, był także zręczny w chwytaniu na pętlę świstaków, podkradał się do ich nor i zaciągał pętlę, gdy z nich wyrzały.

Temudżyn był przecież synem chana i mógł sobie pozwolić na większe swobody niż inni chłopcy, miał już własnego konia i cwałował na nim po równinie, wciągając owiewającą go powietrze i wznosząc głośne okrzyki radości, nigdy też nie zablądził, choćby zapędził się daleko, aż orda nikła mu z oczu, nie musiał nawet zwracać uwagi na ślady ani na strony świata, mimo to wiedział, jak ma dostać się do niej z powrotem.

I przybyli pieśniarze, wędrowni pieśniarze, jadący konno z jednostrunnym kuurem przy boku, bywało, że nawet nie zsiadali z koni i śpiewali swoje pieśni, podczas gdy ludzie zbierali się wokół nich; także na koniach. Albo zsiadali i zajmowali miejsce na owczej skórze przy otwartym ognisku, tak że wszyscy mogli skupić się wokół nich i słuchać, lub też zapraszano ich do obszernej jurty wodza, by śpiewali dla wybranego grona.

Kuur opierali na ziemi i trzymali go prosto przed sobą, gdy siedzieli tak ze skrzyżowanymi nogami, długa szyjka z wyblakłego drewna wyglądała jak szyja dużego ptaka, a brzuch składał się z nadmuchanych pęcherzy, które dawały głuchy dźwięk brzęczącej strunie, grali jakby od niechcienia, podczas gdy usta ich formowały pieśń, a oczy błyszczały od uczucia, które ich przepełniało.

Śpiewali o chanach i wojownikach rodu, o losach rodu, w ciągu wielu pokoleń stanowiących jakby schody w tył głęboko w czas, bardzo daleko może, a przecież całkiem blisko, ze straszliwym słońcem i jeszcze straszliwszym mrozem, kiedy to rzeki były głębsze i obfitsze w wodę, pastwiska nie miały końca, trawa rosła aż do nieba, a niebo było wysokie i wieczne, i błękitne, a mimo to całkiem bli-

skie, i żyli wojownicy, którzy chwyтали gwiazdę w dłoń, by ogrzać się w noc zimową, i były kobiety, które żyły nagie w wodzie, i rodziły się olbrzymie dzieci, które zaraz wchodziły w płonący ogień i śmiały się spośród płomieni, niewyciężone od początku.

Ród należał do słynnego szczepu Bordżigin, Szarookich, wywodzącego się ze związku Szarego Wilka i Płowej Łani, dwóch szczepów z południa i z północy, które zawarły z sobą pokój i stały się potężne na płaskowyżu między górami na południu i lasami na północy, walczyły też z innymi szczepami i brały przebogate łupy, po czym przepędzały tamte szczepy z dobrych pastwisk i prowadziły wojnę także z Kitajem, zagarniając wielkie skarby, ich skrzynie pełne były drogocенności, a na ścianach jurt wisiały stroje z jedwabiu i najwspanialsze sobolowe płaszcze, obok złotych mieczy i łuków wykładanych drogimi kamieniami,

a ich orda stała nad brzegiem Orchonu pod osłoną góry Burkan Kaldun, i żył tam Bataczikan, Biały Chan o mocnych krokach, i Koriczar Mergen dzielny chwata, i Audżam Boroul podobny do wilka i nazywany Szarym, i Sali Kaczau, którego nazywano Kapryśnym, gdyż umysł jego był zagadkowo niespokojny jak górskie rzeki w czasie topnienia śniegów. I Jeke Nidiün z Wielkim Okiem, który widział więcej niż ktokolwiek inny, i mądry Bordżigidaj Mergen z piękną żoną Mongkoldżin Koą, i Torokoldżin Bajan (Bogaty), pan nad największymi stadami, i Kabul-chan, który wtargnął do Kitaju i pociągnął ich cesarza za brodę, wyczyn, którego Kitajczycy nie mogli pomścić w inny sposób, jak tylko każąc zdrajcy otruć Kabul-chana,

i tak pieśniarze doszli w końcu do Jesügeja Baatura, panującego obecnie chana rodu, Silnego, Nieustraszonego, pana nad Wielkomongołami, władcy nad czterdziestoma tysiącami jurt i niezliczonymi stadami koni i bydła, bezspornego posiadacza kraju pomiędzy rzekami, i nigdy nie zabrakło kumysu w jego bukłakach, gdy zima była najcięższa, nigdy nie padło z głodu jego bydło, nigdy wilki nie mogły grasować pośród jego stad, żadni rabusie i łupieżcy nie ważyli się do nich zbliżać, a na wiosnę kłaczę żrebiły

się i dawały mnóstwo mleka, a owce kociły się i białe jak płatki śniegu jagnięta tańczyły w wysokiej trawie, a kobiety rodziły i życie osiągało punkt szczytowy w jurtach, chwała i świetność chanowi Wielkomongołów, silnemu i fortunemu Jesügejowi, któremu sprzyja szczęście.

Tak śpiewali pieśniarze przy dźwięku brzękliwych strun, a pośród tych, którzy słuchali z rozplómienną krwią, był chłopiec Temudżyn, pierworodny syn chana, który już postanowił, że zostanie największym z wszystkich chanów, tym, którego opiewać będą w niezliczonych pokoleniach.

Temudżyn był przywódcą, za którym szli we wszystkim jego młodsi bracia, był najmądrzejszym i najrzęczniejszym, najśmielszym i najmocniejszym, z wyjątkiem młodszego o dwa lata Kasara, który był roślejszy i silniejszy i najbłęglejszy w strzelaniu z łuku, lecz i on był bardzo oddany Temudżynowi i podporządkowywał mu się we wszystkim, także gdy mocowali się, chętnie pozwalał bratu zwyciężać, nie wyężając wszystkich sił, tylko w strzelaniu z łuku okazywał swoją wyższość, dumą jego było, by nazywano go Kasarem Łucznikiem.

Temudżyn odwzajemniał mu się gorącą przyjaźnią, podziwiając biegłość brata w posługiwaniu się łukiem i pytał go często, skąd się wzięła ta jego biegłość, Kasar bowiem potrafił trafić strzałą rzucony kamień, umiał strącić ptaka w locie i przesyć rybę w wodzie, to ostatnie, tłumaczył, było najtrudniejsze, gdyż woda stawiała inny i bardziej nieobliczalny opór niż powietrze, nawet wtedy, gdy wiał silny wiatr, celność polegała na wyczuciu, które miał w sobie i które mówiło mu już na chwilę przedtem, nim strzała opuściła cięciwę, czy trafi, czy też nie, nigdy go ono nie zawodziło: i gdy już wyczuł, jaką drogę strzała ma opasać, by nieomylnie dosięgnąć celu, wtedy strzała biegła tym torem, jak gdyby był on znaczony niewidzialnym śladem w powietrzu, a ponieważ nie pozwalał strzale wylecieć, dopóki nie czuł, że trafi, docierała też niechybnie do celu, z wyjątkiem może tylko tych rzadkich chwil, gdy się zawa-

hał, a mimo to wypuścił strzałę — tak wyjaśniał sam Kasar swoją zrećność w posługiwaniu się łukiem.

Co się tyczy trzeciego brata, Kacziuna, był on za młody i zbyt dziecinny, by liczyć się poważnie, a najmłodszy, Temüge, trzymał się jeszcze matczynej spódnicy, podczas gdy mała siostrzyczka Temülin leżała przy piersi matki i ssała: ale było też wielu braci przyrodnych, a największym szacunkiem spośród nich cieszyli się Bekter i Belgütej, choć przecież żaden z nich nie był równy rangą Temudżynowi i jego rodzonym braciom, nie był przyszłym spadkobiercą chana, choć również i bracia przyrodni mieli dobre możliwości stać się potężnymi mężami w rodzie i wspaniałymi wodzami wśród wojowników.

Temudżyn i Kasar baraszkowali z przyrodnimi braćmi w niepohamowanych igraszkach i psotach, we współzawodnictwie i bójkach, panowało między nimi napięcie, ale także przywiązanie, jeszcze nie nienawiść czy prawdziwa walka o władzę. Temudżyn wcześniej zdał sobie sprawę z tego, że dobrze uczynił, zjednywując sobie braci przyrodnych i nie odstręczając ich od siebie, a równocześnie dając im poznać swoją silną wolę, ale zauważył też, że ich matki pobudzały swych synów do samodzielności i miały w tym poparcie szamana Teb Tenggeriego.

Pozostali bracia przyrodni byli mniej poważani, niemal nie wchodzili w rachubę, gdyż pomimo że Jesügej był także ich ojcem, matki ich miały niższą rangę jako żony lub konkubiny, dlatego też pozycja tych braci przyrodnych była niepewna i wcale nie respektowana, okazywali oni nierzadko nastrój ponury i nieobliczalny, wrogość i złośliwość, chętnie uciekali się do podstępów i brzydkich chwytów, za które karano ich chłostą i wykluczeniem spośród innych synów Jesügeja,

aż pewnego dnia gdy wszyscy byli w terenie i łowili razem ryby, Temudżyn odkrył niezwykle dużą i wspaniałą rybę, która stała na płytkiej wodzie z rozpostartymi złocistymi płetwami i koralowymi skrzelami, poruszającymi się przy każdym oddechu, Temudżyn, cicho gwizdząc, podkraść się do niej przez wodę, z sercem łomocącym mocno

w piersi z napięcia, wysunął wędkę z pętlą i opuścił ją ostrożnie przed rybą, przesunął w tył przez głowę i skręla, ściągnął, aż poczuł opór, ryba zatrzępotała ciężko, przelatując w powietrzu łukiem za wędką, ale wysliznęła się z pętli i upadła na trawę, i zanim Temudżyn zdążył do niej podbiec, podstępny brat przyrodni Bekter spadł na nią jednym susem, schwycił ją oburącz i uciekł z przenikliwym triumfującym krzykiem, że ryba jest jego, że ryba należy do niego, a Temudżyna ogarnął wtedy tak gwałtowny gniew, że krew odpłynęła mu z twarzy i zatrzęsł się cały, puścił się w pogoń za złodziejem ryb, Bekterem z wędką w ręku, ścigał go po trawie, wołając, żeby wypuścił rybę, ale Bekter biegł, dopóki zdyszany nie upadł na ziemię, wciąż jeszcze trzymając w rękach rybę mocno przyciśniętą do piersi,

w tejże samej chwili Temudżyn dopadł go i zaczął bez opamiętania bić wędką, złamał ją pośrodku i bił dalej grubszą częścią wędki, bił i bił, aż Bekter legł nieruchomo z krwią płynącą mu z ust i poszarpaną rybą w objęciu,

Temudżyn zaprzestał wtedy od razu bicia i odszedł stamtąd, nie oglądając się za siebie, później przyszło kilku innych jego braci przyrodnych i powiedzieli mu, że Bekter nie żyje. Temudżyn nic na to nie odpowiedział, tylko poszedł prosto do ojca, znalazł Jesügeja w jurcie, ukląkł przed nim i wyznał: — Zabiłem Bektera! — A chan spochmurniał z gniewu i wykrzyknął: — Ty bratobójco, czemuś to zrobił?! — A Temudżyn odparł: — On mi ukradł rybę, a ty sam mnie uczyłeś, że złodziei trzeba karać! — I Jesügej wysłuchawszy, jak to wszystko się stało, odzyskał spokój, po czym rzekł: — Gwałtowność odziedziczyłeś po mnie, mój synu, musisz się nauczyć ją poskramiać, bo inaczej stanie się ona twoim nieszczęściem, a teraz idź i nie mówmy już więcej o tej sprawie!

Raz Temudżyn ujrzał kobietę jadącą samotnie przez wysokie trawy, pojechał za nią i dołączył do jej boku, zerknęła na niego i zaśmiała się, jej rumiane policzki i zdrowe zęby powiedziały mu, że jest całkiem młoda. Zapytał, dokąd się

udaje i czemu jedzie samotnie, a kobieta odparła swobodnie: — Jadę łowić ryby, mój mąż był wojownikiem i został zabity, i nikt jeszcze mną się nie zajął! — I opowiedziała mu, że ma własną jurte i własne konie, ale dzieci jeszcze nie zdążyła urodzić, tak krótko była zamężna, nazywa się Nomolun i wie bardzo dobrze, kim jest Temudżyn, choć on naturalnie nigdy nie zwrócił na nią uwagi,

a Temudżyn odparł, że gdyby chciała, pojechałby z nią łowić ryby, ona zaś odrzekła, że chętnie się na to zgadza, znalazła dobre miejsce, gdzie nikt inny nie zwykł przychodzić, i pojechali obok siebie przez trawy, które kładły się pod brzuchami koni, nie omijali też wysokich łąnów kwiatów, które rzucały czerwony, żółty albo niebieski odblask na ich twarze,

Temudżyn nigdy nie był zakłopotany wobec kobiet, patrzył im prosto w oczy i nie czuł żadnej niepewności, wiedział, do czego służą, ale jeszcze nie próbował ich na męski sposób, było to jeszcze przed nim, poszedł więc teraz za Nomolun, młodą kobietą, która straciła przedwcześnie męża, do kotliny, gdzie znajdowało się to miejsce: płynąca woda mieniła się w trawie, jeszcze nie prawdziwy strumień, tylko jeden z przypadkowych potoczków, które powstają na wiosnę i istnieją tam krótko, dopóki znowu nie wyschną; ale ryby mogły tam być, jak zawsze opętane chęcią płynięcia pod prąd w każdej bystrej wodzie, i to tak długo, dopóki nie zaczną pluskać się w tak płytkiej, że grzbiety wystawać im będą nad wodą i zmuszone będą zawracać,

zsiadli z koni, a u ich stóp potok utworzył wgłębienie w trawie, Nomolun nie miała żadnych przyborów do rybołówstwa prócz podłużnego, rzadko plecionego koszyka, Temudżyn zapytał ją, w jaki sposób chce łowić ryby, a ona rzuciła mu długie spojrzenie, i figlarne, i tajemnicze, i zaraz zaczęła się rozbierać, nie wahała się, miała już przecież męża i nie była dziewczyną, i tak stanęła naga w trawie, weszła do wody z koszykiem w rękę i pokazała Temudżynowi, w jaki sposób zwykła łowić ryby,

położyła się w płynącej wodzie tak, że ciało jej tworzyło jakby tamę, z małym ujściem po jednej stronie potoku,

gdzie trzymała koszyk tak, aby woda przepływała przezeń, i ryby przyszyły trzepocąc o jej ciało i szukając sobie drogi wzdłuż niego, aż trafiały do koszyka, a ona chwyciła je szybko jedną po drugiej, ukręcała im łby i wyrzucała je na trawę,

Nomolun była dumna z tego sposobu łowienia ryb, który sama wynalazła, patrzyła na Temudżyna i śmiała się, zaczerwieniona od zapału, kiwała do niego trzepocącą rybą utrzymaną w dłoni i wołała, żeby też się rozebrał i pomógł jej łowić, Temudżyn stał trochę zdziwiony i patrzył, nie zwracając szczególnej uwagi na jej nagość, wiedział dostatecznie dobrze, jak kobiety wyglądają bez ubrania, ale teraz nabrał ochoty, żeby położyć się w wodzie tak jak Nomolun i wraz z nią łowić,

rozebrał się i zsunął do wody obok Nomolun, woda była przyjemnie chłodna, niezbyt zimna, a prąd łaskotał mu skórę, czuł, jak ryby ocierają się o jego ciało, szybkimi, gładkimi dotknięciami i trzepotaniem, albo też długimi posunięciami, gdy woda przyciskała je do niego,

pomagał Nomolun napędzać ryby do kosza i chwycić je rękami, czasem dłonie ich spotykały się na tej samej rybie i kiedy oboje starali się ją przytrzymać, zdarzało się, że wymykała się im i odpływała, wtedy śmieli się rozochoceni i patrzyli na siebie,

czuł jej członki przy swoich, chłodne i gładkie w wodzie, ryby wchodziły między nich, zamykał je swoim ciałem przyciśniętym do jej ciała i szukał ich po omacku między jej piersiami, między jej udami, była to i zabawa i sposób łowienia ryb, Nomolun chętnie godziła się na to i śmiała się głośno,

Temudżynowi wpadały w ręce nie tylko ryby, dotykał także jej ciała i wnet nie chwycił już ryb, tylko jej członki, jej mocne uda, miękkie brzuch, gładkie, wymykające mu się piersi, i to rozpalało mu krew w całkiem inny sposób niż rybacka gorączka, wzbudzała w ciele uczucie, które było nowe, a przecież znajome, o które już dawniej się otarł albo odczuwał,

nagle objął ją ramionami i uniósł z wody, zaniósł kilka

kroków dalej w trawę i osunął się na nią, ich ciała mokre i chłodne przycisnęły się do siebie, aż żar rozplomieniał się tam, gdzie dotykali się nawzajem i Temudżyn poczuł, że wtargnął w nią, nie siląc się zbyt, jego tętniąca twardość wsunęła się w nią jak balsam, jak ulga, która jednak nie łagodziła, tylko potęgowała napięcie, jej szorstkości wewnątrz wsysało go w siebie i usiłowało odepchnąć, była to swoista walka, w której oboje byli przeciw sobie i z sobą, dopóki nie przyszedł orgazm i nie połączył ich, równie zaskakująco, jak nieuniknienie,

potem Temudżyn pamiętał ową chwilę jak nieokreślone, ale podniecające połączenie chłodu wody i tętniącego żaru, trzepocących ryb i szorstkiej trawy, gładkich członków, które jakby mieszały się z śliskimi ciałami ryb, w lekkim szumie wiatru w trawie pod Wiecznym Błękitnym Niebem.

JURTA CHANA, ogromny namiot władcy zrobiony z białego wojłoku wznosi się nad otoczeniem niczym wzgórek śniegu w blasku słońca, stoi jakby ponad porami roku, oślepia wzrok i chłodzi go jednocześnie.

U wejścia do namiotu ściany są odwinięte i tworzą szpiczasty otwór, wysoki i obszerny jak brama, są jaskrawo ozdobione malowidłami zwierząt i ptaków, kwiatów i słońc, a po każdej stronie stoi drewniany bożek obciążony wojłokiem, wokół ust ze śladami mleka i tłuszczu, które podaje mu się do jedzenia co ranka i co wieczora.

Na drzewcu wznosi się biała chorągiew szczepowa z utkanymi obrazami kruka i sokoła, dzieli się ona na dziewięć szpiczastych proporców, jeden nad drugim, każdy ozdobiony długowłosym białym ogonem jaka, symbolu siły, a liczba dziewięć odpowiada dziewięciu najwyższym dowódcom.

Obok stoi zatknięty w ziemię polowy znak Chana, *sülde*, dwa potężne białe rogi jaka nad czterema czarnymi końskimi ogonami: siła połączona z szybkością i skierowana na cztery strony świata.

Chorągiew szczepowa jest tylko jedna, wzniesiona tylko przed namiotem władcy i nigdzie indziej, podczas gdy znaków polowych jest wiele, są one ustawione przed jurtami wszystkich wyższych dowódców i w określonym porządku, według rangi, otaczają duży otwarty plac przed jurtą Chana, wszystkie zwrócone na południe jakby z czci dla słońca, a może dla ochrony przed najsilniejszymi wiatrami.

Pośrodku placu płoną dzień i noc dwa ogniska, przed którymi czuwają strażnicy, i każdy przybysz, którego przyprowadza się przed oblicze Chana, musi najpierw przejść między tymi ogniskami — jeśli ma on złe zamysły, płomie-

nie wybuchną i spalą go, a niebezpieczne duchy, które przybysze mogą sprowadzić ze sobą, uciekają przed oczyszczającym ogniem.

Mnóstwo ludzi jest stale w ruchu na tym placu, jeźdźcy przyjeżdżają albo odjeżdżają, zsiadają albo wsiadają na konie, kupcy przybywają z jucznymi zwierzętami, by pokazywać towary, kapłani i mnisi, lamowie i szamani chodzą w swoich niezwykłych strojach, obcy posłowie zjawiają się pod eskortą mongolskich oficerów i są przekazywani Mistrzowi Prawa i Karania, człowiekowi, który odpowiada też za ceremonie powitalne i nakazane obrządki.

Można tam zobaczyć trupeę kitajskich tancerek w długich, obcisłych jedwabnych sukniach, jak wysiadają z otwartych lektyk i drepcą drobnymi kroczkami ku namiotowi Chana, w towarzystwie lutników i flecistów, by wystąpić ku ucieście władcy i najwyższych dowódców wojskowych.

Albo też może to być kilku mężczyzn zabitych przez piorun i niesionych teraz wraz ze swoimi rzeczami w procesji między dwoma ogniskami, ażeby zmarli i ich mienie zostali uwolnieni od niebezpieczeństwa, które ich zakaziło, a które mogłoby być wciąż jeszcze zagrożeniem dla niebiańskiego ognia.

Dostojne damy mongolskie wychodzą z jurt w towarzystwie służebien, przystrojone w *boktak*, wysokie nakrycie głowy zrobione z kory, przybrane jedwabiem i uwieńczone piórami, obwieszane błyszczącymi i dźwięczącymi ornamentami ze złota i srebra.

Te kobiety są często bardzo tłuste i poruszają się sapiąc, a pot spływa im strugami po grubo umalowanych twarzach, gdy zaś wsiadają na konie na krótką przejażdżkę, trzeba im z wysiłkiem pomagać, podsadzać je na siodło, a grzbiety koni uginają się pod ich ciężarem.

Wokół wszystkiego, co się porusza, unosi się kurz i pył, muchy są wszędzie, roją się przy pyskach i ciałach zwierząt, przy jurtach i żywności, i napojach, mrowią się gęsto jak żywe czarne futro na każdym miejscu, gdzie coś się rozlało, gdzie pozostał choćby nikły ślad wilgoci.

Tak, Chan powrócił do Karakorum i codziennie widać, jak wyjeżdża konno, między rzędy jurt i domów, siedzi jak zwykle nieco przygarbiony na koniu i zdaje się nie widzieć nic szparkami oczu, wygląda na nieobecnego, zagłębnego w sobie, choć może to być wrażenie zdradliwe.

Nosi teraz, w porze letniej, lekki strój ze złotym pasem, na głowie ma biały kapelusz z podwiniętą kryszą i pękiem czarnych orlich piór, na uszy, aż na ramiona, zwisa czerwona wstążka przytrzymująca kapelusz przy podmuchach wiatru.

Chan chętnie jeździ samotnie, a jeśli już ma kogoś w swej świcie, trzymają się oni o parę długości konia w tyle za nim, dopóki Chan nie zrobi znaku, by ktoś podjechał do jego boku, w milczeniu, dopóki Chan może nagle nie wypowie czegoś.

Kurz, który wznosi się spod kopyt końskich, to suchy, drobny pył pory letniej, który powstaje z pustynnego piasku i wisi nad miastem jak mgła, kładzie się na kopuły jurt i wzbija się przy najmniejszym podmuchu wiatru, ściele się jak jasna mąka na wszystkich przedmiotach i sprawia, że powietrze mieni się złościście albo czerwono.

Chan musi jechać długo, by wydostać się z rozległego obszaru miasta, gdzie jurty ustępują miejsca składom i ogrodzeniom dla zwierząt, gdzie ostra woń ludzi, koni, bydła, nawozu i fermentującego mleka ustępuje przed czystym powietrzem pustynnej równiny ze smugami suchych zapachów karłowatych ciernistych krzaków i wypalanej przez słońce roślinności.

Chan często zatrzymuje się przed pustynią, jakby po to, by odetchnąć głębiej, swobodniej, patrzy wtedy w dal na równinę, gdzie gorąca mgiełka migoce jak wrząca woda, i owo srebrzyste pobłyskiwanie sprawia, że wszystkie kontury rozplywają się w oddali, jakaś skała czy kilku jeźdźców zdają się nagle unosić ponad ziemią, powiększeni zwodniczo, a Chan musi podnosić głowę i wzrok, żeby móc zobaczyć niebieskofioletowe niebo jak olbrzymią kopułę namiotu nad sobą.

Karakorum, co znaczy Czarne Kamienisko, jest miastem jak chmura na ziemi, otulonym w dymy i kurz, nie dającym się objąć wzrokiem nagromadzeniem niskich domów i czarnych albo pobielanych wołokowych namiotów, z niewieloma piaszczystymi szerokimi ulicami dla jeźdźców i zaprzężonych w woły wozów.

Tuż na zachód od miasta płynie leniwie Orchon na północ, jego wody są w okresie suszy płytkie, mętnie szarobiałe, jak gdyby rozcieńczone mlekiem i niemal stojące w miejscu, wykopany kanał prowadzi przez całe miasto do dopływu na wschodzie, dającego skąpy zasób wody, chroniony surowymi przepisami.

Na północy równina wznosi się coraz to wyższymi falami aż ku góróm, które rysują swoje wyniosłe grzbiety na tle nieba, bladoniebieskie z oddali, kryjące w sobie doliny z świeżymi strumieniami i gęstym lasem, który wspina się na zbocza.

To kraj między rzekami, które wypływają na płaskowyż, jakby zrodzone z samej pustyni, i płyną na północ między góry, przez parowy i głęboko wcięte łożyska rzek: Selenga i Orchon, Onon i Kerulen, rzeki, które snują się jak błyszczące srebrne żyły przez sny nomadów, o imionach, które dźwięczą w ich uszach jak muzyka.

Kijaci, ród Chana, przybyli tu niegdyś ze wschodu na pastwiska między Ononem i Kerulenem, a po pewnym okresie zdradzieckiej przyjaźni z Kereitami z zachodu ci ostatni zostali pokonani, ich tereny i rody weszły we władanie Chana, a ich stolica Karakorum stała się siedzibą nowej władzy.

Było to pierwsze miasto, które ujrzał Temudżyn jako młody wódz szczepu, i zadziwiło go ono, wzbudziło jego ciekawość, otwartą pogardę i może ukryty zachwyt albo zawiść: te w jego oczach bezużyteczne mury z bastionami i wieżami, te moszczone kamieniami ulice i ciemne domy, które wydawały mu się odstrasające jak więzienie, te powiewające jedwabne chorągwie i lwy wyrzeźbione w kamieniu, te wspaniałe pałace i biblioteki pełne rękopisów.

Dziś Karakorum jest w mniejszym stopniu zamkniętym

miastem, jest ono już raczej potężną otwartą ordą, największą ordą na świecie, bezkresnym obozowiskiem jurty, gdzie stare mury miejskie stoją zapomniane w ruinie, nie mają teraz znaczenia, ponieważ Karakorum nie potrzebuje już obrony przed żadnym napastnikiem, pokonani wrogowie rozpieczęli się na wszystkie strony świata i nikt nie może zagrozić miastu, dopóki trwa panowanie Chana.

W czasie wyprawy wojennej na zachód Karakorum rozrosło się tak, że Chan w dużej mierze nie poznaje miasta, rozprzestrzeniło się ono coraz dalej na równinę we wszystkich kierunkach, z ogomnymi obszarami na stajnie i ogrodzenia, składy i magazyny, karawanseraje i warsztaty rzemieślników.

Łup wojenny i haracze z podbitych krajów napływały tu i gromadziły się nieprzerwanie, karawany obciążone produktami z całego świata, przybywały i nadal przybywają niemal co dzień rzeczy, którym podobnych lud nomadów jeszcze nigdy przedtem nie oglądał, wraz z ludźmi z najbardziej obcych nacji, dziwnymi rzadkimi zwierzętami i pięknymi ptakami.

Karakorum mogło tylko wzbudzać rozterki w umyśle Chana, starego nomady, rozdartego w swych uczuciach i woli, odstręcza go ono i wywołuje w nim połowiczną chęć zniszczenia albo porzucenia go, ale stanowi też dla niego nieokreśloną pokusę, coś z tej ciekawości i podziwu, jakie czuł wobec wszystkiego od młodych lat, naturalnie wspólnie z jasnym zrozumieniem potrzeby i niezbędności tego miasta.

Wiele cieszy Chana, gdy tak jedzie przez Karakorum, wszystko to, do czego przywykł i co poznaje z przeszłości, rojące się życie i ostra woń wielkiej ordy, wszystko, co jeszcze jest nomadyczne i mongolskie.

Ale inne zjawiska są dla niego zbyt obce, wzbudzają jego zastanowienie i pewne zgorszenie, irytację taką, jaką może odczuwać tygrys wobec muchy, są to zjawiska, przed którymi broni się, a jego rozsądek waha się: czy nie kryją one

w sobie przyczajonego niebezpieczeństwa, groźnego zwyrodnienia, zaczątku rozkładu?

W wielu miejscach gryzie go w oczy nowe bogactwo i przepych, także część jego najbardziej zaufanych ludzi wykazuje słabość do tego, stroją się oni coraz to bardziej jak zagraniczni panowie, w jedwabne stroje, złote koronki i inne ozdoby, raczej tak, jakby byli kobietami, a nie twardymi mężczyznami i wojownikami.

We wszystkich czynnościach posługują się coraz bardziej niewolnikami i brańcami, ich jurty stają się coraz wykwintniej urządzone, wspaniałe i wygodne, niektórzy nie zadowolają się już jurdami, lecz budują sobie domy, coraz wyższe i okazalsze, podobnie jak cudzoziemskie pałace, które oglądali, tak więc stają się osiadłymi i wiążą się z rzeczami, jak gdyby Karakorum było miastem podobnym do miast w obcych krajach.

Piją cudzoziemskie wina i przedkładają rzadkie potrawy nad kumys i baraninę, otaczają się pięknymi, próżniaczymi kobietami, które kunsztownie piętrzą włosy na głowie i noszą długie lakierowane paznokcie, pachną mocniej niż wiosenne bukiety kwiatów i są bardziej oddane zmysłowym igraszkom cielesnym niż rodzeniu dzieci.

Chan widzi także przybierający na sile handel, nagromadzenie ponętnych przedmiotów, mniej lub więcej bezużytecznych rzeczy, co grozi powstaniem istnych bazarów, jak gdzieś u wyznawców islamu, mimo że dozwolony jest tylko handel wymienny, a wszelkie inne handlowanie pociąga za sobą ryzyko konfiskaty i wygnania.

Kapłanów i mnichów i świętych mężów różnego rodzaju jest coraz więcej, jako że znajdują się pod ochroną tak długo, dopóki sami żyją w zgodzie z sobą nawzajem, są oni nawet uwolnieni od wszelkich danin: Chan poznaje ich w rojącym się tłumie i umie ich odróżnić: posępnii nestorianie w długich czarnych kaftanach, wyznawcy islamu w białych turbanach i podobnych do koszul białych szatach, lamowie w wysokich tybetańskich kapeluszach, kitajscy buddyści w szafranowych płaszczach, z ogolonymi głowami, i taoiści o średniodługich, rzadkich brodach.

Różne świątynie nadal wyrastają w różnych miejscach w Karakorum, szare drewniane kościoły nestorianów z iglicą i krzyżem, meczety wyznawców islamu o ciemnoniebieskich kopułach i długoszyich, pobielonych na biało minaretach, buddyjskie świątynie o okazałych portalach i pozłaczanych rzeźbach, klasztory lamajskie z kręcącymi się papierowymi kołami i dzwonami, które dzwonią na wietrze.

Patrząc na te wszystkie świątynie i kapłanów Chan budzi się raz po raz do nowej refleksji, sprawdza w duchu, czy postępuje słusznie, dając im tę swobodę, pozornie kosztem Tengriego, Wiecznego Błękitnego Nieba, ale trwa jednak przy swoim przekonaniu, że każda wiara powinna być szanowana, wszyscy bogowie i nauki traktowani na równi, wie przecież bardzo dobrze, że jest to mądra polityka.

Przejeżdża obok wielu zajazdów i rozległych obozowisk karawan, gdzie konie tłoczą się z wielbłędami i jakami, gdzie nie brak nawet pewnej liczby słońi, gdzie zbierają się ludzie z wszystkich kątów świata w przedziwnych strojach, w szumie niezrozumiałych języków: tak, tak, również i ci cudzoziemcy są chyba nieuniknieni i na swój sposób pożyteczni, trzeba się o nich troszczyć, muszą czuć się mile widziani u Chana największego mocarstwa świata.

Wszystko, co w Karakorum jest pracą i pożyteczną działalnością, przemawia do Chana, obserwuje on to z zainteresowaniem, nie okazując jednak tego mimo wszystko w jakiś szczególny sposób, nawet budowanie domów nie może wzbudzić jego niechęci, jakkolwiek trzyma się mocno zasady, że czcze i próżne jest wszelkie stałe osiedlanie się.

Cieszy on się widokiem niezliczonych rzemieślników, biegłych w zawodzie i zręcznych ludzi, którym uratował życie w czasie wypraw wojennych i kazał sprowadzić z różnych stron, zwłaszcza z potężnych krajów, podbitych na wschodzie i na zachodzie, zdolnych Kitajczyków i Persów, Turków i Arabów.

Wytapiają oni żelazo i inne metale, wykuwają broń i na -

rzędzia, kują złoto i srebro, przygotowują wełnę i tkają materiały, folują koce i wyprawiają skóry, farbują i garbują, skręcają sznury i postronki i szyją namioty, przykrawają buty ze skóry wołowej i także tarcze, pancerze, szyszaki i hełmy, zbijają kibitki, duże, mogące udźwignąć jurty wozy o wielu parach masywnych kół, i lekkie dwukołowe wózki do przewożenia bożków i droгоценności.

Widzi, jak stawiają nowe jurty i miasto nieustannie rośnie, jak wznoszą ściany ze skrzyżowanych gałęzi, przewyższające wysokość człowieka, jak kształtują kopuły z długich, wygiętych listew i rozpinają na drewnianym szkielecie gruby, mocno ubity wołok wysmarowany tłuszczem, by zrobić go nieprzemakalnym, niczym skórę na ciele zwierzęcia.

Podłogę udeptują ze słomy albo suszonej trawy, nim położy się na nią kobierce albo skórę i koce, palenisko pośrodku wykładają kamieniami i żwirem, otwór dla dymu u pułapu tworzy żelazny pierścień, który łączy z sobą gałęzie i zszyte płaty wołoku, na ognisku stawiają na trójnogu duży kocioł do gotowania i miskę, która ma swym osmolonym brzuchem wyłapywać iskry i pozwolić na to, by pogodę i ważne wydarzenia można było tam odczytać zawczasu.

Wokół ścian umocowują na odpowiedniej wysokości kozie rogi: tam ma się wieszać odzież, obok łuków i kołczanów, naczyń i kawałków suszonego mięsa, podczas gdy na lewo w jurcie stoją poustawiane gliniane dzbany z zapasami i konwie z wydrążonych pni drzew, napełnione mlekiem lub kumysem.

Taka jest jurta Mongoła z dawien dawna, taką buduje się ją i urzędują wciąż jeszcze, i za każdym razem, gdy Chan na to patrzy, daje mu to poczucie bezpieczeństwa, tak jak kiedy patrzy na onгона, bożka z wołoku, zawieszzonego nad łóżem, by dozorował pracę i odpoczynek; albo gdy widzi, jak ludzie wychodzą z jurty, by rozlewać ofiarne napoje dla słońca, wiatru i stron świata; tak trwa świat mimo wszystkich zmian.

Chan jeździ między stodołami i magazynami, gdzie składowano olbrzymie zapasy siana i słomy, prosa i ryżu, albo między składami pni drzew i sztab żelaza, skór i bali wełny, albo między wysokimi jak namioty górami nagromadzonego nawozu, który stanowi najlepsze paliwo i żywi ogniska we wszystkich jurtach i domach miasta.

A oto kanał z połączonymi z nim cysternami na wodę, powleczoneymi bladozieloną błoną pleśni, niby pomarszczonymi powiekami, a tam znów zanurzone kadzie płynnych farb, silnie świecących w oczy, i kraty do suszenia z nowo ufarbowanymi materiałami, które wydęte na wietrze łomocą jak żagle oglądane na szlakach wodnych Kitaju, tu masy wełny przygotowywanej do przeróbki na wojłok, opodal zaś rozpięte skóry wszelkiego rodzaju zwierząt, od włochatych skór końskich i wołowych do błyszczących lub puszyście mieniących się futer o gęstej sierści.

Dochodzą do tego te wszystkie zapachy i dźwięki, które stapiają się w jeden zagęszczony rytm życia ordy: wonie różnego rodzaju zwierząt, nawozu i moczu, wnętrzości z oczyszczonych tusz i świeżo bitego mięsa, płonącej smoły i lakieru, węgla drzewnego i sadzy z kuźni, suszonych ziół, zmagazynowanych gatunków drewna i materiałów garbarskich, i odgłosy pracy rzemieślników, wszystkiego co dźwięczy, stuka, zgrzyta, skrzypi, a także okrzyki ludzi, rzenie koni i ryk bydła na tle gwaru miasta, szumu wielkiej ordy, która cała sprawia wrażenie jak gdyby ogromnego mrowiska.

W końcu najdalej na peryferiach zaczynają się stajnie i ogrodzenia dla bydła, zimowe kwatery i miejsca zbiórki dla koni z wypalonymi na lędźwiach znakami rodu, zagrody dla stad wołów, kóz i owiec, stłoczonych brzuch przy brzuchu na wielkim obszarze, w oparach gnoju i kłębiącym się kurzu, w chmurze głucho brzęczących much.

Odbywa się tam nieustające dojenie klaczy, kóz i krów, według starego porządku podzielone tak, że tylko mężczyźni doją klacze, a kobiety kozy i krowy, pod nadzorem poustawianych bożków, którym zawsze daje się pokosztować

trochę mleka i które odpowiadają za to, by trzymało się ono świeże w skórzanych bukłakach i drewnianych wiadrach.

Chłostanie grubymi kijami zawieszonych skórzanych worków z mlekiem klaczy, by przyspieszyć fermentowanie i przemienić mleko na kumys — to też zajęcie mężczyzn, podczas gdy kobiety zajmują się mlekiem krowim i kozim, by przyrządzić masło i masę na sery.

Wciąż jeszcze jest to rozkosz dla Chana wdychać kwaszkowatą woń unoszącą się wokół tych zajęć: wie wtedy, że jest blisko tego, co pierwotne i trwałe w dawnym koczowniczym bytowaniu Mongołów.

Ale widzi także przemiany, odczuwa niemal co dnia nowe zwyczaje i obyczaje, które wdzierają się do życia ordy, tak wiele obcych akcentów wśród ludzi i rzeczy:

Choroby leczą rozpalonymi szpilami, które wbija się głęboko w ciało, wrzody wycinają nożami i rzucają na pożarcie czekającym w pobliżu psom, bliźniaków nie zabija się już potajemnie pętlą założoną na szyję, jako coś haniebnego i niebezpiecznego, lecz robi się z tego ceremonię z widzami.

Szamani nie wyruszają już w teren, by wypędzać złe duchy z porzuconych obozowisk, pisarze przyjmują karawany i kontrolują składanie towarów w magazynach, żrebaki ogiery trzebi już nie ich właściciel, tylko jakiś ciemnoskóry cudzoziemiec o dłoniach kobiety, wielu jest pijanych przy strzyżeniu wełny owczej, i zadaje zwierzętom krwawiące rany.

Mięso pieką coraz częściej na kamieniach albo płytach żelaznych podgrzanych na ogniu, mistrz kowalski trwoni czas na wykuwaniu żelaznych ptaków większych niż orły, karły zostawia się przy życiu, by używać ich do szczególnych zadań na wojnie, pewien człowiek uzyskał jadalną żywicę z drzew szpilkowych i dzieli ją między dzieci.

Skórzane buty, które dotąd kobiety szyły kościanymi igłami, są teraz szyte igłami z metalu, tylko mało kto jest wciąż jeszcze biegły w sztuce wyrzynania z kości haczyków na ryby, różne rodzaje gier kulami, kośćmi albo kartami zdo-

bywają coraz większe wzięcie i prędzej czy później powinny zostać zabronione.

Musze z morza stały się ulubione, przechodzą z rąk do rąk, by można było posłuchać w nich szumu fal, i ludzie dziwią się nad tym tak, jak i nad wiadomością, że w tych muszlach żyły małe zwierzątka, które je wytworzyły.

Przylepianiem piór do pierzysk strzał trudnią się poważnie starcy, lotki te pochodzą od dzikich kaczek i czyni się je giętkimi przez umoczenie w oleju; coraz mniej ludzi zadaje sobie trud, by chodzić w sitowie szukać jaj ptasich, ale zdarza się jeszcze, że ktoś przyjeżdża, trzymając przed sobą na koniu porwaną kobietę, wlecze ją do swojej jurty i wielu nasłuchuje jej krzyku albo jej milczenia.

Małpy wzbudzają sensację i wabią do śmiechu, bo naśladują ludzi, wśród Kitajczyków mówi się, że ich mózgi są smaczne, gdy zjada je się żywcem, stało się konieczne karanie kilkoma uderzeniami różgi kobiet, które płaczą i lamentują zbyt długo przy łożu śmierci, zdarza się wciąż jeszcze, że świstak łapie się, by ugotować je żywcem i zdzierać z nich skórę w trakcie zjadania.

Niemało mężczyzn przeżyło złamanie kręgosłupa, są oni sparaliżowani, tak że kobiety muszą ich wynosić i wnosić do jurt, chorzy śpią tak jak dawniej, wśród zwierząt, by wyzdrowieć, nie zabija się już koni, które straciły jedno oko, lecz przenosi się je do taboru, psom, które szczekają przez sen, szaman coraz rzadziej bada serca, by odsłonić ich tajemnicę.

Coraz więcej kobiet pozwala rosnać zbyt długim poznaćciom, świadczy to o coraz to większym nieróbstwie i lenistwie, wiele nie zadowala się też już własną naturalną wonią, lecz spryskuje się pachnącą wodą z małych flaszeczek; obcy przybywają z wszystkich stron i myślą, że mogą odjechać, kiedy im się spodoba, daje się im odpoczynek i wyżywienie, ale muszą mieć pozwolenie, aby podróżować dalej.

Wichura zrywa dachy z kilku domów, wygląda to dość zabawnie i trudno się z tego nie śmiać, całkiem inaczej wygląda sprawa, gdy jurta zerwana z ziemi wiruje w podmuchach wiatru, podczas gdy zaskoczona tym rodzina owija

się futrami i dywanami, by je utrzymać i zachować, ale toczy się tylko w nich, popychana przez wiatr i włoczona po ziemi.

Ktoś przybywa ze skamieniałymi pustynnymi różami i pokazuje je wokoło, z koloru są one jak odchody i pozbawione piękna, są ciężkie i chropawe, gdy je wziąć do ręki, na co też mogą się przydać; mówi się także o drzewach z żelaza, które stoją czarne i pozbawione liści przez rok okrągły, twierdzi się również, że istnieją góry z metalu i góry, które krwawią co miesiąc jak kobiety.

Chodzą słuchy o obcych kobietach, które zwykły ścisnąć jądra mężczyzn, tak że nasienie wytryska przedwcześnie, niektóre z cudzoziemskich kobiet twierdzą, że mężczyznom cuchnie z ust jak drapieżnikom, ale nie wiadomo, czy je to kusi, czy też odpycha, staje się też coraz zwykłejsze, że kobiety nie noszą swoich piersi spłaszczonych, lecz nienaturalnie podniesione przez suknię albo specjalne przepaski, tak że wygląda to, jakby miały więcej mleka, niż rzeczywiście mają.

Często zdarza się obecnie, że wojownika trzeba zabić za to, iż jego broń zardzewiała albo też zaniedbał ją w inny sposób; mężczyźni, którzy oglądali morze, w żaden sposób nie mogą o nim zapomnieć, lecz wciąż mówią i marzą o wielkiej wodzie, o jej sile i bezkresności, co łatwo może wzbudzić niepokój bez żadnego pożytku.

Jakiś jeździec prześladowany przez szerszenie wzbudza śmiech, gdy usiłuje oderwać się od nich galopem, przypomina to walkę z niewidzialnym wrogiem; jeźdźcy mają w pogardzie poganiaczy wielbłądów, ale same wielbłądy pogardzają jednakowo wszystkimi, wyglądają tak, jakby chciały pluć na ludzi, do zwierząt tych trudno jest przyzwyczaić się temu, kto zawsze żył pośród koni.

Wszystko to zauważa Chan, gdy tak przejeżdża obok, niedostrzegany przez większość ludzi, w prostym stroju jeźdźca, z kapeluszem wciśniętym na czoło, zgarbiony na koniu, bez widocznej dumy i bez znaku władcy, stale zamysłony, pograżony w swoich planach, w sobie.

MŁODY TEMUDŻYN przebywał jakiś czas u chana Deja Seczena na pół w charakterze wojownika i koniucha, na pół jako szanowany gość i przyszły zięć, ze żwawą Börte przed oczyma; wtem przyszła wieść, że ojciec jego leży na łożu śmierci, otruty w czasie wizyty w obcej ordzie,

Temudżyn pośpiesznie się pożegnał i ruszył w drogę sam z trzema końmi, nie odpoczywając podczas długiej i ciężkiej podróży, zmieniając tylko co jakiś czas konia, ale gdy dotarł do domu, do ordy swego szczepu, chan już nie żył,

i Temudżyn zajął mimo młodego wieku miejsce chana w jurcie ojca, zasiadł tam na białej końskiej skórze z młotem władcy w ręku, młody chłopak, który nadał swojej twarzy twardy wyraz, a obok niego siedziała matka, smagła Höelün o czarnych błyszczących oczach i szerokich biodrach,

nieszczęście dotknęło ich mocno, śmierć Jesügeja Baatura ściągnęła ze sobą katastrofę na szczep, to on spajał go wewnętrznie i rozszerzał jego potęgę, trzymał w ryzach inne podbite szczepy i zmuszał je do płacenia dziesięciny, wielkim cieszył się szacunkiem jako wojownik i chan,

teraz, gdy go nie stało, natychmiast rozpoczął się rozkład, ujarzmione szczepy podniosły bunt, nawet we własnym szczepie wielu wzbraniało się uznać młodego Temudżyna jako chana i zaczynało odchodzić w różnych kierunkach, by szukać pastwisk i łupów na własną rękę albo oddać się pod opiekę jakiemuś innemu chanowi,

ale energiczna Höelün porwała znak władcy, sztandar z dziewięcioma ogonami jaków i wskoczywszy na konia rzuciła się w pogoń za odchodzącymi gromadami, usiłując je zatrzymać; wbiła sztandar w ziemię przed nimi i zaklinała

ich, żeby wrócili ze swymi wozami-namiatami i ze swymi stadami; niektórzy zawahali się i wrócili za Höelün do ordy, ale większość poszła dalej.

Temudżyn siedział nadal w jurcie władcy, zajmował uparcie miejsce chana i wzbraniał się uciekać, choć zdawał sobie sprawę z tego, że przeciwnicy chcą go usunąć z drogi i obwołać chanem kogoś innego; Höelün nie musiała dodawać mu odwagi, chodziła tylko mroczna i zacięta, w oczekiwaniu na najgorsze,

sama ona została porwana przez Jesügeja z dzikiego wojowniczego szczepu Merkitów, którzy przyszli z tundry i puszczy na północy, niechętna oblubienica, którą chan musiał ugiąć i ujarzmić gwałtem, nim urodziła mu synów i zaczęła go darzyć wojowniczym oddaniem wilczycy,

ale to jeszcze nie Merkici przyszli się mścić, tylko wrodzy i podstępni Tajdziuci pod wodzą swego chana Tarkutaja, który z wielkimi rzeszami jeźdźców wyruszył na ordę Temudżyna, odpędził stada i ruszył do natarcia na namiot władcy,

opór nie miał widoków na powodzenie, jedyną możliwością była ucieczka, i Temudżyn oraz jego trzej bracia wraz z najbliższymi braćmi przyrodnymi zdołali umknąć konno na pokryte lasem stoki wzgórz, przedostając się tam przez rozpadliny i głębokie jary, pośród skał i kamiennych bloków,

a gdy nastąpiły ciemności, ukryli się w jakiejś grocie, z wyjątkiem Temudżyna, który sam podążał nadal pod górę i któremu mimo zmęczonego konia udało się uniknąć doścignięcia przez prześladowców, nie miał on jednak z sobą żadnego pożywienia i nie mógł znaleźć niczego jadalnego, głód zmusił go więc niebawem do próby przedarcia się przez szeregi Tajdziutów,

wtedy został odkryty i pojmany, zaprowadzono go przed Tarkutaja i zmuszono, aby padł przed nim na kolana, chan uśmiechnął się chytrze, rzucił jeńcowi pogardliwe spojrzenie i nie kazał go uśmiercić, lecz zamiast tego upokorzył go, zakuwając w dyby — ciężkie drewniane jarzmo na

barki — z ramionami wyciągniętymi i skutymi żelaznymi okowami,

po czym wsadzono go do silnie strzeżonej jurty na kibitce, która chwiejąc się i skrzypiąc potoczyła się za stadami i grupami wojowników; Temudżyn nie mógł wyjrzeć na zewnątrz, ale starał się nasłuchiwać, dokąd podążają, skąd wieje wiatr, czy szuwni w drzewach, czy jadą przez wysoką trawę, lub też czy chlupot wody o koła zdradza przeprawę przez rzekę,

był pewny, że jechali najpierw przez las, a potem przekroczyli rzekę, której wody musiały sięgać wyżej osi kół, i tego samego wieczoru, gdy rozbili obóz, usłyszał, że wojownicy udali się na jakąś zabawę, a w wozie z namiotem pozostawiono tylko jednego strażnika,

skorzystał z tej okazji, skoczył nagle na wartownika, uderzając go dybami tak, że ten upadł i legł bez ruchu, Temudżyn wydostał się z jurty, zeskoczył z wozu i rzucił się w zarośla, w świetle pełni księżyca, który właśnie wszedł,

potem biegł najszybciej jak mógł przez las z ciężkim jarzmem na barkach i rozpostartymi rękami, które uderzały o pnie drzew i groziły uwięzieniem w gęstwinie, kierując się drogą z powrotem do rzeki, przez którą przedtem przeszli, i dotarł do niej, nim dogonili go prześladowcy,

wszedł do rzeki, brodząc przez pasmo trzciny i zanurzył się w lodowatej wodzie, tak że leżał grzbietem zakutym w dyby na dnie i tylko twarz trzymał nad powierzchnią wody, a ścigający go jeździli konno wzdłuż brzegów i szukali go, ich psy zgubiły ślad nad rzeką, a wojownicy wyglądali na bezradnych,

ale gdy Temudżyn, zamiast zamknąć oczy, nieostroźnie śledził ich wzrokiem, spotkał nagle spojrzenie jednego z prześladowców i zdał sobie sprawę, że został odkryty, że ucieczka nie przydała się na nic, po krótkim jednak wahaniu mąż ów odwrócił głowę i podążył za innymi, nie zdradzając go,

Temudżyn zdążył zauważyć, że człowiek ten nie był jednym z Tajcziutów, lecz obcym, który przebywał pośród nich, i kiedy rozważył swoje położenie, zdecydował się na

śmiałą próbę: powrócił do obozu, gdzie udało mu się odszukać jurte, w której znajdował się obcy,

mokry i umazany w błocie wśliznął się do namiotu, mężczyzna przerażony wpatrywał się w niego w słabym świetle ogniska, młodzieniec rzucił się przed nim na kolana i błagał go o pomoc, obcy, który był gościem u Tajcziutów, stanął przed trudnym dylematem, uważał, że nie może wydać młodzianka, ale pomagając mu, ryzykował życie,

musiało jednak być w Temudżynie coś, co sprawiło, że obcy przezwyciężył wahanie, zerwał żelazne okowy, rozbił dyby i wrzucił je do ogniska, pozwolił zbiegowi ukryć się w wozie załadowanym wełną, na wypadek gdyby Tajcziuci stali się podejrzliwi i chcieli przeszukać jurte,

kiedy można już było sądzić, że niebezpieczeństwo minęło, Temudżyn dostał coś do jedzenia i do picia; zanim wyruszył w drogę, podziękował mężczyźnie i zapytał go, kim jest, i otrzymał od niego odpowiedź, że nazywa się Sorkan Szira i jest myśliwym z szczepu Süldüs, na co młodzieniec odpowiedział z godnością młodego chana, że nigdy nie zapomni jego nazwiska i że spotka go nagroda za jego postępek,

po czym Temudżyn wymknął się ostrożnie z jurty, znalazł konia i odjechał z obozu Tajcziutów.

Börte żyła w domu w jurcie swego ojca i czekała, jej szare oczy promieniały chęcią życia, spiczaste piersi odznaczały się przez odzienie, była w pełni gotowa pójść za młodym chanem, kiedy tylko przybędzie, by ją zabrać,

ale to się wciąż jeszcze odwlekało, Temudżyn nie mógł jeszcze myśleć o tym, by zabrać oblubienicę, zbyt był zajęty zachowaniem życia w nierównej walce z wrogami.

Gdy powrócił po ucieczce z niewoli, znalazł obozowisko rodzinne opuszczone, nie pozostawiono nawet żadnego znaku, nic prócz zdeptanego popiołu po ogniskach i resztek odchodów bydła, których nie zabrano,

ale znalazł ślady kilku koni i poszedł za nimi, dogonił w końcu rodzinę, matkę wraz z rodzonymi i przyrodnymi

braćmi, którzy wrócili, małą siostrę Temülün i kilka ciężko utrudzonych koni,

udali się do ordy, gdzie mieli wiernych zwolenników i zaczęli potem wędrować do różnych obozów, by ściągać należną chanowi daninę, którą oddawano niechętnie albo której zgoła odmawiano, gdyż przecież Temudżyn nie miał mocy, by kogokolwiek zmusić.

Przedewszystkiem jednak chodziło o to, aby przeżyć dzięki przebiegłości i ruchliwości, aby unikać wrogów, zrezygnować z dobrych pastwisk wokół rzek i trzymać się na płaskowyżu, Temudżyn okazał się w tym zarówno chytry jak i wytrwały, zdobywał coraz większy respekt i coraz więcej ludzi szło za nim, przede wszystkim młodzi wojownicy, którzy ściągali doń z powodu jego śmiałości i przedsiębiorczości,

robił ustawicznie szybkie wypadły przeciw wrogim rodóm, rabował bydło i plądrował jurty w obliczu przeważającej siły, znikał znowu jak wichur i nie dawał się złapać, otaczała go zuchwałość i wesołość, grzmiący śmiech, dzikie brawurowe wyczyny, trudy, które miano sobie za nic i nagłe szczodre i huczne zabawy,

ale wciąż jeszcze zwlekał z odwiedzeniem Deja Seczena, potężnego chana, którego córka czekała na niego, nie, nie chciał przyjść jako szukający pomocy i wyzbyty mienia, nędzny biedak, i z tych samych powodów nie zwracał się też do chana Kereitów, jeszcze potężniejszego Toorila, towarzysza broni i sprzymierzeńca jego ojca, który siedział obwarowany w bogatych, otoczonych murami miastach dalej na zachodzie.

Minęło parę lat, zanim był gotów zabrać swoją oblubienicę, nim poczuł się dostatecznie silny i potężny, młody chan, któremu sprzyjało szczęście w boju, i wtedy spadł niespodziewanie jak huragan, w otoczeniu wieluset młodych wojowników, z wielką liczbą koni objuczonych darami, jedwabnymi strojami, srebrnymi naczyniami, futrzanymi płaszczami, drogocenną bronią i klejnotami, wszystko to zrabowane z karawan na pustyni albo z bogatych jurt,

gromady jeźdźców wpadły jak burza do ordy Deja Secze-

na, krzycząc i wymachując bronią, tak jakby chodziło o napad, odziani byli w garbowaną skórę i nosili napierśniki z napawającymi strachem obrazami w jaskrawych kolorach, wywijali długimi włóczniami furkocącymi od końskich ogonów i ozdobnych wstęg, ich twarze wysmarowane były owczym łojem dla ochrony przed zimnem i pokryte pasmami potu i brudu,

psy rzuciły się na najeźdźców, ale wystraszył je wir końskich kopyt, nikt nie zdążył chwycić za broń, kiedy już gromada jeźdźców zatrzymała się jak wryta w chmurze kurzu przed jurta chana przy grzmiącym śmiechu, Temudżyn zeskoczył z konia i podbiegł do Deja Seczena, który właśnie wyszedł z namiotu, ugiął przed nim kolana, by szybko podnieść się znowu i rzucić w jego ramiona.

Potem zaczęły się uroczystości, które trwały przez trzy dni i noce, szlachtowano owce i konie, mięso gotowało się nieustannie w wielkich garach, płomienie z ognisk strzelały wysoko w górę, rozdawano kumys i wino ryżowe, czarki przelewały się i napój spływał po brodach i strojach, drumle i flety rozbrzmiewały muzyką i mężczyźni tańczyli ze sobą nawzajem, głęboko przyklękając w swych miękkich butach ze skóry jeleniej,

trzeciego dnia Börte siedziała gotowa, odziana w strój oblubienicy, i czekała w jurcie, cicho i w milczeniu, nasłuchiwała wrzawy świętowania, wciągając od czasu do czasu głęboki oddech, w długiej do stóp szacie z białego sukna, z wysokim stroikiem na głowie, zwiniętym w trąbkę kapturkiem z kory, przybranym jedwabiem i błyszczącym od srebrnych monet i małych kawałeczków lustra, z ciemnobrunatnymi włosami splecionymi w warkocz i zwiniętymi w wieniec na czole,

czekała na odjazd, napięta i żarliwa wobec tego, co miało się stać, znużona tym świętem, które było głównie dla mężczyzn i właściwie wcale jej nie obchodziło, czuła się jakby postawiona poza nim, płomiennie niecierpliwa po całym tym długim oczekiwaniu i niemal obrażona,

ale ta chwila zbliżała się coraz bardziej i gdy tylko usłyszała, że przychodzi moment wyruszenia i goście gotowi są

wsiąć na konie, wymknęła się z jurty szybko jak łasica, choć długa szata przeszkadzała jej w szybkim biegu, a brzęk srebrnych monet i błysk kawałeczków szkła szybko zdradził, gdzie się znajdowała,

Temudżyn puścił się za nią, między kobiety i służki, które zgodnie ze zwyczajem ustawiły się na jego drodze i robiły co w ich mocy, żeby mu przeszkadzać, wołając przy tym i śmiejąc się, ale nic nie mogło powstrzymać młodego chana, dogonił oblubienicę i pochwycił ją, nie stało się to ani zbyt prędko, ani nie trwało też zbyt długo, obojgu im przyniosła zaszczyt ta ceremonia, i zaniósł Börte kopiącą do swego konia, posadził na wysokim siodle i sam wskoczył na siodło za nią,

a potem pomknął z ordy na pustynną równinę, uwożąc oblubienicę, na czele rozśpiewanej i rozkrzyczanej gromady młodych wojowników.

Ożeniwszy się i nabrawszy buty postanowił teraz Temudżyn odwiedzić wielkiego chana Toorila, przybył do niego z pełnym zaufaniem jako wychowanek, pojawił się w jego mieście Karakorum, przywiózł z sobą odpowiednie dary i zdumiewał się wszystkim, co zobaczył w tej stolicy Kereitów z wąskimi uliczkami wewnątrz murów, między domami z wypalanej na czerwono gliny albo wyblakłego od słońca drewna,

ale w rzeczy samej nie dawał się niczemu olśnić, tylko patrzył bardzo krytycznie na wiele rzeczy, oczy miał otwarte i zważał dokładnie na wszystko, troszcząc się równocześnie o to, żeby Tooril uznał go za bardziej dziecinnego i mniej doświadczonego, niż oczekiwał, za dostatecznie niegroźnego i otwartego, żeby ten ostrożny stary chan mógł sobie pozwolić na sympatię wobec niego.

Temudżyn nie prosił o żadną pomoc, odjechał tylko znów w swoją stronę z podarunkami, które otrzymał w zamian za swe dary, i zabrał z sobą swoje wrażenia, swoje tajne myśli: Tooril był istotnie niezmiernie bogaty, miał wielką siłę, był skąpy i chytry, ale też leniwy i wygodny, stary lis, który niczego by nie zaryzykował, za to we wszystkim upartywałyby tylko własną korzyść,

a jego miasto było dla Temudżyna bardziej odpychające niż kuszące, zamknięte i duszne z wszystkimi tymi domami i umocnieniami, z bezsensownym zbytkiem, obżarstwem i występkiem, zniewieściali mężczyźni ubrani niemal tak jak ich podobne do dziewczek kobiety i owiani sztucznym zapachem, otoczeni wodą, którą trwoniono na niepotrzebne ogrody i kwietniki, murami, które może i były niezdobyte, ale które można było pokonać w inny sposób.

Temudżyn powrócił do siebie i wyczekiwał z ufnością, co przyniesie czas, ale na płaskowyżu i w dolinach rzek panował niepokój, różne szczepy podejmowały znowu walki z sobą, i nagle z północy nadciągnęli straszliwi Merkici, byli tak chytry i szybcy, że zaskoczyli młodego chana w jego ordzie, wpadli tam na koniach w środku nocy, wyjąc gorzej niż wilki, wrzucając do jurt płonące pochodnie i ścinając tych, którzy z nich wybiegali,

Temudżynowi udało się ujść, wskoczył na konia i znikł w ciemnościach, uciekając na równinę, podczas gdy orda za nim stała w płomieniach, a wrzaski zabijających i zabijanych wciąż jeszcze dźwięczały mu w uszach,

następnego dnia zebrał ocalałych wojowników wokół siebie, a gdy powrócili do ordy, nie znaleźli tam już wrogów, większość jurt była spalona lub splądrowana, wielu ludzi zabitych, a dużo kobiet uprowadzonych, wśród nich także Börte, młoda żona chana, którą dopiero tak niedawno wprowadził do swojej ordy.

Temudżyn udał się teraz znowu do Toorila w Karakorum i poprosił go o poparcie, by zaatakować Merkitów, co było w chana własnym interesie, ponieważ Merkici mogli obrócić się także przeciw niemu, toteż chan wydzielił nieduży oddział, który miał wzmocnić watahę wojowników mongolskich, puszczono się pod dowództwem Temudżyna w pościg za Merkitami i napadnięto ich zniemacka w obozie w pewną księżycową noc,

wybuchło wielkie zamieszanie, zaspani Merkici musieli walczyć pieszo, podczas gdy napastnicy wpadli na koniach jak burza, galopowali między jurtami, wznosząc mrozące

krwem w żyłach okrzyki, kłuli włóczniami, cięli mieczami, wypuścili deszcz strzał,

zwycięstwo było zapewnione od początku i Temudżyn szukał przede wszystkim Börte, miotał się na koniu po obozie, wołając ją po imieniu raz po raz, dopóki nie usłyszała go i nie wybiegła z jurty, podniósł ją ostrożnie na konia i cwałem wyniósł z wiru toczącej się bitwy.

Prócz wyprawy łupieżczej napad Merkitów na ordę Temudżyna miał na celu porwanie kobiet, zawziętą zemstą za kobietę, którą ojciec jego porwał był od Merkitów i uczynił swoją żoną, Börte została też oddana temu samemu mężczyźnie, który utracił Höeliin dwadzieścia lat wcześniej,

i teraz okazało się, że Börte jest brzemienią swoim pierwszym dzieckiem, które mogło być dzieckiem Temudżyna, ale równie dobrze i tego drugiego mężczyzny, młodzi małżonkowie nigdy nie mówili o tym z sobą, ale wątpliwość ta istniała u Temudżyna, a może nawet i u samej Börte, nie wypowiedziana stała nadal między nimi, tłumiona i spychana w głąb ich wzajemną dumą,

kiedy urodził się syn, przywitany został radośnie przez Temudżyna i nigdy nie ucierpiał z powodu wątpliwości co do swego prawego pochodzenia, ale na imię dano mu Dżoczi, co znaczy Gość.

Z początku panowało pewne napięcie między Börte a Höeliin, młoda małżonka wykazywała silną wolę, która nie chciała się ugiąć przed teściową, Höeliin nie chciała ustąpić ze swego wpływu na syna, Börte natomiast nie ociążała się ze swej strony z próbą wykazania swojej władzy nad mężem, przychodziły do niego każda z osobna i skarżyły się na siebie nawzajem, każda ze swej strony chciała obrócić go przeciw tej drugiej,

obecnie pozycja Börte uległa raczej wzmocnieniu skutkiem jej porwania, wartość dla Temudżyna wzrosła jeszcze bardziej po tym, jak ją utracił i odzyskał na nowo, stała się przedmiotem jego większej dumy, zarówno jako mężczyzny, jak i wojownika, gdyż to, że należała do innego

mężczyzny, zmuszona do tego gwałtem, wcale nie umniejszało jego uczucia dla niej, wprost przeciwnie,

a Börte powróciła nie tylko jako przyszła matka, ale bardziej doświadczona kobieta, która wytrzymała przemoc i cierpiała nie załamawszy się, zdobyła też przez to większy respekt u Höelün, która oprócz tego czuła się niejasno współwinna jej losu przez to, że to ona właśnie była ową porwaną ongiś kobietą, powodem zemsty, której ofiarą, miast niej samej, miała zostać Börte.

Temudżyn nadal stał między żoną a matką, niczym skała, o którą obie one tłukły jak fale, nie poruszając go, a jednak wpływając na niego stopniowo, czasem wskutek połączenia ich kobiecej woli przeciw niemu, czasem przez działanie w odwrotnych kierunkach, obie mądre i bystre, obie przenikliwe skutkiem wzajemnej nieufności do siebie i nieufności do wszystkiego, co mogłoby zbałamucić młodego chana, oszukać go albo wzbudzić w nim fałszywe poczucie bezpieczeństwa,

i odtąd nigdy już, także jako potężny Chan, nie przestał słuchać ich obu, zastanawiać się nad ich radami i może ważyć je, porównując z sobą, nie przestał szanować tych obu kobiet jego życia i stawiać ich ponad wszystkie inne, uciekając być może równocześnie czasami od ich dręczącej siły woli, ich uparcie narzucanego kobiecego władania i oddychając swobodniej podczas licznych i długich wypraw wojennych.

Temudżyn umocnił swoje władanie nad różnymi szczepami Mongołów, osłonięty od zachodu przymierzem z Toorilem, ale w stałej gotowości bojowej wobec Tajczuiatów i Tatarów, którzy napierali od wschodu w okolicach między Ononem i Kerulenem, kontynuując prastarą walkę nomadów o pastwiska w dolinach rzek i wzdłuż szlaków wodnych.

Pod jesień mijał rok, odkąd Temudżyn znajdował się w drodze do nowych pastwisk położonych w rozległej dolinie, jechał na czele trzynastu tysięcy dobrze uzbrojonych wojowników i długiego sznura załadowanych jurtami ki-

bitek, za którymi kroczyły stada bydła, ciągnące niczym ciemne chmury po porośniętych bujną trawą stokach,

młody chan zaczął czuć się niebezpiecznie pewny swojej siły i widział już cel życia przed sobą: zjednoczenie wszystkich Mongołów pod swoim władaniem i zapewnienie sobie prawa do tej części płaskowyżu i dolin rzek, które znał.

Wtem nagle wróciło kilku wysłanych zwiadowców na zdyszanych koniach i zameldowało chanowi, że pojawiło się obce wojsko i zbliża się z wielką szybkością, byli to Tajczuci pod wodzą Tarkutaja, starego wroga Temudżyna, który go niegdyś wziął do niewoli, a liczbę nadciągających oceniano na trzydzieści tysięcy,

Temudżyn mógł uciec ze swoimi wojownikami i umknąć pogoni na wypoczętych koniach, ale nie mógł zabrać z sobą wozów z namiotami, rodzin i stad bydła, własności szczepu i podstawy jego egzystencji, pojechać zaś przeciw wrogowi i spotkać się z nim w otwartym boju oznaczało pewną klęskę,

nie było czasu na zastanowienie się i rozważenie, Temudżyn działał szybko i zdecydowanie, wykazując swój szczególny dar skupienia przenikliwości, dał znak wojownikom i reszcie swoich ludzi za pomocą dźwięków trąb i podniesionych sztandarów,

kibitki ustawiono tak, że utworzyły rozległy otwarty czworokąt, do którego wpędzono stada, kobiety i chłopcy uzbrojeni w łuki i strzały ukryli się w jurtach na wozach albo pod ich osłoną, podczas gdy jeźdźcy zajęli stanowiska między pokrytymi lasami stokami i czworobokiem utworzonym przez kibitki, i uszykowali się tam oddziałami, każdy po stu jeźdźców w szeregu i dziesięć szeregów jeden za drugim, tak że łączna ich siła liczyła trzynaście formacji po tysiąc ludzi w każdej.

Wraże wojsko nacierało na nich w lżejszych formacjach, każdy oddział głęboki tylko na pięć szeregów, oba pierwsze szeregi dobrze bronione misiurkami i hełmami, misiurki z żelaznych płytek albo splecionych żelaznych łańcuszków, hełmy zaś z twardej lakierowanej skóry, wojsko uzbrojone

było w okrągłe, łatwe do manewrowania tarcze i długie włócznie z kitami z końskiego włosia,

te pierwsze szeregi nagle rozsunęły się na boki tuż przed starciem i przepuściły do przodu trzy tylko szeregi składające się z lżej zbrojnych, ale bardziej ruchliwych jeźdźców, którzy pędzili naprzód, by wystrzelić z łuków strzały i miotać krótkie włócznie, po czym mieli zawrócić i odjechać z powrotem, przygotowując w ten sposób drogę dla cięższych szeregów jazdy.

Ale łucznicy Temudżyna w formacjach głębokich na dziesięć szeregów przyjęli napastników śmiercionośnymi rojami strzał z łuków wzmocnionych rogiem, sami chronieni przez szeregi jeźdźców z podniesionymi tarczami, siedzących na przybranych w skórę koniach, potem jeźdźcy ci uderzyli z wielką siłą, w gęsto zwartym szyku zarówno w bok, jak i w głąb, osłanianiani na flankach przez zalesione stoki i czworobok wozów,

zwartość i siła uderzenia formacji Temudżyna rozerwała o wiele liczniejsze, ale rzadsze oddziały jazdy Tarkutaja, aż atakując przeszli do walki wręcz, wyjąc w dzikiej furii, wojownicy atakowali się włóczniami i krzywymi szablami, wyrzucali przeciwników z siodła albo ściągali ich i zrzucali arkanami, przy nieprzerwanym świście strzał wbijających się w ludzkie i zwierzęce ciała z twardym wstrząsem i przeraźliwym dźwiękiem wibrujących bełtów,

walki przesunęły się tam i z powrotem z niezminiejszą furją, aż zaczęło się ściemniać ku wieczorowi, wtedy Tarkutaj dał znak do odwrotu i uciekł z resztą wojska, pozostawiając na pobojuwisku około sześciu tysięcy zabitych, a w niewoli siedemdziesięciu swoich najwybitniejszych wozów.

Temudżyn odniósł w ten sposób pierwsze wielkie zwycięstwo i kazał rozbić obóz na pobojuwisku, rozpalić ogniska i przyrządzić mięso z zabitych koni; wziętych do niewoli wozów przyprowadzono przed jego oblicze i musieli oni paść na kolana na znak poddania, Temudżyn wahał się, czy ich zabić, czy też przyjąć na swoją służbę, w chwili

triumfu był nieco zawiedziony, że pośród jeńców nie znalazł się sam Tarkutaj, tak aby i on mógł zakosztować, co to znaczy siedzieć w poniżeniu z dybami na barkach.

Sojusz między Temudżynem i chanem Kereitów, Toorilem, został umocniony i mongolscy wojownicy walczyli teraz u boku Kereitów, żeby odeprzeć powtarzające się ataki zachodnich szczepów, które dotychczas były nie znane Temudżynowi, a ten nadal w coraz to większym zakresie ściągał do siebie młodych śmiałków, dowódców i wojowników, podczas gdy jego znajomość sztuki wojowania nieustannie rosła.

Wielki sukces osiągnął, gdy udało mu się namówić Toorila do udziału z wojskiem w natarciu na Tatarów na wschodzie nad Kerulenem, kiedy tamci właśnie znajdowali się w wojnie z armią kitajską, wysłaną przez Złotego Cesarza Kin, z północnej części Kitaju,

Tatarzy ustawieni między Kitajami i przyprawionymi przez Temudżyna wojskami, znaleźli się nagle w okrążeniu i ponieśli straszliwą klęskę, za którą chwałę przypisał sobie kitajski generał, która jednak sprawiła, że Tooril został mianowany Ong-chanem, czyli Królem Chanów, a Temudżyn otrzymał tytuł Dowódcy przeciw Buntownikom, jak również dostał w darze srebrną kołyskę.

Ten sukces wzbudził w różnych stronach zawiść i strach przed rosnącą potęgą Temudżyna, wiele szczepów gotowych było obrócić się przeciw niemu, żeby nie popaść w jego władanie, a dotychczasowy zwolennik Temudżyna, Dżamuka, objął przywództwo nad nimi, własny syn Toorila podkopywał pozycję młodego mongolskiego chana wśród Kereitów, stary Ong-chan też chwiały się niezdecydowany, fałsz i zdrada czaiły się wszędzie w powietrzu,

i pewnego dnia, gdy Temudżyn znajdował się w polu na wielkich łowach z kilkoma tysiącami wojowników, niedaleko okolic Kereitów, dowiedział się od paru pastuchów, że duża siła pod dowództwem Dżamuki jest w drodze, chcąc go zaskoczyć i pozbawić życia,

opuszczył więc śpiesznie obóz ze swymi jeźdźcami, ale zostawił tam jurty i rozpalone ogniska, a kiedy Dżamuka natarł, znaleźli tylko opuszczoną wioskę namiotów i musiał podjąć pościg, przy czym Temudżyn miał tę przewagę, że mógł wybrać teren dla siebie korzystny, by odeprzeć natarcie Kereitów,

doszło do rozpaczliwej walki dla dużo mniej licznych wojsk Temudżyna, aż syn Toorila został ranny w policzek i Kereici chwilowo się cofnęli, przerwę tę jednak Temudżyn mógł wykorzystać tylko po to, aby wycofać się stamtąd i schronić się w lasach na zboczach Chinganu, a następnie przedostać się do głównego obozu Mongołów nad jeziorem Baldżuna, na północny wschód od Ononu.

Było to na wiosnę i Temudżyn zatrzymał się z ludźmi i stadami w obfitych w pastwiska okolicach koło Baldżuny, wzmacniał tam swoje wojsko na wszelkie sposoby, aż w jesieni był gotów do wielkiego natarcia na Kereitów i ich sprzymierzeńców,

podprowadził swoje siły niepostrzeżenie aż do Orchonu i otoczył obóz wroga, napadł zniemacka równocześnie z wszystkich stron, rzeź trwała bez przerwy przez trzy dni i trzy noce: wtedy załamał się opór, wojska poddały się, Ong-chan i jego syn uciekli, także Dżamuka został pobity, ścigano go bezlitośnie, wzięto też do niewoli i zabito chanów Merkitów i Najmanów.

Był to punkt zwrotny na drodze Temudżyna, władztwo Kereitów zostało złamane, ich miasta i pastwiska stanęły otworem dla podboju Mongołów, młody chan zbliżał się szybko do swego celu, jakim było zjednoczenie wszystkich Mongołów i wszystkich ludów płaskowyżu w jednym jedynym mocarstwie.

ZA KARAKORUM rozpoczyna się pustynny przestwór, wypalony płaskowyż, który ciągnie się w dal niemal niezauważalnymi falami, niekiedy przerwany kamienistym wąwozem albo rozsianymi skalnymi blokami.

Piasek leży smugami i pasmami, ustawicznie wędrujący i zmienny zrywa się z podmuchem wiatru i unosi się wirem albo sunie z szumem nad ziemią, by nagle ułożyć się na spoczynek w bladożółte pasma albo lekko różowawe zasy, często z domieszką czarnego piachu, który czyni równinę tygrysiopasiastą, lub też może ona wydawać się plamista jak lampart od cieni chmur, czarnych niemal jak tusz.

Gdy tylko Chan wyjedzie poza Karakorum i popatrzy na pustynną dal przed sobą, ożywia się i popuszcza koniowi cugli, doznaje tej odwiecznej radości jazdy konnej, jaką jest czucie konia pod sobą i otaczanie żywego ciała udami, jednocześnie się ze zwierzęciem, na którym się jedzie, odczuwa też powiew wiatru wokół siebie i pędzi naprzód bez przeszkód, mając przed sobą tylko równinę, a nad sobą niebo.

Miasto, ta ogromna orda, zostaje wkrótce pochłonięte przez ziemię, zatarte, bez znaczenia, i Chan jest wolny jak lotny ptak, bez wieku, samotny z sobą samym i swoim koniem, lub może z kilkoma tylko towarzyszami za sobą.

Ziemia rozpościera się bezkresnie wokół niego i należy do niego, tak jak zawsze należała do każdego konnego nomady, nad nim sklepia się Wieczne Błękitne Niebo, z którym pozostaje w przymierzu i któremu pozwala się prowadzić, ta nieskończoność, gdzie płonie życiodajne słońce, początek wszystkich ognisk, albo gdzie piętrzą się chmury potężniejsze niż niejedno miasto na świecie, albo gdzie gwiazdy roz-

palają się i wyglądają niczym lud wędrujący w ciemności z pochodniami.

Troski opuszczają Chana, myśli zapadają się w nim w głąb, rozciąga jazdę, nie zwracając uwagi na bieg czasu i widzi karawanę w oddali, pełznącą jak stonoga pod długim pasmem kurzu podobnym do jasnego dymu, zbacza z jej drogi, ale jedzie w pobliżu może owych kilku kibitek, rodziny albo kilku rodzin, które ze swymi jurtami na zaprzężonych w woły wozach przenoszą się na inne miejsce.

Gdy spotka jakichś mężczyzn, którzy są w terenie, by łapać wolno wałęsające się konie, nie może się oprzeć, by z zainteresowaniem nie śledzić ich zachowania, wpadają oni galopem w stado koni i wyciągają przed siebie długie drągi z pętłami na czubku, a Chan potrafi właściwie ocenić ich zręczność i siłę, gdy nawlekają tę pętlę na głowę konia w pełnym galopie, obalają go na ziemię i śpiesznie podjeżdżają, by zabezpieczyć łup.

Niekiedy napotyka kilka jurt, może przypadkowo postawionych na równinie, albo małą orde, która się tam osiedliła, i z odległości widzi jurty białoblade jak gniazda szerszeni lub czarne jak kamienne bloki, i zapach dymu dociera do jego nozdrzy, ostry i podniecający w pustynnym powietrzu.

Gdy wówczas podjedzie tam bliżej, zostanie może rozpoznany jako Chan, albo i nie, ale gościnność jest taka sama, prosta i oczywista, zsiada z konia i wchodzi do jurty, by odpocząć chwilę, albo też siedzi na końskim grzbiecie, a kobieta podchodzi do niego i podaje mu czarkę kumysu lub czarnej herbaty z dodatkiem zjełczanego masła, inna kobieta przychodzi z małą drewnianą tacką, na której leżą kostki sera, on bierze w rękę po jednej i wkłada do ust, i może jeszcze pojawia się starzec z fletem z trzciny albo kości, ujmuje go ciemnymi, pomarszczonymi dłońmi i zaczyna dąć, wygrywając melodię, kruchą i klarowną jak zielone źdźbła trawy w płynącej wodzie.

Niemal codziennie czerpie Chan orzeźwienie i nową siłę ze swoich konnych wypraw poza Karakorum, na pustynną

równinę, do wolnego świata nomadów, który stale pozostaje taki sam pod Wiecznym Błękitnym Niebem.

Chan od dawna już rozumiał, że myśli i działania rodzą się jedno z drugiego, zazębiają się z sobą i zmieniają się nawzajem: myśl przedłuża się w działanie, działanie rozciąga się swymi skutkami dalej jako nowa myśl.

Myśli, które mają prowadzić do przyszłych działań, można wyrazić słowami i mogą one uzyskać trwałość przez zapisanie ich, dlatego też sztuka pisania nie jest wyłącznie czymś niepotrzebnym i próżnym.

Takie jest przekonanie Chana, mimo że sam nie umie ani czytać, ani pisać, wzdryga się przed tymi umiejętnościami niemal jak przed magicznymi sztuczkami, uważa też takie zajęcie za stojące poniżej jego godności jako władcy, jest wojownikiem, który podbija świat i włada nim samowładnie, inni mogą spisywać jego czyny i myśli, które łączą się z tymi czynami.

Myśli mogą położyć fundament, który sprawi, że działania przetrwają, mogą przyczynić się do uczynienia trwałym tego, co zdobyte i osiągnięte, mogą zostać zapisane słowami i stać się prawami, które zachowają moc i ważność długo poza życie jednostki.

Oto, co zajmuje Chana bardziej może niż coś innego: po ustanowieniu mocarstwa Mongołów na świecie, chodzi teraz przede wszystkim o to, aby dbać o jego utrzymanie, by za pomocą myśli i słów sięgnąć w przyszłość i uchronić je od rozpadu i zwyrodnienia.

W ciągu swojego pełnego walk życia Chan nauczył się ufać tylko sobie samemu, nigdy nie dowierzać innym, ani braciom, ani synom, ani najwierniejszym nawet towarzyszom bojów czy najbardziej choćby oddanym zwolennikom: wszyscy mają słabości, wszyscy mają odmienne wole i wszyscy mogą zawieść.

Tylko jedna wola może panować, ta wola, która tryska z niego samego, ale jest czymś więcej niż on, wola, która pozostaje w zgodzie z Wolą Nieba, tą Wolą Nieba, którą wszyscy inni poza nim samym, tak łatwo mogliby mylnie tłumaczyć, chcąc wstawić na jej miejsce swoją wolę.

Wola Nieba, taka, jaką on sam ją odczuwa, musi zatem być ubrana w wyraźne myśli i niedwuznaczne słowa, gdy jeszcze jest czas, a kto wie, jak długo starczy jego czasu?

Chan nie ma w zwyczaju liczyć swoich lat i nikt inny nie ośmiela się zaiste przypominać o nich, wie on albo zdaje mu się, że urodził się w roku Świni w dwunastoletnim cyklu zwierzęcym, ale ile razy rok Świni powrócił za jego żywota, tego nie jest całkiem pewny: przypuszczalnie znajduje się u końca piątego cyklu lat, ale być może szóstego.

Nie obchodzi go to zbytnio, gdyż mówi sobie, że żaden wiek nie jest dany i niewzruszony, ludzie, którzy żyli równie długo jak on, nie są mimo to jednakowego wieku, ten bowiem musi się także liczyć od strony lat, które pozostały, i skutkiem tego nikt nie zna swojego prawdziwego wieku, on sam czuje się ustawicznie poddawany zmianom wieku, to czuje się wciąż jeszcze młodzieńczy i pełen siły, to znów odczuwa ciężar lat i zanikanie sił.

Ale ani przez chwilę nie uważa się za nieśmiertelnego, nawet jego nieograniczona moc nie rozciąga się tak, by obejmowała także własne jego życie, a że nikt inny nie zna tajemnicy, jak zachować życie, o tym starannie się już upewnił.

Wie, że coraz to bardziej zbliża się do kresu swoich dni i nie robi sobie żadnych fałszywych wyobrażeń, nie ma zbyt wiele sympatii do szamanów i szarlatanów, którzy usiłują mu wmówić coś innego: Mongoł wie, że spotka śmierć, kiedy przyjdzie na to czas.

Już od dawna Chan był zajęty obmyśleniem i kształtowaniem swej *Jasy*, zbioru praw, tak aby śmierć nie zaskoczyła go z nie dokończoną jeszcze tą częścią jego życiowego dzieła, wystawiając na rozproszenie przez wiatry potężne dziedzictwo, które stanowi mocarstwo Mongołów.

Chan jest pierwszym władcą wśród Mongołów, który złamał moc szamanów, tak że nikt już nie będzie stać między nim a Niebem: było to jedno z jego najważniejszych zwy-

cięstw, które uczyniło z niego Chana przed innymi chanami.

Szamani zajmowali miejsce kapłanów wśród Mongołów i mieli wielki wpływ na ludzi, bano się ich niemal bardziej niż jakichś ziemskich władców, gdyż mieli moc nad duchami, mistycznymi siłami, które otaczają człowieka z wszystkich stron.

Szamani byli w bliskim kontakcie z Mōngke Kōke Tengri, to znaczy z Wiecznym Błękitnym Niebem, i objaśniali jego wolę, bili w bębny i tańczyli, dopóki nie ogarnęła ich gwałtowna ekstaza i duch nie przemówił z ich ust, widzieli przyszłe wydarzenia w płomieniach ognia albo w żarze ogniska, we wnętrzościach owiec, w locie ptaków, w wiązce kijów, które rzucano na ziemię.

Mieli także objawienia we śnie i głosy przemawiały do nich z wiatru, czuli wiele tajemnych rzeczy i znali dziwne sztuki, zatrzymywali wzrokiem upływ krwi, leczyli febry i inne choroby nakładaniem rąk albo nieznanymi napojami.

Wszyscy wierzyli ślepo w szamanów i nikt nie ośmielał się im sprzeciwić, moc chanów kończyła się tam, gdzie moc szamanów się zaczynała, nie cofali się też przed podkopaniem potęgi chanów i poszerzaniem swojej własnej, w ukrytej, ale nie mniej z tego powodu zaciętej walce.

Chan wcześniej zrozumiał, że tylko jedna wola może panować, jego własna w przymierzu z Niebem, i że było dlań niemożliwością dzielić się władzą z jakimś szamanem, jeśli ma osiągnąć to, do czego dążył.

Tym, który przede wszystkim mu się opierał, był potężny Teb Tenggeri, mistrz przebiegłych intryg; miał on wielu zwolenników pośród najbliższych nawet ludzi młodego wówczas chana, spośród których ojczym jego Mōnglik i jego siedmiu synów należało do tych, co sprzymierzyli się z szamanem.

Władcza wola Temudżyna natrafiała ustawicznie na przeszkody, z powodu objawień i przepowiedni Teb Tenggeriego, szaman stawał między nim a Niebem, by udaremnić jego działania, zatrzymać go na jego drodze do tego, by stał się władcą wszystkich Mongołów.

Teb Tenggeri wykonał manewr okrężny, atakując brata Temudżyna, potężnego łucznika Kasara, i kazał swoim ludziom wychłostać go ciężko, na co Kasar poskarżył się Temudżynowi, który jednak nie chciał występować otwarcie przeciw szamanowi.

Kasar rozgniewany wycofał się wtedy do swego obozu, a Teb Tenggeri zjawił się u chana i chytrze oznajmił, że miał objawienie: objawiło mu się, że Kasar dążył do tego, by zostać chanem i jeśli Temudżyn nie zrobi z nim końca, państwo jego wkrótce przypadnie bratu.

Słowa szamana zrobiły wrażenie na chanie i wzbudziły jego podejrzliwość wobec Kasara, wyruszył więc z kilkoma wojownikami, żeby go schwytać, ale Höelün, jego bystra matka, udała się za nim wozem i przybyła do jurty Kasara właśnie w chwili, gdy Temudżyn stał groźnie nad klęczącym przed nim bratem.

Höelün rozdarła szaty i obnażyła pierś, przemówiła do obu synów z gniewem i wezwała ich jako matka, by utrzymywali pokój między sobą. Temudżyn wysłuchał cicho jej wyrzutów i nagle uspokoił się, zdał sobie sprawę, że działał ze strachu i dał się oszukać szamanowi, zawstydził się i wyszedł z namiotu.

Ale Teb Tenggeri nie zadowolił się tym, knuł dalej, obrażając teraz Temügego, najmłodszego brata chana i zmuszał go do klękania przed nim, szamanem, by wielbił jego moc.

Temudżyn dał wtedy Temügemu wolną rękę wobec szamana i nakazał, by obaj oni spotkali się w jurcie władcy, gdzie byli obecni także ojczym Mönqlik i jego synowie; Temüge rzucił się tam na szamana i zaczął się z nim zma-gać, a inni nie ważyli się wtrącać do tego.

Temudżyn spochmurniał i zawołał do walczących, żeby natychmiast wyszli z jurty, na dworze czekało trzech silnych mężczyzn, którzy pochwycili szamana, skręcili mu kark i rzucili go na ziemię między koła wozów: tak legł martwy straszliwy Teb Tenggeri.

Mönqlik i jego synowie chcieli teraz z kolei zaatakować młodego chana i zabić go, ale on z taką siłą rozkazał im od-

sunąć się, by mógł wyjść z jurty, że niechętnie usłuchali i dali mu się wymknąć.

Temudżyn kazał przynieść swój namiot władcy nad trupa szamana i zesnuował otwór, trupa wyniesiono w nocy przez dymnik i usunięto, a rano pokazano pusty namiot wzburzonemu ludowi i Temudżyn oświadczył, że Teb Tenggeri obrócił się przeciw Woli Nieba i duchy zabrały mu życie i uniosły jego ciało.

Po tym rozstrzygającym kroku do niepodzielnej władzy, do jednej i nie rozszczipionej woli, młody chan nie pozwolił już nigdy żadnemu szamanowi na pozyskanie jakiegось bardziej wybitnego wpływu.

Chan w rzeczy samej stał się także najwyższym szamanem, choć zrezygnował z objawień i przepowiedni, kazał usłużnemu szamanowi Kōkōczū obwołać go zastępcą Tengriego na ziemi, wywyżżyć go na bokdę, posłańca Nieba, ucieleśnioną boskość.

Ale w co wierzy Chan, a w co nie wierzy, tego nawet on sam nie wie dobrze, z pewnością jednak dzieli dawne mongolskie przeświadczenie o mocy Nieba, może także o obecności i oddziaływaniu duchów we wszystkim.

Kim albo czym jest więc Tengri, Niebo, Wieczne Błękitne Niebo: olbrzymią boskością czy też nieokreśloną siłą obsługiwaną przez czarodziejskie wieszczki-żony, których przeciwieństwem są złośliwe duchy natury pod przywództwem demona Erlika?

Chan, który stawia na równi wszystkich innych bogów, robi wyjątek dla Tengriego jako szczególnego boga Mongołów, wywyższa Tengriego nad wszystkich bogów, podobnie jak Tengri wywyższył Mongołów nad wszystkie ludy; czy Mongołowie wybrani są przez Niebo dlatego, że je wielbią, czy też wielbią Niebo dlatego, że zostali przez nie wybrani?

Nikt nie wie, co Chan w głębi duszy myśli o tych sprawach, w co sam wierzy albo też czemu okazuje cześć tylko ze względu na lud, nie może on przecież tak jak szamani

wprawiać się w ekstazę i przemawiać językiem Nieba, nie może widzieć jego Woli w płomieniach ani w locie ptaków, ani nawet w nocnych snach: zdany jest na wglądanie w samego siebie i tam zgłębianie istotnej Woli Nieba.

Tak, spogląda on w siebie samego jak w głębokie źródło, gdzie światło w końcu znika w ciemności, widzi tam swoje wyobrażenia, jak powstają niczym z powolnego wiru i przejaśniają się w obrazy, które z kolei zmieniają się w myśli, najpierw niepewne, niewyraźne, aż stopniowo przybierają coraz trwalszą formę, stają się wolą, decyzją, działaniem.

To są wyobrażenia, które wpaja mu Niebo, ale które powstają w nim, wychodzą z jego wewnętrznej głębi i biorą go w swoją moc, musi jednak być czujny i bardzo zwracać uwagę na każdy przebłysk zrozumienia, żeby nic mu nie umknęło i żeby Wola Nieba nie była błędnie interpretowana.

Jest narzędziem i ma odpowiedzialność narzędzia, Niebo nie może się nigdy omylić i Chan jako jego wyraziciel nie może popełnić żadnej omyłki, która mogłaby go rozdzielić od Woli Nieba i doprowadzić do porażki.

W obliczu trudnych rozstrzygnięć, w szczególnie ciężkich sytuacjach, zwykł Chan zamykać się w sobie i wyjeżdżać samotnie na równinę, albo jeszcze chętniej, na górę, najwyższą w okolicy, by znaleźć się możliwie jak najbliżej Nieba, tam klękał, padał na ziemię z pasem zarzuconym przez ramię i twarzą zwróconą w górę, i patrzył długo w przestwór, w nieskończone Niebo, i wołał je wielkim głosem: „Tengri, Tengri! Wysłuchaj swego sługę, oświeć mnie o swojej woli, prowadź mnie na drodze i bądź ze mną! Pomóż twemu chanowi, tak jak to zawsze robiłeś, i daj mu część swej niezwykłej mocy!”

Zostawał tam na górze, nie przestawał wołać do Nieba, dopóki nie poczuł się upewniony o jego Woli i o jego pomocy w swoich przedsięwzięciach, dopóki nie zdołał jasno ujrzeć właściwej drogi i działania.

Burze zwykły przychodzić nagle jak nawałnica, czarne chmury zasłaniają słońce, ciemność, tak jakby była to w połowie noc, rozpościera się na równinie, trąby powietrzne wznoszą wysokie słupy kurzu i piasku, na przemian z śmiertelną ciszą, ciężkim, przygniatającym bezruchem.

Srebrny poblask jak z mokrej sieci rybackiej ciągnie po ziemi, przedmioty nabierają ostrych konturów jak migotliwe ostrza noży, kolczaste zarośla i uschnięte tamaryszki trzęsą się, jakby walczyły z niewidzialnymi wrogami, żółte światło spada z nieba jak choroba, bydlę stoszy się i drepcze w kółko, nie wiedząc, dokąd pójść.

Na nic się nie przyda pędzić przed siebie w cwał, burza dogna wnet wszystko, co się porusza na płaskowyżu, nie ma tu żadnego schronienia, a jeśli już znajdzie się coś, co przypomina schronienie, okazuje się rychło, że jest to pułapka, najlepiej znosi się burzę, kładąc się wyprostowanym na ziemi, możliwie jak najniżej, ale nawet leżenie wciąż jeszcze nie wydaje się dostatecznie niskie, lecz wystawione na zagrożenie i odsłonięte.

Gdy Chan zostaje w taki sposób zaskoczony przez burzę, przyjmuje to jako dopust Nieba, jako opuszczenie go przez Niebo: ciemność, która wstaje z podziemnego świata, przesywana gniewnymi błyskawicami, zagrożenie, z którym nikt nie może walczyć, tylko musi je wytrzymać, coś zupełnie nie podobnego do walki mocy z mocą, napaść, gdzie żadna obrona nie jest możliwa, gdzie siła, odwaga, furia nic nie znaczą.

Także Chan, władca świata, musi zsiąść z konia, jak wszyscy inni i położyć się na ziemi jak martwy, wyciągnięty z twarzą przy ziemi, z dala od konia, który idzie za tym przykładem i też kładzie się z głową wyciągniętą i skórą wstrząsaną dreszczami, jakby marzył.

Huk burzy toczy się po równinie jak osuwająca się góra, łoskot za łoskotem następują po sobie bez przerwy, falami, które rozbijają się nawzajem, grzmotami, które sprawiają, że ziemia się trzęsie, i przetaczają się w dal jak walące się wieże, podczas gdy błyskawice i pioruny przesywają po-

wietrze z wszystkich stron, krzewią swoje oślepiające płomienie niczym ogniste drzewa wokoło, rozdzierają niebo i ziemię, rozgałęziają się jak płonące korzenie, liżą ziemię i wystrzeliwują z niej także jak rozżarzone węzowe żądła.

Deszcz przychodzi jak twarde uderzenia wody, lodowato zimny, nie podzielony na krople, lecz tryskający strumieniami, spadający zwartymi płachtami wody, rwący z góry jak z przerwanych tam, aż woda ubija wodę, której grunt nie zdoła wchłonąć, woda, która rozlewa się chropawą zoraną taflą po ziemi, przelewa w jednym kierunku, by zaraz powrócić w drugim, nigdzie nie podążając.

Ale wodna lawina nie powstrzymuje piorunów i błyskawic, lecz podnieca je tylko, pędzi naprzód w szalonej walce między wodą a ogniem, przelatują jak ogniste czółenka przez grubą osnowę wody i pozostawiają smugi białej pary, rozpruwają wodę na ziemi szybkimi cięciami, które dymią fioletowo.

Kolczaste zarośla sypią iskry i stoją przez chwilę rozżarzone, dopóki nie poczernieją od deszczu, tamaryszki padają jak trafione olbrzymią siekierą i płoną wysokim płomieniem, a gdy w orszaku jest wielu jeźdźców i gęsto od leżących na ziemi koni, jeden jedyny piorun może skakać jak zwinna oślepiająco ognista ryba z jednego konia na drugiego, zabić je wszystkie i spalić na czarny węgiel, albo tylko porazić, tak że leżą tam dygocąc i miotając się na ziemi, rżą chrapliwie i walczą, by móc stanąć na nogi.

Także i najlepsze konie bojowe łatwo wpadają w panikę w czasie burzy, podrywają się i pędzą w dal na równinę, ścigane przez burzę w różnych kierunkach, stają dęba i zawracają, błyszczą przemoczonymi ciałami jak ściemniałe srebro i pryskają wokół siebie wodą, dopóki piorun nie przeleci przez nie swoją ognistą kosą i nie skosi ich jak zboże, aż padną długim szeregiem, zwalone na siebie, zabite i żywe pospołu.

Równie nagle jak przyszła, burza ustaje, ciemność otwiera się, błyskawice bledną, oślepiające światło leje się z niebiosów, ostatnie ciężkie krople deszczu spadają z pluskiem do wody, która zalewa ziemię, ci, co przeżyli, podnoszą gło-

wy, wstają ociekając wodą, poruszają się w chlupiącej odzieży, wdychają odświeżające powietrze, w którym trwa jeszcze pasmo ostrego zapachu przypalonego mięsa.

Blask słońca sprawia, że odzież i ciała parują, jakby się w nich gotowało, wodę spija ziemia, która zaczyna osychać w bladoniebieskiej mgiele, za jakąś godzinę śladu nie będzie po wodnym potopie, prócz kilku bruzd w piasku, ludzie znów znajdą się w ruchu, na koniach, które przeżyły burzę, pełni nowej ufności, gwizdząc beztrosko.

Wielki Chan przez krótki czas nie był lepszy niż jakikolwiek inny śmiertelnik, wystawiony na gniew Nieba, tak jak wszyscy inni.

KEREICI BYLI pokonani, a ich miasto Karakorum zdobyto bez oporu, Temudżyn teraz jako władca tam, gdzie poprzednim razem był przypadkowo bawiącym gościem nie wzbudzającym większego zainteresowania, zakazał wszelkiego plądrowania i niszczenia, Kitajów, którzy pozostali na miejscu i podporządkowali się, polecono traktować jako Mongołów, Karakorum miało nie tylko się ostać, ale także liczyć się jako własne miasto Chana,

Temudżyn objechał fortyfikacje, obejrzał dokładnie gliniane mury, palisady z grubych cedrowych pni, fosy z doprowadzoną tu z rzeki wodą, sklepione bramy, które można było zamykać ciężkimi, okutymi żelazem wrotami, wieże strażnicze z zębatymi koronami i strzelnicami dla łuczniaków,

oglądał to wszystko z mieszanymi uczuciami podziwu i pogardy: tyle trudu i zręczności włożonych w obronę, która nie doszła do skutku, co świadczyło o lęku i niepewności władcy, władza i siła zawiodły Tarkutaja: on sam, Temudżyn, był pewien, że nigdy nie zaufa takim fortyfikacjom, ich obronność była zdradliwa, nie miały dla niego zastosowania, ale te stare mury mogły stać tam dalej, aby stanowić świadectwo, jakim miastem kiedyś było Karakorum,

Temudżyn dojechał aż do pałacu wielkiego chana, koń jego ślizgał się na lustrzanych marmurowych posadzkach, ale ten przepych nie wydawał mu się już równie olśniewający jak poprzednim razem, przybladł już i zaczął przygasać, albo też jego własne oczy patrzyły teraz na to inaczej,

złocenia, drogocenne wykładziny, przedmioty sztuki, głębokie i miękkie jak leśny mech dywany, gobeliny z mieniącymi się od barw krajobrazami i scenami bitewnymi,

fontanny tryskające kunsztownymi strumieniami i tworzące swoją własną muzykę szmerzącej wody, tłuste i leniwe złote karpie otwierające szeroko pyszczki na powierzchni sadzawek i ocierające z siebie złote łuski o kamienne kanty basenów, wszystko to wydawało mu się dziwnie obojętne, zbyt kobiece albo dziecinne, nie licujące z wojownikiem i władcą,

przysiadł na próbie na tronie Ong-chana, iskrzącym się od drogich kamieni i ocienionym pawimi piórami, ale uznał go za niewygodny i trochę śmieszny, nie zależało mu na tym, by tam siedzieć, miał może nieokreślone odczucie, że było to niebezpieczne, mogło pociągnąć za sobą coś ze słabości i nieszczęścia jego poprzednika,

zamiast tego nakazał, by jego jurte ustawiono za murem miasta, stamtąd miał sprawować władzę, a wokół jurty miało wyrastać nowe miasto i otoczyć dawne, stać się największą ordą nomadów, przybytkiem zwycięzcy.

Ong-chan Tooril i jego zniechęcony syn uciekli w takim strachu i popłochu, że najszybsi wojownicy wysłani przez Temudżyna nie doścignęli ich, zniknęli oni na zachodzie wśród obcych ludów i dopiero długo później doszły słuchy, że zostali zabici przez szczep turecki, który obgotował ich czaszki do czysta, okuł je w srebro i uczynił z nich czarki do picia,

ale Temudżyn przede wszystkim chciał się zemścić na zdrażliwym Dżamuce, owym mężu z jego własnego rodu, wyrosłym w tej samej ordzie jak przybrany brat, tym, który obwołał się wielkim chanem i zawarł przymierze z wrogami Temudżyna, poszedł na służbę do Toorila, żeby namówić starego władcę i obrócić jego przyjaźń dla Temudżyna przeciw niemu,

był on już pokonany, doszczętnie rozbity, i jak psa należało go teraz doprowadzić z powrotem do jego pana, którego usiłował ugryźć, Temudżyn rozkazał swoim najszybszym i najbardziej oddanym dowódcom, tym, których na-

zywano Szalejącym Oberwaniem Chmury i przed którymi już drżano w całej Gobi, puścić się za nim w pogoń,

sam Temudżyn siedział jako władca w Karakorum i czekał na swego wroga, Szalejące Oberwanie Chmury nie zawiodło też jego nadziei, ścigali i schwytali Dżamukę, doprowadzili go przed Temudżyna i zmusili, by padł na kolana ze złamanym łukiem uwieszonym na szyi,

ale jego opór wcale nie był złamany, patrzył dumnie i z nienawiścią na Temudżyna, który zapytał go: „Czego oczekujesz teraz, ty, któryś mnie zdradził i nastawał na moje życie?” A tamten odparł twardo: „Niczego, jak tylko śmierci, najcięższej śmierci, jaką potrafisz wynaleźć!” Na co Temudżyn skinął potakująco głową, a potem dodał z uragliwą łaską: „Ale nikt nie będzie musiał słuchać, jak krzyczysz i biadasz, a twoja krew nie zostanie rozlana na ziemi! Mimo wszystko umrzesz jak wódz!”

po czym nakazał przynieść jeden z dużych skórzanych worów, w których ubijano mleko kłaczy na kumys, kazał wsadzić Dżamukę do wora, zasnurować go mocno i powiesić na stojaku do trzepania, a następnie kilku wojowników chwyciło za grube pałki i biło z wszystkich sił w ten worek, dopóki nic już wewnątrz się nie poruszało i ciało nie stawiało żadnego oporu, bardziej podobne do miękkiego ciasta, i żaden dźwięk nie przecisnął się przez worek, ani też ani jedna kropla krwi nie wyciekła,

Temudżyn polecił następnie pochować worek z jego zawartością w ziemi na sposób mongolski, ale zmarłego nie miano — jako zdrajcy — uhonorować położeniem przy nim broni wojownika, ani też żaden koń nie spoczął u jego boku: w królestwie śmierci miał wędrować pieszo i bez broni, jak żebrak.

Temudżynowi udało się w końcu zjednoczyć wszystkie plemiona i ludy we wschodniej części Gobi pod swoim panowaniem, i w 1206 roku chrześcijaństwa, który był rokiem Tygrysa w trzecim dwunastoletnim okresie żywota Temudżyna, został on obwołany Czyngis chanem czyli władcą

wszystkich Mongołów, wybranym przez Wieczne Błękitne Niebo do spełnienia jego Woli na ziemi, z kurułtajem czyli wielkim zgromadzeniem chanów pod sobą.

Temudżyn, który tym samym przestał być Temudżynem i stał się Chanem nad wszystkimi chanami, miał chyba wtedy trzydzieści trzy lata, był doświadczonym i przewidyującym wojownikiem, który wcześniej nauczył się, że walk nie wygrywa się tylko przez gwałtowne natarcie i dzięki furii, ale przez planowanie i uzbrojenie, taktykę i strategię, i jako Chan nad wszystkimi Mongołami musiał do ostatnich granic stosować tę świadomość, żeby zachować siłę uderzeniową i umocnić swoje panowanie.

To, co przedtem było bezładnymi hordami jeźdźców, trzeba było stopić w planowo rozbudowane armie, gdzie mniejsze jednostki wchodziły w większe, samodzielne do pewnej granicy, ale poza tym absolutnie podporządkowane wspólnemu działaniu, jedynej woli, która wychodziła od Chana i docierała przez cały szereg dowódców w dół do każdego pojedynczego wojownika.

System dziesiątkowy stosowano konsekwentnie w tej rozbudowie armii: najmniejszą jednostką był *harban* złożony z dziesięciu ludzi, następną *dżaun* ze stu, dalej *mingan* z tysiąca i w końcu *tümen* z dziesięciu tysięcy ludzi, każda formacja pod swoim dowódcą aż po najwyższych nojanów i örlüków.

Spójnia w złożonym z dziesięciu ludzi *harbanie* była nader surowa i stanowiła podstawę siły i niezawodności całego wojska: ludzie ci odpowiadali za siebie nawzajem własnym życiem, nie wolno było opuścić żadnego rannego, nikomu nie wolno było cofnąć się ani uciec, dopóki nie został wycofany sztandar, żadnego plądrowania nie wolno było zacząć, dopóki nie dano sygnału.

Operacje bojowe prowadzono sztandarem przez specjalny system sygnałowy, a ponadto sygnałami trąbek, ażeby zła widoczność czy ogłuszający zgiełk nie przeszkodziły w zrozumieniu rozkazów; by wskazać drogę przy natarciach, wystrzelivano strzały z świszczącymi grotami; wielkie bębny z brązu i skóry przyłączały się do zgiełku huczą-

cymi rytmami i konie pędziły z zawrotną szybkością, którą nazywano wilczym skokiem.

Liczba koni była wielokrotnie większa niż liczba wojowników, każdy z nich prowadził trzy, cztery albo jeszcze więcej koni w rezerwie, do zmiany podczas długich, twardej przemarszów konnych, były te konie z reguły małe i kudłate, ale niewiarygodnie silne i wytrzymałe, nosiły napierśniki ze skóry, a na pół długie ogony zawiązane miały na końcu na węzeł.

Wojownicy siedzieli z podkurczonymi kolanami w siodłach, które sięgały wysoko i były kunsztownie zdobione, nosili oni misiurki z żelaznej plecionki o wolnych łokciach i długich skórzanych rękawicach bez palców, później, po wojnie z Kitajem zaopatrzeni zostali w podkoszulki z surowego jedwabiu, których nie mogły przesyć groty strzał, skutkiem czego łatwo je było wyciągnąć z ran.

Na nogach nosili niskie buty z wołoku albo skóry, na głowie hełmy z lakierowanej skóry, okrągłe i ukształtowane jak jurty, z wydłużonym szpicem, na którym powiewał mały czerwony proporczyk, a wokół szyi mieli osłonę z wołoku, która sięgała powyżej brody i uszu, i dalej wokół karku.

Do uzbrojenia wchodziła dzida, krótki miecz albo krzywa szabla, jeden albo dwa łuki i kołczany, lżejsze strzały na dalsze odległości, cięższe i ostrzejsze na krótsze odległości, do tego dochodziły czasem maczuga i topór bojowy.

Do wyposażenia zimowego należały wołokowe skarpety, które naciągano na buty i podwójny kozuch z włosem i do wewnątrz, i na zewnątrz; prowiant, który miał z sobą każdy wojownik, składał się z suszonego na słońcu mięsa, twardej jak kamień masy serowej, którą rozbełtywano w gorącej wodzie, i masła z gotowanego mleka kłaczy, którym napełniano skórzane worki i które nigdy nie jełczało.

Szczególnie ważna była służba wywiadowcza, którą rozbudowywano coraz bardziej, o szybkich stacjach łącznikowych, zaopatrujących konnych gońców w nowe konie, gdy

podróżowali bez przerwy dzień i noc z ciałem mocno owiniętym, żeby móc znieść ten wysiłek, dzwoniąc małymi dzwoneczkami, by uprzedzić wszystkich, że nadjeżdżają; ich szybkość porównywano do szybkości strzał i nazywano ich też Mknącymi jak Strzały. Zaczęto wprowadzać własne prawo Chana, *Jasę* i udoskonalano je stopniowo coraz bardziej, podstawowy zbiór praw, w którym własna wola Chana, jego doświadczenie i przenikliwość łączyły się z najlepszymi zwyczajami szczepowymi, z żywotną tradycją mongolską.

Jasa była surowa, ale dążyła do sprawiedliwości, nakaz posłuszeństwa stawiano na pierwszym planie, posłuszeństwo dziecka wobec rodziców, żony wobec męża, jednostek wobec wodzów i dowódców, a zwłaszcza posłuszeństwo wszystkich wobec Chana.

Kary śmierci były liczne: za kradzież i rozpustę, za sodomie i szpiegostwo, za czarną magię i fałszywe świadectwo, za niedozwolone plądrowanie i zanieczyszczanie wody, ponadto sędzono za gwałt między Mongołami i piętnowano słabość do napitków, trzy upicia się w miesiącu uważano za dopuszczalne i uznawano za wystarczające dla człowieka.

Skazywano za nadmierne gromadzenie własności, jak również za wszelaką chciwość i żarłoczność; tym, co mieli za dużo, nakazywano dzielić się z tymi, którzy cierpieli braki, wszelkiego handlu zabroniono, a kupowanie przybrało formę handlu wymiennego, sposobu dawania i przyjmowania darów.

Podbite obszary traktowano dobrze, jeśli ludność nie okazywała wrogości, ale w takich wypadkach zabijano wszystkich mężczyzn w warstwie władców, wojowników przejmowała armia, jeśli zachowywali się lojalnie, zręcznych rzemieślników jako też uczonych, kapłanów i artystów oszczędzano i brano na służbę, najpiękniejsze kobiety stawały się żonami wojowników, inne zostawały niewolnicami, bezdomne dzieci brano pod opiekę i adoptowano.

Pokonane ludy, przyjęte do mongolskiego mocarstwa, chronione były przez *Jasę* i miały takie same prawa jak

inne ludy, z pełną swobodą praktykowania swojej religii, dopóki nie usiłowały uciskać innych religii: przez to Chan stał się opiekunem religijnej tolerancji i przeciwnikiem fanatyków.

Władza Chana obejmowała je wszystkie i skupiała w jego mocarstwie, jednym jedynym gigantycznym rodzie, który utrzymywał niezwykłą konną armię, a prowadzenie wojen było naczelnym zadaniem i podstawą państwa, z dalszymi podbojami jako wbudowaną weń przesłanką, państwie, w którym pokój był czymś nie do pomyślenia, czymś niemożliwym.

W czasie krótkich okresów odpoczynku poświęcano zimy na łowy, łowy dla wojowników były równie ważne jak jakaś mniejsza wyprawa wojenna, niebezpieczne i pełne trudów, dające uczestnikom okazję do zdobycia łupu i sławy, uzbrojenie jednak było dla wszelkiej pewności bardzo lekkie, cięższa broń musiała pozostać w magazynach, za które ponosili odpowiedzialność dowódcy, rozdzielano ją dopiero przy wyruszaniu na wojnę.

Armie Chana odznaczały się przede wszystkim swoimi niewiarygodnie szybkimi przemarszami, zdolnością do zaskakiwania i okrażania gwałtownością w atakach, nieustającej furii, która jednocześnie sprawiała wrażenie dobrze obliczonej i wykorzystanej, a także przez śmiałą samodzielność każdego wojownika w połączeniu z nienagannym współdziałaniem między wszystkimi,

ale tych cech nie nabywało się od razu, budowało się je powoli i stopniowo, udoskonalało coraz bardziej, czerpiąc z nowych doświadczeń zdobywanych podczas jednej długotrwałej wojny za drugą, najpierw na południu, potem na wschodzie i zachodzie.

Już kiedy Temudżyn został wybrany na wielkiego Chana, widział on jasno przed sobą cel następnej poważnej wyprawy wojennej: miała ona dotyczyć Kitaju, potężnego kraju na wschodzie, który później został nazwany Chinami, gdyż to tam właśnie poprzedni mongolscy chanowie ponie-

śli klęski i zostali upokorzeni, tam też łup był najbardziej nęcący, a zwycięstwo nieporównanie sławniejsze,

ale była to wojna, która wymagała długotrwałych przygotowań i zabezpieczenia granic z innych stron, liczne wojska wysłano w różnych kierunkach, żeby poszerzyć i umocnić obszary graniczne, zwalczyć wszystkie wrogości i tendencje buntownicze i ściągać daniny, największą z tych wypraw prowadził sam Chan na czele silnej armii, a celem jej było królestwo Si-sia na południu, zwane państwem zbójckim, przybytek nomadyjskich Tangutów z Tybetu.

Si-sia leżało na pustyni Ordos, przedłużeniu Gobi, i otoczone było wysokimi górami na południu i wschodzie, a stolicą jego była Erikaja albo Czungsing, potężnie umocnione i chronione systemem kanałów, gdzie wody Huangho przepływały przez miasto i czyniły je równie trudnym do oblegania, jak i niezbyt wystawionym na skutki oblężenia.

Tanguci wyszli przeciw Chanowi z przeważającą liczebnie armią jeźdźców i piechoty, ale Mongołowie zadali im szereg porażek w szybkich wypadach, plądrowali i palili, zrównywali miasta z ziemią, zabijali albo uprowadzali ludność, nie dochodziło jednak przy tym do jakiegoś rozstrzygającego zwycięstwa,

nowa armia z pięćdziesięciu tysięcy ludzi przeszkadzała przez dwa miesiące jeździe Chana w dotarciu do stolicy, i Chan użył wtedy podstępu wojennego, którym później miał posługiwać się często: udał ucieczkę, wywabił wroga z umocnionych pozycji, napadł go później z zasadzki i zniszczył,

nastąpiło oblężenie Erikai, ale Mongołowie nie zdołali sforsować umocnień, murów i kanałów, szturmowały były stale odbijane z odczuwalnymi stratami, szybkość i furia Mongołów nie mogła im nic pomóc wobec masywnych muryowanych fortyfikacji i głębokich fos,

wtedy Chan wpadł na pomysł, żeby wznieść tamę na Huangho, poniżej miasta, tak że woda w kanałach podniosła się i zalała ulice, wtargnęła do domów i magazynów,

gdzie wyrządziła wielkie szkody, powodując głód i choroby, ale mimo to opór nie został złamany.

Po długim oblężeniu pękła w końcu tama, a Chan kazał schwycić mnóstwo kotów, które powódź wypędziła z kryjówek, przywiązano im płonące pochodnie do ogonów, po czym znów wypuszczono na wolność, a one natychmiast schroniły się do znowu osuszonych korytarzy i kryjówek, skutkiem czego w różnych częściach miasta wybuchły pożary i zwiększyło się zamieszanie, co przyczyniło się do złamania woli oporu,

Tanguci skapitulowali, ich najwyższy dowódca wydany został jako jeńiec, król wszedł w przymierze z Chanem, które przypieczętowano tym, że jedną z królewskich córek wysłano jako małżonkę do zwycięzcy, a stolica uniknęła zniszczenia dzięki bogatym okupom.

Równocześnie wybuchło powstanie dalej na zachodzie, w królestwie Kara Kitaj albo Czarny Kitaj, które znajdowało się w upadku pod kitajską dynastią, ludność jego składała się głównie z ujgurskich Turków, którzy przyjęli kitajską kulturę i buddyjską religię, dwa wasalne księstwa Biszbalyk i Almalyk zbuntowały się przeciw władcy w stolicy Balasagun, na południe od jeziora Balhasz, i ogłosiły, że przyłączają się do Czyngis-chana, on zaś natychmiast posłał tam armię i włączył ten obszar do swego mocarstwa: i tak oto w ten nieprzewidziany sposób poszerzył i umocnił pogranicze na zachodzie,

i w roku Owcy w mongolskim dwunastoletnim cyklu, co odpowiada rokowi 1211 w chrześcijaństwie, Chan gotów był już do ataku na wschodzie przeciw Kitajowi, do swojej największej, nie porównywalnej z poprzednimi, wyprawy wojennej.

TO, ŻE POWRÓCIŁ do Karakorum, nie oznacza dla Chana w pełnym sensie powrotu do domu, jeśli już jako nomadę ciągnie go do jakiegoś szczególnego miejsca, to miejscem tym są okolice jego pochodzenia, rzeczne doliny dzieciństwa, pastwiska i stoki górskie, no i jego własny ród, własny szczep,

ale od dawna już twierdził, że jest to coś bardziej albo mniej utraconego, coś, co przede wszystkim istnieje jako wyobrażenie w nim samym, bez prawdziwego odpowiednika w rzeczywistości, widział już i zaznał zbyt wiele, jego świat poszerzył się tak ogromnie, że świat pierwotny skurczył się do niepoznania,

doliny rzeczne, równiny i góry spotykał w tak wielu stronach, że nie potrafi już dobrze ich rozróżnić, a własny ród jest przeważnie podobny do kręgu rodzinnego, który go otacza, dawno już zjednoczył walczących między sobą Mongołów, a następnie połączył z ich wieloma innymi ludami, które teraz wszystkie stanowią jego lud, także i te najodleglejsze, które wchodzą do jego mocarstwa.

Dlatego też Chan nie może nigdzie czuć się w domu ani też szczególnie przekładać jednego miejsca nad drugie, Karakorum nie wybrał sobie ze skłonności, lecz przez przypadek w połączeniu z oczywistą koniecznością.

Jako nomada nie chce on zasiadać na dobre w jakimś mieście, ale jako władca świata zmuszony jest mieć stolicę, miejsce zborne, stały punkt, gdyż tego wymaga się od mocarstwa, podobnie jak koło musi mieć piastę.

Karakorum można porównać z ciszą w oku orkanu lub też z wewnętrznym wałem obronnym, gdzie siły zbierają się i naładowują, nim zostaną spuszczone ze smyczy, Kara-

korum można porównać z wielką oazą pokoju i obfitości w środku pustynnego kraju, wśród ustawicznych wypraw wojennych, które stąd wychodzą.

Nie oznacza też Karakorum dla Chana odpoczynku i uwolnienia od trosk związanych z władaniem, okresu, w którym nie musi już myśleć o wojnie i podbojach, a tylko pokojowo umacniać swoje mocarstwo: nie, wie on aż nazbyt dobrze, że jego pobyt w Karakorum nie może być długotrwały, że walki nigdy się nie kończą, że jego obecność i interwencja wnet będą nieodzowne gdzie indziej.

Chan zdaje sobie z tego sprawę jaśniej niż ktokolwiek inny: mocarstwo trzeba ustawicznie umacniać i poszerzać, żeby się nie cofać, prawo walki jest niewzruszone i nie pozwala na żadne wytchnienie, pokój i cisza stanowiąby tylko rozkład państwa, pograżenie się ludów w gnuśności i dobrobycie, przy rozgorzeniu wewnętrznych przeciwieństw i sporów: odnosi się to do wszystkich ludów, ale przede wszystkim do jego własnego, do wojowniczych Mongołów, dla których dłuższy pokój byłby złowieszczy, stanowiłby nagromadzenie dzikich instynktów bez ujścia, gwałtownych namiętności bez celu i wyzwolenia.

Życie i śmierć zależą od siebie nawzajem, tam gdzie życie rozrasta się mocno, tam również i śmierć musi kosić z taką samą siłą, Mongołowie są ludem wolnych równin i nigdy nie mogą zapuścić korzeni jak drzewo, nigdy nie mogą zastygnąć w spokoju: utraciliby wtedy swoje pierwotne prawo do włóczęgi, do życia na koniu i w jurtach, do równin pokrytych trawą i pasącym się bydłem, do toczących się wozów, przenośnych wiosek namiotów.

Według *Jasy*, prawa, które Chan właśnie ustanawia dla przyszłości, mocarstwo Mongołów ma się ostać i nie mieć sobie równego na ziemi, gdyż takie jest prawo wojowniczego ruchu, dyktowane Wolą Nieba, o surowych, lecz sprawiedliwych przykazaniach, ustawiczna zmienna gra zdrowia między napięciem i odprężeniem, między gwałtem i rozkoszą, między koniecznym odpoczynkiem a równie koniecznym szturmowaniem.

Takie jest przekonanie Chana, zarówno przejęte w dzie-

dzictwie, jak i umocnione doświadczeniem, jednakże nie bez przeciwności i wątpliwości, które występowały coraz to wyraźniej, w miarę jak mocarstwo rozrastało się, a świat rozszerzał.

Często w czasie swoich codziennych rozjazdów Chan przemyślał o *Jasie*, wglądał w samego siebie i czekał, by powstały słowa gotowe do wypowiedzenia, właściwe słowa z siłą, która ma je nieść naprzód przez wiele pokoleń, nie pozwalając, by je błędnie tłumaczono albo roztrwoniono.

Kiedy wraca wypełniony swoimi słowami, przywołuje zaraz skrybę i zasiada wraz z nim samotnie, nikomu nie wolno im przeszkadzać, nikomu nie wolno słuchać, wokół jurty władcy snuje się jakby cichy szep: Chan dyktuje swoje prawo.

Skrybą jest czasem Tatatunga, biegły i wielce zaufany Turek, który nauczył Mongołów pisma ujgurskiego: pisma, które przypomina węże oplatające się wokół fletów i zawiązujące samo siebie na węzeł, by nagle wystawić róg albo ostry kolec, pisma, które kunsztownie kreśli się szpiczastym pędzelkiem umaczanym w tuszu.

Ale Tatatunga jest bardzo zajęтым człowiekiem, strażnikiem wielkiej pieczęci, którą wynalazł dla Chana, a na dodatek sędzią, z zadaniem przestrzegania przepisów *Jasy* i dokładnego stosowania ich w rzeczywistości, ponadto jest to człowiek starzejący się, obciążony ciężkim brzuchem.

Dlatego też jego zastępcą jest często Szigi Kutuku, najprzedniejszy uczeń Tatatungi, nie mniej biegły skryba jak sam mistrz, a przy tym o wiele młodszy i szybszy, wzięty pod opiekę przez Chana jako małe dziecko, gdy raczkował pośród poległych Tatarów po bitwie, jeden z wojennych znajdów obcej krwi, ale wzrosłych i wychowanych wśród Mongołów.

Chan siedzi w swej zwykłej jeździeckiej postawie z podkurczonymi nogami i zmrużonymi szparkami oczu, tylko wargi poruszają się, gdy powoli i wyraźnie wypowiada

swoje słowa, swoje sformułowania prawa, i nie zmienia niczego, daje jedynie skrybie czas na zapisanie słów, nim rozpocznie natępne zdanie.

Gdy skończył, pokazuje skinieniem głowy, że skryba może odejść i wyciąga rękę po zwój pergaminu, przygląda się dokładnie dopiero co zapisanemu tekstowi, odsuwając go niemal na odległość ramienia, dalekowzrocznie, i wygląda to, jakby czytał ten tekst, zastanawiał się nad nim.

Może polega to na głęboko tkwiącej w nim nieufności do magicznej sztuki skryby, może na jego nieufności do każdego innego człowieka prócz siebie samego, ale nie pozwala skrybie odczytać tekstu, który zapisał, lecz przywołuje innego, który odczytuje mu to, co zapisane, powoli, zdanie po zdaniu, a Chan słucha uważnie, kiwa głową aprobująco, upewnił się teraz, że wszystko zostało prawidłowo zrozumiane i zapisane, możliwe do odczytania dla każdego, kto zna sztukę i zna mowę.

Tak to *Jasa* staje się podobna do wolno rosnącej budowli, muru, gdzie każde słowo jest kamieniem, który zajmuje swoje określone miejsce, ale obok *Jasy* Chan dyktuje także bardziej ogólne, pożyteczne słowa mądrości dla zbioru, który nazywa się *Bilik*.

Oto co Chan ma w *Jasie* do powiedzenia o wojowniku:

Wojownik nie powinien myśleć o swoim życiu, to najlepszy sposób na uniknięcie śmierci.

Ten, kto myśli o swoim życiu, łatwo je straci, ten, kto nie troszczy się o to, czy umrze, raczej przeżyje.

W boju każdy jest jednym z innymi, zachowuje się przez zatracenie wśród towarzyszy boju.

W boju najlepszy wojownik podzielony jest na dwóch, jeden walczy nieprzytomnie, drugi czuwa nad nim i zachowuje przytomność.

Silny wojownik nie powinien wymagać tyle od słabszych, co od siebie samego, ma on być ich zaoszczędzoną siłą.

Wojownik powinien w boju oddychać głęboko jak we śnie, daje mu to wytrzymałość i przedłuża jego ramię.

Wojownik nie powinien nigdy nie doceniać przeciwnika, ale ze swojej słabszej pozycji czerpać siłę i chytryść do pokonania go.

By zwać cielaka, nie używa się takiej samej siły co dla zabicia wołu.

Mieć współczucie dla wroga, to jakby wkładać sobie żmie do odzieży.

Mądrzej jest umrzeć natychmiast niż później.

Ten, któremu dane jest żyć trochę dłużej, uważa często, że nie musi umrzeć wcale.

Wróg, którego można używać przeciw wrogowi, nie staje się przez to jednym z nas.

Kto zdradza jednego, może równie łatwo zdradzić kogoś innego, dlatego nigdy mu nie ufaj.

Ten, kto się poddaje, nie jest już wrogiem, zyskał życie, ale przy nieostrożnym ruchu może je stracić.

Wojownikowi nie wolno myśleć o łupie, dopóki bitwa nie zostanie wygrana.

Plądrowanie nigdy nie jest prawem, lecz za każdym razem darem.

Zdobytych kobiet wojownik nie powinien poddawać niepotrzebnemu gwałtowi, urodzą mu one dzieci, które przyniosą chlubę jego imieniu.

Broń, która nigdy nie piła krwi, przestaje rychło być bronią.

Tam, gdzie przeszedł wojownik, trawa rośnie najlepiej.

Chan wyjeżdża z Karakorum, przygotowany na dłuższą wyprawę, w towarzystwie kilku zaufanych i jednego oddziału wojska, podążającego za nim w niewielkiej odległości, od czasu do czasu podejmuje takie wyprawy na kilka dni i nocy.

W myślach powraca często do nieuniknionej nadchodzącej wojny, wyprawy wojennej na południe, zamierza ukarać zuchwałych i buntowniczych Tangutów z państwa Si-sia, a potem ma jeszcze pociągnąć dalej na wschód w celu ostatecznego rozprawienia się z oboma państwami Kitaju.

Czuje, że czas jego upływa, przecieka jak garść piasku między palcami, czyni go to niecierpliwym, chciałby wtedy przyspieszyć bieg wydarzeń i mieć już to wszystko za sobą, innym razem jest znów refleksyjnie cichy, zadumany, jak gdyby chciał trwać przy każdej chwili, uchwycić ją w dłonie i zatrzymać.

Jedzie wraz ze swoją świętą doliną Orchonu, ma rzekę w bliskim polu widzenia, choć nie musi się w tym celu trzymać jej brzegu, a na drugi dzień docierają tak daleko, że konie stąpają w wysokiej, jeszcze świeżej trawie, i pada na nich cień drzew, które rosną coraz gęściej i wyżej.

Między ciemniejszymi drzewami szpilkowymi o prostych pniach stoją brzozy o bujnych koronach, gdzie już ten czy ów liść zaczął żółknąć i opadać na ziemię, podczas gdy pnie błyszczą mlecznobiałe, niekiedy czarnoplamiste, z korą, która łuszczy się i szeleści na wietrze.

Sarny uciekają przed jeźdźcami, przystają zaciekawione, oglądają się za siebie i żywo wężąc nozdrzami patrzą na jadących, a wśród drzew wzbijają się z łopotem ciężkie ptaki leśne, aż konie rzucają głowami.

Często przejeżdżają przez białe spienione strumienie spadające ze stoków i między kamieniami mogą widzieć pstrągi uskakujące na bok, niedźwiedź, który usiłuje złapać ryby w płytkiej wodzie, pokazuje im zęby, nim odbiegnie klusem.

Przybywają do podłużnego jeziora, odbijają się w nim błękitne niebo, na wodzie zaznacza się smugą ślad po stadzie łabędzi, które odpływają z szyjami lekko ugiętymi, nie odwracając głowy.

Chan słyszał często opowiadania o większym jeziorze dalej na północy, gdzie przebywają gwizdzące demony, budzące nagłe podmuchy wiatru, ale jest to gdzieś daleko za miejscem, gdzie Orchon spływa się w jedno z Selengą, a tak daleko w tym kierunku Chan jeszcze nigdy się nie wybierał.

Myśli, że ten kraj jest dziwnie nietknięty i bezludny, jakby stanowił teren przejściowy między różnymi ludami i formami życia, nomadzi z płaskowyżu rzadko się tu za-

puszczają, a szczyty myśliwskie z lasów przebywają dalej w głębi dzikiej głuszy.

Zastanawia się, czy może w jednych stronach świata nie jest za mało ludzi, a w innych za dużo, i czy nie byłoby możliwe jakieś wyrównanie: rzeczywiste mocarstwo może się rozpościerać tylko na jako tako zaludnionych terenach, władza oznacza zawsze władzę nad ludźmi, ale tam gdzie jest ich za dużo, władza może także polegać na zmniejszeniu ich liczby.

Chan nie wie dobrze, dlaczego odbywa tę wyprawę w górę doliny rzeki, w głąb zalesionych okolic, ale jest to tak, jakby szukał czegoś, albo jakby go coś tam ciągnęło, może to tylko wspomnienie z dzieciństwa pędzi go, jakieś na wpół zapomniane wrażenie z tych stron.

Często zatrzymuje się i rozgląda dokoła z grzbietu konia, nie mówiąc nic, może to z takiej właśnie rzecznej doliny rozpostartej między porośniętymi lasem stokami wyszła jakaś gałąź jego rodu, i być może zbudził się drzemający w nim instynkt.

Przyciąga go teraz gaj wysokich drzew rosnących sobie na małym wzgórzu, zatrzymuje się przed nimi i przygląda im się uważnie, potem zsiada z konia i wchodzi między proste, podobne do kolumn pnie.

Są to modrzewie o koronach chwiejących się ku sobie wysoko w przestworzu, słońce widać tam jak trzepocącego ptaka ognistego między gałęzmi o delikatnych, zielonych szpilkach, pnie stoją jak wykute w miedzi, szum wiatru w koronach dociera do ziemi jak rytmiczny szmer.

Chan stoi w tym lasku długo z twarzą zwróconą ku górze, jakby w uniesieniu: nasłuchuje, wdycha czysty zapach drzew, równocześnie zwrócony w głąb siebie samego, może ku jakiemuś rodzącemu się wspomnieniu, niejasnemu przypomnieniu o czymś.

Dużo czasu mija, nim wróci do swoich towarzyszy, ale wtedy jego decyzja została już powzięta i oznajmi ją im w stanowczych słowach, ten las na wzgórzu wyznacza na swoje przyszłe miejsce spoczynku, gdzie ma zostać po-

chowany na sposób Mongołów, w towarzystwie koni i sług, jak przystało chanowi,

i ten lasek ma odtąd zostać nietykalny, dzień i noc ma go strzec uzbrojona straż, dopóki trwać będzie mocarstwo Mongołów, ale żaden kamień ani napis nie ma świadczyć o tym, kto tam spoczywa, tylko te wysokie, sięgające do nieba drzewa, w których szumią wiatry ze wszystkich stron świata.

Po chwili stosownego milczenia, jakie nastąpiło po słowach Chana, wsiadają wszyscy na konie i wyruszają z powrotem do Karakorum.

O stosunku między ogniem i wodą każe Chan zapisać w swoim *Biliku*, zbiorze mądrości:

Ogień i woda są nie dającymi się pogodzić z sobą siłami, których nie wolno kierować przeciw sobie.

Ogień i woda są równie potrzebne do zachowania życia, a dla ludów na płaskowyżu jedno i drugie jest równie cenne i musi być używane oszczędnie, ogień z powodu nikłego zasobu paliwa, woda z powodu swego skąpego występowania.

Ogień oczyszcza podobnie jak woda, ale na inne sposoby: ogień oczyszcza z tego, co niewidzialne, woda z tego, co widzialne.

Ogień służy Woli Nieba, ale jest także bliski demonowi Erlikowi, stąd pochodzi podwójna natura ognia, jego nieocenione dobrodziejstwo, jak i niebezpieczeństwo, jakie równocześnie zawsze w sobie mieści.

Z tego powodu ognia należy zawsze strzec, podtrzymywać go ostrożnie, niczym młode dzikie zwierzę, na którego oswojeniu nie można polegać.

Ogień jest męski, dlatego powinny się nim opiekować przede wszystkim kobiety.

Żaden nóż i żadna broń nie mogą znaleźć się blisko ognia, mięsa w kotle, które gotuje się nad ogniem, nie wolno krajać nożem.

Pod karą śmierci zakazane jest gaszenie ognia wodą, należy go zdusić albo zdeptać.

Taka sama kara grozi za oddawanie moczu do ognia, jak również wewnątrz w jurcie lub do płynącej wody.

W podobny sposób zabronione jest wszelkie inne zanieczyszczenie wody, nikomu nie wolno kąpać się w płynącej wodzie ani pić tam zwierząt, gdyż jedno i drugie zanieczyszcza.

Nie wolno prać odzieży ani też zmywać naczyń, których używa się w gospodarstwie, stanowi to niepotrzebne marnotrawstwo wody.

Przy burzy obowiązują specjalne przepisy, ponieważ burze stanowią przypadkowe, zesłane przez Niebo, wyzwolenie demonicznej furii Erlika: straszliwe starcie między siłami ognia i wody.

To właśnie owo starcie między nie dającymi się pogodzić ze sobą żywiołami ognia i wody czyni burze tak straszliwymi dla natury ludzkiej.

Najmężniejsi wojownicy wpadają nierzadko w panikę w czasie burzy i rzucają się nieprzytomnie do najbliższej wody, do rzeki albo jeziora.

Ale woda nie chroni przed piorunami, przyciąga je raczej do siebie, podobnie jak ulewny deszcz zdaje się wywoływać pioruny i przyczyniać się do ich furii, zamiast je gasić.

Dlatego też nikomu nie wolno się zbliżać do wody w czasie burzy, a ten, kto ma jakieś zajęcie przy wodzie, powinien je natychmiast przerwać i oddalić się stamtąd.

Zwykły ogień nie stanowi przeciwwagi dla piorunów, przeciwnie, wyzwala je i ściąga do siebie, toteż ogniska wewnątrz jurt należy zgasić w razie burzy i żaden dym nie powinien wznosić się przez otwór w namiocie, gdyż także tym może przyciągnąć do siebie piorun.

Jurty nie są najlepszym schronieniem w czasie burzy, łatwo ulegają przewróceniu i zajmują się ogniem, zwłaszcza zanim jeszcze deszcz zdąży dostatecznie przemoczyć wołokowe płachty.

Najbezpieczniej w czasie burzy jest położyć się płasko

na ziemi, z dala od wszelkich występujących przedmiotów, zwłaszcza drzew, ale także wyższych skał.

Zwierzęta są bardziej wystawione na pioruny niż ludzie, szczególnie konie, bogate w krew i pełne żaru, dlatego też wojownicy i inni jeźdźcy powinni opuszczać swoje konie w czasie burzy, by nie zostali trafieni przez piorun wraz z nimi.

Tak to powinien człowiek na różne sposoby przyczyniać się do tego, by oddzielać ogień od wody, używając równocześnie jednego i drugiego we właściwy sposób, by móc żyć.

KITAJ BYŁ podzielony na dwa państwa, które żyły z sobą w niezgodzie: północne państwo Kin i południowe państwo Sung, to pierwsze nazywano Złotym, a jego władcę Złotym Cesarzem, od zachodu chronione było ono przed rzeszami nomadów przez Wielki Mur, a od północnego wschodu przez wasalne państwo Liao.

Wielu najbardziej zaufanych dowódców Chana przebywało przez jakiś czas na służbie u cesarza Kin w jego walkach przeciw państwu Sung, i zyskali oni przy tym bezcenną znajomość kraju, po czym wrócili, żeby opowiadać o fantastycznych bogactwach, które czekały tam na zdobywcę, o wielkich i wspaniałych miastach, o kraju, który był jednym wielkim kwitnącym ogrodem, a równocześnie rościło się w nim jak w mrowisku od czarnowłosych ludzi, kraju o rzekach i kanałach, na których pędzone wiatrem poruszały się pływające domy opatrzone w żagle.

Setki własnych wywiadowców powróciły również z państwa Kin i przyniosły wiadomości o umocnieniach miast i twierdzach, które chroniły górskie przełęcze, o armii liczącej pół miliona wojowników, z których jednak tylko jedna czwarta była wyposażona w konie i łuki, o fermentującym niezadowoleniu w północnym państwie wasalnym, gdzie żelazni mężowie z dynastii Liao gotowi byli do powstania przeciw swoim kitajskim ciemiężycielom.

Złoty Cesarz Kin uważał także Mongołów za podległy sobie lud, a Chana za swego Dowódcę przeciw Buntownikom, a kiedy stary cesarz zmarł, nastąpił po nim syn, który zwał się Wej-szao-wang i nie tylko zażądał od Mongołów daniny, ale także wymagał, żeby Chan ceremonialnie

podporządkował mu się, padając na kolana przed wysłanymi przez cesarza dekrétami.

Gdy wiosna w roku Owcy nastąpiła na płaskowyżach, Chan wprawił swoje siły w ruch, podzielił je na trzy armie, by wyruszyć przez Gobi różnymi drogami i zaatakować państwo Kin z trzech różnych stron równocześnie, sam osobiście sprawował dowództwo nad armią środkową, wiedli z sobą liczne wielbłądy juczne, które skupiono z południowej i zachodniej Gobi w kampaniach ostatnich lat, a każdy jeździec miał jak zwykle kilka koni, silnych i dobrze odżywionych na obfitych wiosennych pastwiskach.

Wczesnym latem armie Chana przeszły przez obszar pustynny i dotarły do żyznych pastwisk Ongutów tuż przed łańcuchem górskim z wielkim Murem, który chronił państwo Kin i Czungtu, cesarską stolicę.

Z wież strażniczych Kitajczycy widzieli trzy armie nadciągające z różnych stron na płaskowyżu, najpierw dostrzegalne jako ogromne chmury kurzu, rozszerzające się niczym olbrzymie smoki, ale gońców wysłanych wtedy do cesarza przyjęto niełaskawie, cesarz nie dał przeszkadzać sobie w ulubionym malowaniu na jedwabiu albo w wysoce ceremonialnych polowaniach, cóż obchodziło go i całe Złote Cesarstwo, że zbliżają się jakieś hordy barbarzyńców!

Tajemni zwolennicy Mongołów spośród straży granicznej otworli jedną z bram we Wielkim Murze dla armii Chana, która przepłynęła przez nią, nie napotykając na większy opór i podzieliła się na różne oddziały, by wtargnąć wachlarzowato w głąb kraju, napadały one na wojska cesarskie niszczycielskimi szturmami, cwałem przełamywały piechotę, kosząc ją gradem strzał wystrzelonych w pełnym galopie, umocnione miasta padały albo były oblegane, prowincję plądrowano, wioski płonęły, zbiory tratowano, zwierzęta i ludzi zabijano, szlaki wodne spływały trupami i barwiły się na czerwono od krwi.

Siły Chana dotarły aż do stolicy, gdzie cesarz Wej-szao-wang wpadł w panikę i chciał uciekać, ale zmuszono go, by został i zagrzewał lud do oporu, Chan jeździł w koło ze swoją gwardią przyboczną na wielkich, czarnych koniach

i oglądał imponujące fortyfikacje, wysokie mury i wieże bojowe, wypełnione wodą fosy i masywne bastiony z wyrzucającymi kule katapultami i miotającymi ogień rurami.

Przejeżdżali przez ogrody wśród kwiatów i owoców, jakich jeszcze nigdy nie oglądali, konie tratowały dojrzałe melony i dynie, czerwonozłote owoce spadały na nich deszczem z drzew, jechali przez rozległe pola maków, które migotały przed nimi jedwabistym czerwonym poblaskiem, woda płynęła, błyszcząc, w długich kanałach i wszędzie wznosiły się niewielkie budynki, otwarte pawilony z wygiętymi w górę zielonymi jak szkło daszkami i z kolumnami pomalowanymi na krwawoczerwono ze złotymi intarsjami.

Z uwagą, a równocześnie z namysłem oglądał to wszystko Chan przez szparki oczu, jego wola podboju była nie zmniejszona i nieujarzmiona. Kin było potężnym państwem, jeśli już nie głównie przez swój ogrom, gdyż odległości nie wydawały się wodzowi jeźdźców szczególnie wielkie, to przez swoją gęstość zaludnienia, nieprawdopodobne stłoczenie ludzi, zabudowań i uprawnej żyzności, zaskakujące zestawienie siły i słabości, masywnej potęgi i kruchego wyrafinowania.

Chan zrezygnował z oblężenia Czungtu i wycofał swe oddziały, odwrót przez Gobi odbył się pod jesień, był to odwrót zwycięzcy, który wprawdzie tym razem nie mógł przeprowadzić podboju, ale jest pełen pożytecznego doświadczenia i niezachwianej stanowczości, by powrócić.

Także i później Chan nie przestał nigdy zdumiewać się w Kitaju: coś było zbyt duże, coś innego zbyt małe, ale oko ulegało często złudzeniu, i to, co zrazu wydawało się małe, było duże, albo na odwrót, nie można było polegać na odległościach, wydawały się często nieznaczne, ale wprowadzały w błąd przez swoje zagęszczenie, tak jakby wielkie obszary stłoczono razem, zgnieciono, wypełniono po brzegi, prowincja i miasta wchodziły w siebie nawzajem, gubiły

się w labiryntach o kwitnących murach i porośniętych trawą wałach, które biegały w kółko wewnątrz siebie, tak że gościniec był jak wstążka zwinięta na kłębek, a wejść do pałacu nie strzegli strażnicy, lecz parawany pomalowane w smoki i lwy, nawet dziecko mogło je odrzucić i wtargnąć do wnętrza, gdzie dzwonki dzwoniły krucho i delikatnie, tak jak mogłyby dzwonić kielichy kwiatów, ale nie był to znak ostrzegawczy, dźwięczały one tylko dla samego ładnego dźwięku, żeby mogły się nim nacieszyć uszy,

a ogromne gongi świętyń nie zastępowały bębnów bojowych, ich donośne dźwięki wydawały się służyć tylko temu, by wywoływać czujność bogów, bogów, którzy także często wyglądali na beznadziejnie sennych lub śpiących ze swymi ciężko obwisłymi powiekami, a gdy nagle strzelił ogień w ciemności, zmieniając się w wirujące kwiaty, spadające gwiazdy, pękające słońca, to nie oznaczało to nic i było tylko rozrywką dla przyjemności przy jakimś ogrodowym święcie,

latarnie wisiały na drzewach i płonęły, nie ulegając zniszczeniu, choć były z papieru i kołysały się na wietrze, całe sale pełne były rolek papieru, które były książkami, zbierano je przez tysiące lat i trzeba by tysiąca ludzkich żywotów albo więcej, żeby przeczytać je wszystkie, utrzymywano, że znajdowały się tam opowiadania tak długie, że przeczytanie ich od początku do końca trwało wiele lat, malowidła, zwinięte w rolki w taki sam sposób jak książki, mogły zaczynać się od miasta, by ciągnąć się dalej na prowincję, to znów w góry, i powracać znów do miasta,

na równinie widać było konie tak ogromne, że mogły unieść dziesięciu jeźdźców, i tak tłuste, że wydawało się, iż nie potrafią biec, ale gdy się podeszło bliżej, okazywało się, że są one z kamienia i są pomalowane na zielono lub czerwono, stały tam jakby od zawsze, przez wiele pokoleń, i trawa rosła wokół nich dziko, nie spaszana,

wszędzie było za dużo ludzi, wydawało się, jak gdyby błakali się po omacku na wszystkie strony, ale mieli wi docznie swoje określone cele, śpieszyli się, ale czasem za-

pominali o tym i zapadali w nieobecność, albo też przystawali grupami i rozmawiali ze sobą, ćwierkając jak ptaki, mogło to też robić takie wrażenie, jak kiedy ptaki przelotne zbierają się do odlotu przed jesienią,

byli niewyrośnięci, może dlatego, że było ich tak wielu, i może po to, żeby wszyscy mogli się pomieścić lepiej, mężczyźni i kobiety nie różnili się niemal między sobą, wszyscy wyglądali jak kobiety, zaokrągleni i słabi, mężczyźni o piersiach niemal równie wielkich jak kobiety, wszyscy nosili też warkocze i często parasole z namalowanymi ptakami, a kobiety miały zdeformowane stopy, skurczone jak małe piastki, tak że trudno było na nich chodzić, uważano to za oznakę piękności i wysoko oceniano,

prawdziwy mężczyzna mógłby uważać kobiety Kitajczyków za zbyt małe, ale ci, co ich próbowali, zapewniali, że mają one w pełni wystarczające łona, czasem nawet za duże, tak że nauczyły się trzymać uda ściśnięte, gdy leżały pod mężczyzną, były też gotowe w kilka razem obsługiwać tego samego mężczyznę, współdziałając z sobą jak najlepsze siostry,

ich wojownicy byli zabawni i trudno było brać ich poważnie, wyglądali, jakby wybrali się na przechadzkę w swoich sandałach i z parasolami, z tymi krótkimi tłustymi członkami i workowatymi jedwabnymi koszulami, robili straszliwe grymasy, zupełnie tak, jakby chodziło o przestraszenie dziecka, a często nie mieli nawet jednego konia na każdego, lecz poruszali się powolnie, pieszo, łatwo też wpadali w lęk na widok koni, tak jakby nie byli do nich przyzwyczajeni i lękali się ich jak dzikich zwierząt, tak że często rzucali broń i uciekali, ale postawieni twarzą w twarz z przeciwnikiem walczyli nieźle i umieli dobrze umierać,

wojownicy nie cieszyli się wśród nich zbyt wielkim szacunkiem, musieli ustępować z drogi mężczyznom w długich szatach i kobietom w lektykach, śpiewacy o głosach kastratów cenieni byli o wiele wyżej, władza spoczywała często w ręku mężczyzn, którzy wyglądali na łagodnych i bezsilnych, kruchych, o długich rzadkich brodach i o tak dłu-

gich i szerokich rękawach, że z trudnością mogli dosięgnąć własnych dłoni, ich dostojność okazywała się właśnie w tym, że ustawicznie byli zajęci podnoszeniem rąk przed sobą i odrzucaniem rękawów w tył,

mężczyzn, którzy popadali w rozbrat z prawem, karano, umieszczając ich nago w bambusowych klatkach, gdzie każdy, kto chciał, mógł podejść i kłuć ich szpiczastymi prętami albo pluć im w twarz, co stanowiło haniebne poniżenie, które musiało być gorsze niż kara śmierci,

wielu zatrudnionych było sporządzaniem dziwnych rzeczy, pudełek, które mieściły się wewnątrz innych pudełek, wycinanych obrazków, które zmniejszały się coraz to bardziej, a w końcu stawały się takie małe, że człowiek nie mógł prawie rozróżnić ich gołym okiem, ale mimo to były całkowicie podobne do większych w szeregu, a jako przeciwieństwo do tych bardzo małych rzeczy istnieli nieludzko wielcy bogowie i dostojnicy rzeźbieni w ogromnych pniach drzewa i jaskrawo malowani, leżący święci mężowie, długi na dziesięć koni, olśniewająco pozłoceni, i lwy odlane z brązu albo żelaza, o głowach wielokrotnie większych niż ciała, szeroko śmiejące się i szczerzące podobne do ludzkich zęby, albo też rozszalałe smoki, które wydawały się gotowe rozszarpać same siebie swymi niezliczonymi kończynami, kolcami i pazurami, i wystawionymi czerwonymi jęzorami,

całkiem niegroźne to były potwory, które mimo swojej wielkości wyglądały jak zrobione dla zabawiania dzieci, także i świątynie sprawiały dziecinne wrażenie żartobliwej przesady ze swymi szczerzącymi grymasy wojownikami lub bogami o wielkich brzuchach i ozdobionych klejnotami pępkach, było to strasznie wesołe, okrucieństwo na niby i niebezpieczeństwo na niby, żeby wprowadzić w błąd naiwne istoty albo odstraszyć duchy, które widocznie uważano za równie łatwowierne jak ludzi,

sadzawki były jakby lustrami dla leniwych z ich malowanymi łodziami i brzdąkającymi instrumentami, lilie wodne pływały na nich gęstymi dywanami, białe albo czerwone na czarnej jak tusz wodzie, złote karpie, długie jak

ramię i tłuste, poruszały się leniwie i pozwalały się głąskać po grzbiecie smukłym, białym palcom, które nigdy nie trzymały broni ani też nie doiły klaczy lub krowy, mosty sklepiały się wysokimi łukami, lakierowane na czerwono, i wydawały się nie przystosowane do wstępowania na nie, były za wąskie i zbyt strome zarówno dla jeźdźców, jak i dla wozów,

białe robaki karmiono liśćmi jak małe zwierzątka, dopóki nie uprzedły w sobie jedwabnej nici, która oddzielała się, gdy ginęły w gotującej się wodzie, i którą wysnuwały z nich kobiety i dzieci o obrzmiałych dłoniach, czerwonych i poranionych jak kawałki mięsa, słodkie wino grzano nad ogniem i pito z czarek tak małych, że mężczyzna ledwie mógł utrzymać je w palcach, opróżniano je jedną po drugiej tak, że przypominało to widok ptaka, który pijąc coraz to podnosi dzióbek, nie robiąc przy tym dłuższych przerw, aby słodki smak utrzymał się w ustach, tak łagodny, że upojenie przychodziło jak zaskoczenie,

ptaki do spożywania tuczono w ciasnych klatkach, żeby były tłuste, także psy tuczono w klatkach i zjadano pieczone w całości z głową i ogonem, ale wypatroszone, ze smaczną złotobrazową skórką, a stada świń trzymano w zagrodach, gdzie tarzały się w błocie i gnoju, ich mięso było tak tłuste, że rozpływało się w ustach, ale zgaga paliła potem w gardle,

kunsztowne pawilony, gdzie nikt nie mieszkał, wznosiły się między grupami niskich szałasów o pociemniałych słomianych dachach, ludzie pracujący na roli dreptali w wodzie i błocie bosymi nogami, białe drobne ziarenka, które tak chętnie zjadali, rosły w wodzie i gromadzono je na kupy, niczym zaległe zasy śniegu wokół zagród, wszędzie zmuszali ziemię i drzewa do niesienia płodów i owoców, ci nazbyt liczni ludzie żyli tylko po to, by produkować rzeczy do jedzenia dla siebie samych i dla innych,

byli też stale zajęci przenoszeniem z miejsca na miejsce wszystkich możliwych rzeczy, każdy z osobna albo wielu razem, na długich drągach położonych na ramionach nosili kosze z owocami i worki ze zbożem albo ryżem, wino w ła-

giewkach, bite tusze zwierzęce i żywe zwierzęta ze związanymi nogami, pęki ptactwa, naczynia ze złotymi rybkami w wodzie i naczynia z samą tylko wodą, wiązki gałęzi i zielonych roślin, i wielu było takich, którzy między sobą nieśli małe domki, gdzie wewnątrz siedział jeden albo więcej ludzi, osłoniętych zwisającymi zastonami,

mężczyźni, którzy nosili, byli niemal nadzy, z błyszczącymi od potu ciałami i golonymi głowami, kobiety znów nosiły z obnażoną górną częścią ciała i kołyszącymi się piersiami, niekiedy z brzuchem nabrzmiałym płodem, który miały urodzić, sam krajobraz był gdzieś tam ukształtowany dla tragarzy, zbudowany lub wykopany ręką ludzką, z półkami pół umieszczonymi jedne nad drugimi i schodami w ziemi, po których tragarze wchodzili albo schodzili z brzemonami tego, co zebrano na górze albo na dole, z dymami z chat wijącymi się jak długie powrozy z tarasu na taras,

a w innych miejscach ziemia była jakby zużyta, zbyt niska i dlatego zagrożona wylewami, które przemieniały krajobraz w płytkie jeziora, gdzie ludzie poruszali się w płaskodennych łodziach albo brnęli mozolnie, zanurzeni po biodra, rzeki płynęły tam wysoko niczym nabrzmiałe żyły na ręce starca, utrzymywane w korytach przez ziemne wały, przy których mnóstwo ludzi zajętych było umacnianiem, żeby woda nie przedarła się przez nie,

tak, był to kraj, który łatwo płonął i równie łatwo mógł zostać zalany wodą, najpierw ogień szalał i pustoszył jak okiem sięgnąć pola i zbiory, drzewa i bydło, wioski i ludzi, którzy uciekali gromadnie, napotykał ogień i zaczynali płonąć, potem otwierały się obwałowania rzek i przychodziła woda, wylew gasił pożary i zatapiał ruiny, aż sterczały tylko oczerniałe korony drzew i mury tego czy innego większego budynku, nawet statki i łodzie na rzekach i kanałach nie mogły uniknąć ognia, płonęły bez różnicy, niskie i wysoko ładowne albo wyniosłe jak potężne domy, i płynęły przed siebie jak wędrowne ogniska na wodzie, dopóki nie zgasły w dymie i parze,

Kitaj był zatem wielce dziwnym krajem, który stale wzbudzał zdumienie Chana, tyle było tam do odkrywania i tyle do zniszczenia.

Chan prowadził wojnę przeciw państwu Kin przez pięć lat, wycofywał się na zimę i powracał na wiosnę, za każdym razem z nowymi siłami, które z kolei napotykały nowe armie kitajskie, zajmowano umocnione twierdze i miasta, oddawano je z powrotem Kitajczykom i zdobywano na nowo, raz po raz, i niszczone duże obszary kraju, aż tylko stada kruków krakały nad stosami ruin i spustoszonymi polami.

Ale wciąż jeszcze nie udawało się zdobyć stolicy Czungtu, jej umocnienia opierały się wszelkim atakom, każdemu oblężeniu, odrzucano uparcie wezwanie Chana do pertraktacji, wewnątrz murów jednak przeciwnieństwa były złowieszcze, cesarz Wej-szao-wang został stracony przez głównodowodzącego Ci-czunga, który potem sam został zamordowany, wielu wysokich generałów zdradziło i przeszło do Mongołów.

W gniewie z powodu zajadłego oporu Chan pustoszył coraz większe połacie kraju, wyniszczał ludność, zabijał zwierzęta, palił ziemię wraz z plonami i wszystkim, co tam rosło, pozwalał kanałom podupadać i rzekom przerywać obwałowania, znów atakując trzema armiami w rozległych działaniach okrążających, aż w dół do Huangho i do wybrzeża morskiego, aż po Koreę.

Chan zwracał Kitajczyków przeciw Kitajczykom, zmuszał ich, by dla niego budowali wszelkiego rodzaju machiny oblężnicze i używali ich w bojach: katapulty wyrzucające kamienie, gigantyczne kusze napinane przez wiele par wołów, tryskające ogniem rury wyrzucające strumienie płonącego oleju, i wszędzie w czasie szturmów Kitajczycy ci zmuszeni byli walczyć o życie między atakującymi i atakowanymi.

W końcu nowy cesarz Süan-cung zgodził się na zawarcie

pokoju na warunkach Chana, oddał mu jedną z córek Wej-szao-wanga oraz przekazał wielkie dary w złocie i srebrze, a także konie i młodych chłopców i dziewczęta, ale gdy Mongołowie wycofali się, cesarz śpiesznie przeniósł się do południowej stolicy Pien po drugiej stronie Huangho, która to ostrożność przez wielu Kitajczyków uznana została za tchórzostwo i zdradzieckie oddanie północnych części państwa.

Chana ogarnęła nieufność wobec tego manewru cesarza i przygotował się, by wtargnąć do państwa Kin jeszcze jeden raz, wkroczył tam na czele większej niż kiedykolwiek przedtem armii mongolskiej i obległ znowu Czungtu, które zostało tak całkowicie odizolowane od otaczającego je kraju, że głód zmusił Kitajczyków do otwarcia bram przed oblegającymi, do czego przyczyniła się też nieobecność cesarza i jego rzekoma zdrada.

Mongołowie wzięli tym razem straszliwą zemstę za długotrwały opór i fałszywe zawarcie pokoju, zostawiali stopy trupów na ulicach, plądrowali i palili, równali domy z ziemią, a wszyscy mongolscy wojownicy otrzymali część ogromnego łupu wojennego, sam Chan zabrał między innymi z sobą do Karakorum wielką liczbę wybitnych uczonych, artystów i specjalistów, a spośród nich przywiązał się szczególnie do męża szlachetnego rodu, Je-lü Cz'u-c'aja, który posiadał ogromną wiedzę na tak różnych polach jak medycyna i astronomia, matematyka i administracja, jego godność i duma były też tak nieodparte, że natychmiast pozyskał zaufanie Chana i otrzymał wysokie stanowisko jako jego doradca.

Państwo Kin pod cesarzem Süan-cung zredukowane zostało do obszaru na południe od Huangho, odpierało ono tam różne próby inwazji i buntu, umacniało nową stolicę i wzbraniało się poddać panowaniu Mongołów, a równocześnie nadal trwało w stałym konflikcie ze swym południowym sąsiadem, państwem Sung.

Chan panował teraz nad całym północnym obszarem Kitaju i wydzielił armię pod dowództwem Mukaliego w celu

kontynuowania wojny, podczas gdy on sam z pozostałymi wojskami powrócił do Karakorum w 1216 roku chrześcijaństwa, który był rokiem Myszy w kalendarzu mongolskim, a czterdziestym dziewiątym rokiem życia Chana.

NA PERYFERIACH Karakorum znajduje się otwarte miejsce dla zabaw, dla gier wojowników i dorosłych mężczyzn, które także Chan lubi oglądać, siedząc na koniu: są to zawody w strzelaniu z łuków, jeździe konnej i zapasach, w rzucaniu oszczepem, toporkiem i rzutach piłką (ciężką skórzaną piłką wypchaną szmatami albo wiórami).

Zwłaszcza przy różnych uroczystościach, gdy wiele wypito, gry i zabawy zaczynają być gwałtowne i często ich uczestnicy doznają złamania członków albo karków, a tymczasem wszędzie rozbrzmiewają śmiechy i okrzyki, posłów z różnych obcych krajów namawia się albo wprost zmusza do uczestniczenia w zawodach i z powodu niedołęstwa i przestachu stają się oni przedmiotem pośmiewiska wśród dzikich Mongołów, Chan jednak nie wkracza ani też nic nie mówi, twarz jego zachowuje, jak przystoi, nieruchomość i brak wyrazu, a on sam tylko od czasu do czasu gładzi wąs zewnętrzną stroną dłoni.

Wielka próba siły polega na mocowaniu się z niedźwiedziem, czarnym, niezbyt dużym niedźwiedziem z pierścieniem w nosie i przyciętymi pazurami, który staje na zadnich łapach, a przednimi obejmuje zapaśnika, ten zaś z kolei jest odziany w skórę niedźwiedzią i chroniony mocnymi butami i rękawicami, skutkiem czego gra nie jest zbyt nierówna.

Niedźwiedź jest na pewno mocniejszy niż najsilniejszy z mężczyzn, ale nie umie wykorzystać równie dobrze swojej siły, chwyta tak mocno, że zęby zgrzytają, podczas gdy zapaśnik napina się tylko umiarkowanie, żeby stawić opór, dopóki nie znajdzie odpowiedniej okazji, a wtedy wykonuje

gwałtowny chwyt, żeby przewrócić niedźwiedzia na grzbiet i przytrzymać go w tej pozycji.

Szansą dla niedźwiedzia jest zacisnąć uchwyt jak najbardziej, włożyć całą siłę w uścisk łap, aż żebra przeciwnika pękną albo kręgosłup złamie się z trzaskiem, czemu towarzyszy krzyk człowieka, nim zwiśnie on nieżywy lub sparaliżowany w łapach niedźwiedzia.

Niedźwiedź czasem zostaje pokonany, ale nigdy nie doznaje żadnego szwanku i nagradzany jest czarką miodu, gdy pokona albo uśmierci człowieka.

Argasun, grajek na kuurze nie ma stóp, przynoszą go Chana kobiety, gdy Chan tak nakaże, jest szczupłym mężczyzną bez zarostu, klatkę piersiową i grzbiet znaczą pasma żeber, tak że ciało jego ma pewne podobieństwo do instrumentu muzycznego.

Argasun nie jest zbyt dobrym śpiewakiem, głos jego nie jest ani jasny, ani mocny, ale nie ma on sobie równych jako grajek na kuurze, dłonie jego poruszają się jak trzepoczące ptaki, a tony dźwięczą z jego kuuru ze szczególną głębią i czystością.

Chan chętnie słucha, kiedy Argasun gra na kuurze, czasem jest to jedyna rozrywka, która go bawi, siedzi wtedy bardziej niż kiedykolwiek pogrążony w sobie samym, podczas gdy Argasun ukradkiem obserwuje go, gotów usłuchać najmniejszego skinienia jego ręki.

Od dawna istnieje nie wypowiedziane porozumienie między Chanem i grajką, porozumienie, które mieści także ukryty konflikt, gdzie obaj są sobie nawzajem coś dłużni i obaj mają sobie coś do zawdzięczenia.

Argasun nie był nigdy wojownikiem i prawdziwym mężczyzną, przebywał on zawsze wśród kobiet i uprawiał grę na różnych instrumentach, ale stale czuł ciężar swojej niemęskości i pocieszał się pićciem, upijaniem się codziennie.

Kiedy Chan prowadził wojnę przeciw czarnowłosemu ludowi na wschodzie, przyjął jako znak pokoju pośród innych darów od cesarza Kin kosztowny kuur wykładany

złotem i szczególnie dźwięczny. Chan znalazł w nim wielkie upodobanie i dawał go czasem Argasunowi, żeby ten grał na nim chwilę.

Chan bardzo dbał o piękny instrument i dał Argasunowi do zrozumienia, że będzie go to kosztowało życie, jeśli kuur w jakiś sposób zostanie uszkodzony, nie udzielił mu też pozwolenia na zabieranie go z jurty władcy.

Ale Argasuna ogarnęła taka namiętność do cudownego kuuru, że nie mógł oprzeć się pokusie, by raz nie wziąć go z sobą, kiedy zdawało się, że nikt tego nie widział.

Był już trochę pijany i kiedy grał na kuurze sam dla siebie, zamknięty w swojej jurcie, wypił jeszcze więcej, gdyż im bardziej był pijany, tym lepiej grał, albo zdawało mu się, że gra lepiej.

I tak się przejął swoją muzyką, przepełniło go takie szczęście, że nie mógł już wysiedzieć w jurcie, wytoczył się na dwór, żeby grać pod nocnym niebem, dla księżycy i gwiazd.

Robił kroki taneczne w takt muzyki i czuł się błogo, ale nagle potknął się i padł na twarz, z kuurem w objęciu, i usłyszał trzask, legł jak martwy w miejscu, gdzie upadł, nie chcąc dopuścić do świadomości nieszczęścia, jakie się stało.

Nazajutrz blady i drżący wśliznął się do jurty Chana ze zniszczonym kuurem w rękę, rzucił się przed władcą na twarz i płakał bezwstydniej niż jakaś kobieta.

Gwałtowny gniew ogarnął Chana, który powiedział cichym głosem przez zęby: „Złoty kuur nie ma sobie równych, zapłacisz teraz życiem za to, żeś go zniszczył!”

Argasun błagał rozpaczliwie o darowanie mu życia, zwalając winę na to, że był pijany, że kochał złoty kuur ponad wszystko i uległ nieodpartej pokusie, by go zabrać, żeby grać dla siebie samego.

Chan odzyskał panowanie nad sobą i rzekł: „W takim razie zapłacisz swoimi rękami, które zabrały kuur, tak żebyś ani nie mógł grać, ani donieść trunku do ust!”

Ale Argasun błagał równie rozpaczliwie o rękę, jak o życie, potrafi powstrzymać się od picia, ale jak zdoła wytrzy-

mać, nie mogąc grać, na co Chan odparł, żeby wobec tego poświęcił stopy, ponieważ i tak stoi na nich tak kiepsko i nie potrzebuje ich, żeby grać.

I na tym stanęło, Argasunowi obcięto stopy, jeździł od-tąd z kobietami w wozie, nie mógł wsiąść na konia, ko-biety przenosiły go z jego jurty do innych jurty, mógł po-ruszać się tylko czołgając się po ziemi, ale grać i pić umiał lepiej niż kiedykolwiek.

Z północy przybywa czarownik, prowadząc dwa wilczu-ry, jest odziany w nie wyprawioną śmierdzącą skórę i ma czarne, błyszczące od tłuszczu włosy zwisające na policzki, a oczy błyszczą mu jak wstawione lusterka.

Kudłate psy trzymają się tuż przy nim, rozglądają się wokoło płonącymi ślepiami i szczerzą ostre zęby na wszyst-kie strony, ale nie napastują nikogo.

Czarownika prowadzą między ogniskami na otwarty plac przed jurty władcy, rozczapierza palce ku płomieniom, a te jakby cofają się, gdy on przechodzi obok, psy idą za nim skulone i ogień wcale ich nie osmala.

Czarownik żąda, żeby go dopuszczono przed Chana i że-by mógł pokazać swoje sztuki, zapewnia, że są one dosta-tecznie niezwykle także i dla największego władcy i że ryzykuje utratę życia, jeśli wzbudzi niezadowolenie Chana.

Sztuk tych nie można jednak wykonywać w jurcie wład-cy, musi to się dziać na dworze, na ziemi i po zachodzie słońca.

Chan okazuje się nieoczekiwanie łaskawy i przybywa w towarzystwie swoich dowódców, zasiadają na poustawia-nych ławkach i czarownik pozdrawia Chana, klękając na ziemi, psy u jego boku szczerzą białe zęby.

Chan daje mu znak, że może zaczynać, wnoszą misę pa-rującej gorącej krwi i psy gorliwie ją wychłęptują, potem czarownik rozpala ognisko na ziemi, a ono płonie niezwy-kłymi zielononiebieskimi płomieniami.

Czarownik kuca przed psami, wpatruje się w ich żółte

rozpalone ślepią i bije szybko w mały bębenek między kolanami, psy skomlą i kładą się, czołgając po ziemi.

Potem wstają na sztywnych nogach, sierść stoi sztywno na ich grzbietach, czarownik bębni coraz bardziej dziko i wykrzykuje ochryłym głosem, psy zbliżają się do niebieskozielonego ogniska i wchodzą wolno w płomienie.

Widać, jak psy zajmują się ogniem i płoną żółtoczerwonymi płomieniami wśród niebieskozielonych, i ciała ich rozżarzają się jak żelazo w ogniu, one zaś skręcają się, poruszają, zmieniają kształt, nabrzmiwiają.

I nie są to już psy, tylko potwory, rosną i zmieniają się na oczach wszystkich, stają się płonącymi lwami o ogromnych głowach i rozdziawionych paszczach, zwracają się przeciwko sobie i zaczynają z sobą walczyć, usiłują rozerwać się nawzajem na sztuki.

Wtem jeden lew zmienia się w potężnego węża, który owija się wokół drugiego, żeby go zmiażdżyć, ale ten z kolei staje się smokiem o kolczastym ciele i wielu parach odnóży i łap z długimi pazurami.

Potwory toczą dziką walkę z sobą i żaden nie może pokonać drugiego, zamiast ulec rozszarpaniu albo odnieść rany, zmieniają tylko postać, tak jakby miały niezliczone życia, by w nie uciec.

Czarownik stoi pochylony i wpatruje się w nie, bębni nieustannie i wykrzykuje od czasu do czasu, pot spływa mu strumieniami po ciemnej twarzy.

Wszyscy śledzą widowisko z napięciem, w ciszy i bezruchu, i jeśli ktoś rzuci okiem na oblicze Chana, nie może nic wyczytać z jego niewzruszoności.

Gdy potwory w ogniu zmieniły się w straszliwe monstra, których nikt nigdy nie oglądał jak może tylko we śnie, czarownik przechodzi w końcu do powolniejszego bębnienia i płomienie zaczynają się zmniejszać.

W miarę jak ogień gaśnie, psy przybierają znowu pierwotny kształt, czołgają się do swego pana, ich futra nie wydają się nawet osmalone.

Czarownik ugina kolana przed Chanem, którego twarz

pociemniała i który dopiero po chwili złowieszczonego milczenia mówi do niego: „Wiesz dobrze, że czary są zabronione w *Jasie*, a mimo to ważysz się stanąć przede mną jako czarownik!!”

Czarownik odpowiada: „O wielki Chanie, to nie są czary, tylko sztuka, którą chciałem ci pokazać, w nadziei że ci się spodoba!”

Ale Chan rozstrzyga szortko: „Nie sztukę pokazujesz, lecz moc, niebezpieczną i demoniczną moc! Zostaniesz wypędzony z mojego państwa, a twoje psy zostaną zabite!”

Po czym wstaje i wchodzi do jurty władcy, zostawiając czarownika jego wyrokowi.

Istnieją święte konie, wybrane po przyjściu na świat przez szamanów, bez wyjaśniania dlaczego i na jakich zasadach, może to sam moment narodzin o tym decyduje, pozycja gwiazd albo spotkanie wiatrów, może sam sposób rodzenia się albo jakiś znak u nowo narodzonego źrebięcia, doskonała gwiazdka na czole albo dziwny wzór na skórze.

Każ wybrane, są te konie przedmiotem bojaźliwej troski, nie wolno na nich jeździć, nie wolno wkładać na nie siodła ani uprzęży, ani karać, ani choćby odpędzić na bok, muszą pozostać wolne i nie skrupowane we wszystkim, jeśli uciekną, jest to nieszczęście, ale nie wolno ich złapać, tylko dobrowolnie idą z ludźmi w bój i na wojnę, gdy zostaną zranione albo zabite, jest to znak niepomyślny, w innym razie przynoszą powodzenie i szczęście.

Złodziei albo rabusi, którym zdarzyłoby się przez pomyłkę uprowadzić święte konie, czeka ciężki los, są niewzruszenie ścigani i prześladowani, zabija się ich tuż po doścignięciu, albo też spotyka ich kara w inny sposób, w razie gdyby udało im się umknąć.

To duchy jeżdżą na tych koniach, duchy, które są wszędzie, poruszają się wszędzie tam, gdzie poruszają się ludzie, duchy, które mogą być życzliwe i przynosić szczęście, ale też łatwo mogą się obrazić i stać się nieżyczliwe, wrogie.

Może i sam Chan podziela tę wiarę w święte konie, które należą do duchów, szanuje on je i nie wkracza przeciw

wybieraniu takich koni przez szamanów; może tylko do-
gląda, by nie zrobiło się ich nazbyt dużo.

U stóp góry Burkan Kaldun znajduje się źródło, znane
wśród Mongołów przez wszystkie czasy, tryska bez prze-
szkód w najgorętsze lata i nigdy nie zamarza w zimie, po-
siada ono tę dziwną właściwość, że jego woda jest zimna
latem i ciepła zimą.

Co roku, na początku chłodów zimowych, składa się temu
źródłu ofiarę z konia, białego konia bez żadnej plamki,
i krew ścieka do źródła, które zabarwia się przez krótką
chwilę na czerwono, a gdy już wypije krew, jest równie
czyste, albo i czystsze niż przedtem.

Jest to źródło bez dna, jego wodny korzeń sięga w dół
aż do wnętrza ziemi, może aż do tych bezkresnych wód,
wśród których pływa ziemia, a gdy spojrzeć w głąb źródła,
widzi się tylko samego siebie i otaczający świat, odbite
i pomniejszone w głębinie, dopóki nie przesłoni się dłonią
oczu i nie dostrzeże czerwonych ścian źródła, niczym
olbrzymiej gardzieli, spadającej prosto w dół.

Od dawna zakazane są próby mierzenia głębokości źró-
dła, byłoby to zbyt blizaniem się do jego tajemnicy
i nikt nie wie, co by się wtedy stało, gdyby jednak ktoś
to uczynił, zostałby za karę zbity, co jednak nigdy jeszcze,
jak dotąd, się nie zdarzyło.

Koni i bydła nie wolno pić przy tym źródle, zanieczy-
ściłoby to je, a zwierzęta pozdychałyby od zimnej wody,
także ludzie muszą pić ją ostrożnie, powoli, schyleni nad
źródłem, z ustami przy wodzie: w najgorętsze dni ziębi
ona w brzuchu jeszcze długo potem, a w porze zimowej
rozgrzewa.

Niejeden, który pił zbyt łapczywie wodę z tego źródła,
doznał ciężkiego skurczu i zachorował, a nawet umarł: taka
jest kara za brak szacunku i pośpieszną łapczywość.

Sam Chan przez całe swoje życie powracał raz po raz
do tego źródła u stóp góry Burkan Kaldun, umie on pić
z niego we właściwy sposób i stale czerpie nową siłę z jego
wody.

To właśnie teraz, w tym czasie pokoju i oczekiwania w Karakorum, Chana coraz to bardziej niepokoją sny, noc nie daje mu prawdziwego odpoczynku, rzuca się i krzyczy przez sen, oddycha mozolnie i budzi się nagle mokry od potu, z gwałtownie łomocącym sercem, sen, w środku którego akurat się znajdował, nie chce go opuścić, wydaje mu się nasycony tajemnym znaczeniem i pozostaje w jego pamięci.

Nierzadko odczuwa nieprzepartą potrzebę, by opowiedzieć ten sen komuś natychmiast albo na drugi dzień, by przez to równocześnie utrzymać go lepiej i łatwiej się od niego oswobodzić, ale nie posyła po skrybę, nie chce, by sen został zapisany, gdyż to mogłoby go uczynić zbyt rzeczywistym i nadać mu większe znaczenie, większą moc, a może takie zapisane sny mogłyby także zostać nadużyte w ten czy inny sposób.

Zamiast tego posyła po kogoś, kto tylko słucha, co Chan opowiada o swoim śnie, kogoś, komu może się zwierzyć i na kim polega, czasem przywołuje w środku nocy mądrego Kitajczyka, Je-lü Cz'u-c'aja, by z jego pomocą tłumaczyć znaczenie snu albo nieco oddalić zawartą w śnie dziwność, groźbę albo strach.

Niekiedy zwraca się do swoich najbardziej zaufanych szamanów, innym znów razem wybiera do zwierzeń kobiety, mądrą Börte albo ujmującą Kulan, ale nigdy nikogo z synów lub wypróbowanych dowódców, bez względu na to, jak bardzo ich ceni, należą oni do innej płaszczyzny i swoich snów nie chciałby im powierzać.

Chana nigdy przedtem nie prześladowały sny o takiej sile i uporczywości, pyta on Je-lü Cz'u-c'aja, na czym to może polegać, czy jest to może oznaka starości, czy te sny znaczą coś szczególnego, czy wróżą coś, albo ostrzegają przed czymś ważnym, co się ma wydarzyć, czy też całkiem po prostu pochodzą z nienaturalnie pokojowego życia tu w Karakorum.

Je-lü Cz'u-c'aj odpowiada, że sny mogą mieć wszystkie te przyczyny naraz albo niektóre z nich, zależnie od okoliczności, uważa, że mądrze jest zwracać na nie uwagę

i próbować tłumaczyć ich ukrytą wymowę, niektóre mogą być całkiem przypadkowe i pozbawione głębszej treści, z innymi może być zgoła inaczej.

Ale jak powstają sny, pyta Chan, skąd przychodzą, czy zsyłane są z samego Nieba, czy też wywołują je wędrowne demony, złe duchy, a może pochodzą z własnego wnętrza człowieka, z jego pamięci, albo wręcz przychodzą z wnętrzości?

Znowu, powiada Je-lü Cz'u-c'aj, może to być kwestia tego czy owego, sny mogą mieć bardziej różne pochodzenie i impuls, trzeba starać się to zbadać od przypadku do przypadku, snów nie można tylko brać takimi, jakimi się one wydają, są pełne kapryśnych sprzeczności i przemian, kryją często swoją prawdziwą treść, albo też mogą mieć wiele różnych znaczeń równocześnie.

Chan: „Czy można sny porównywać z jakąś chorobą podobną do febry, która dręczy każdego ciężkimi wyobrażeniami, i czy jest w takim razie jakiś środek przeciwko nim, czy można w ten lub inny sposób uniknąć snów?”

Je-lü Cz'u-caj: „Są naturalnie środki, by uczynić sen głębszym, ale nie oddziałują one koniecznie na sny, są one raczej oznaką zdrowia niż jakiejś choroby, stanowią ujście dla czegoś, dla jakiejś wewnętrznej działalności, która na pewno jest ważna, może niezbędna.

Chan zdaje sobie sprawę, że nie byłoby rzeczą mądrą unikać snów, nawet gdyby to się dało zrobić i dochodzi do wniosku, że jego obecne sny mają coś wspólnego z przemianami w nim samym, jest wiele spraw, nad którymi zaczął teraz się zastanawiać albo wręcz w nie wątpić, a które dawniej były dla niego całkiem oczywiste, gwałtowne działanie zaczęło opadać, przynajmniej na krótki czas, a zamiast tego przyszły dociekliwe myśli, niemal skradające się wątpliwości co do własnych czynów, znaczenia tego wszystkiego, co osiągnął.

Oto jeden z często powracających i najbardziej niepokojących snów Chana:

Oto znajduje się w wirze walki, która toczy się bez żadnego rozstrzygnięcia, strzały świszczą i przesywają powietrze jak deszcz, kurz podnosi się gęstymi chmurami wokół rozpedzonych jeźdźców, konie stają dęba, ścierając się z sobą, wojownicy uwikłani są w gwałtowną walkę, ryczą z otwartymi ustami albo obnażają mocno zaciśnięte zęby, wielu spada na ziemię, głowy toczą się w strumieniach krwi albo zwisają na wpół odcięte.

Są to dla Chana dobrze znane widoki, nic szczególnego nie odróżnia walk w snach od rzeczywistości, Chan nie czuje żadnego lęku, nie boi się niczego, wprost przeciwnie, pełen jest zwykłego upojenia bojem, wzmożeniem wszystkich sił, swego rodzaju zimnym żarem, opanowaną dzikością, stanem, w którym czas jakby się rozszerzał, każda chwila staje się szczególnie odczuwalna, niesiona wolą stanowiącą jedność z każdym ruchem,

ale mimo że każda chwila jest dziwnie rozszerzona i trwała, to równocześnie czas w całym swym wymiarze biegnie bardzo szybko, jest to tak, jakby słońce poruszało się skokami na niebie, dzień nie wzniósł się jeszcze na dobre ku południu, a już zaczął się szybko zniżać ku wieczorowi, ciemność ma szybko zapaść i walki ustaną,

wtedy widzi jednego z wrogich wodzów, który naciera na niego, wyraźnie jednego z najwybitniejszych, takiego, który uważa się za równego jemu, i uderza go nagle myśl, że to on sam naciera na siebie, poznaje się w każdym szczególe, tak jakby widział odbicie samego siebie: Chan idzie do ataku na Chana, i to przepełnia go strachem, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie zaznał,

stoi wobec tego jedyne, który rzeczywiście może się z nim zmierzyć, jedyne, którego nie zdoła pokonać, gdyż gdyby go pokonał, oznaczałoby to, że pokonał siebie samego, a gdyby ten drugi zwyciężył nad nim, to oznaczałoby to jedno i to samo!

Może to właśnie ta niemożliwość paraliżuje go, napawa takim strachem dlatego, że stoi wobec siebie samego, siły opuszczają go, członki stają się ciężkie jak ołów, ledwie

może unieść miecz, a co dopiero wymierzyć jakiś rozstrzygający cios,

jest wydany na łaskę tego drugiego, bezradny jak małe dziecko, i może tylko czekać na śmiertelny cios, który zostanie mu wymierzony, nie ma nikogo, kto by się wdał w tę walkę albo wkroczył między nich, obaj znajdują się sami z sobą, jak gdyby z dala od toczącej się bitwy,

ale wtedy spostrzega, że ten drugi ma takie same trudności jak on, jest równie bezsilny i bezradny, z trudem tylko może unieść miecz, jego ciosy ledwie się dają odczuć na tarczy, którą on trzyma przed sobą,

i tak walczą z sobą, coraz to powolniej, z coraz większym trudem, jakby byli pogrążeni w gęstym błocie albo przemoczeni dziwnie ciężką wodą, ich cięcia i sztychy nie docierają do celu albo nie przebijają osłony, mogliby równie dobrze walczyć miękkimi różdżkami, co wyostrzonymi mieczami,

to walka, która nie może zostać rozstrzygnięta, która może toczyć się w nieskończoność, i nikt z nich nie zdoła pokonać drugiego, albo choćby tylko zadać mu jakiejś poważniejszej rany.

Chan budzi się ze snu obłany potem i dysząc z trudem, wciąż jeszcze czuje, jakby ciało jego było ciężkie jak ołów i sparaliżowane, stwierdza jednak, że może się poruszać, może usiąść, wstać z łoża, przywołać straż.

I posyła po Je-lii Cz'u-c'aja, wprawdzie spokój tamtego zostanie zakłócony w środku nocy, ale na to doradca Chana musi być przygotowany, Je-lii Cz'u-c'aj wydaje mu się jedynym, z którym może mówić o tym śnie.

Je-lü Cz'u-c'aj przychodzi i kłania się nisko na swój uprzejmy kitajski sposób, z rękami w długich rękawach skrzyżowanymi na piersi, nie okazując żadnych oznak zdziwienia z powodu nocnej pory, nie widać po nim wcale, że spał.

Chan opowiada sen, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, Je-lü Cz'u-c'aj słucha uważnie, a gdy Chan skończył, siedzą obaj przez chwilę w milczeniu, po czym Chan mówi:

„Co sądzisz o znaczeniu tego snu, mądry Je-lü Cz'u-c'aju,

dlaczego porusza on mnie tak bardzo, dlaczego czuję taki strach, by zmierzyć się z samym sobą, dlaczego paraliżuje mnie to i tracę swoją siłę?”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Pozwól mi odpowiedzieć pytaniem na pytanie, o Chanie, czy nigdy we śnie nie wątpisz, że to z sobą samym ścierasz się, a nie z kimś innym, kto jest podobny do ciebie, ale nie jest tobą?”

Chan: „Nie, nigdy mi to nie przychodzi do głowy, wiem, że to jestem ja sam, gdy tylko zobaczę siebie nacierającego na mnie, właśnie to jest tak przerażające i paraliżujące, gdyby to był ktoś inny, tylko podobny do mnie, natychmiast zaatakowałbym go i pokonał”.

Je-lü Cz'u-c'aj: „Może to znaczyć, że nie boisz się nikogo innego prócz siebie, tylko ty możesz zagrozić samemu sobie i sparaliżować swoje siły, tylko ty sam możesz obrócić się przeciw sobie i pokonać siebie”.

Chan: „Ale co to znaczy, jak mógłbym się obrócić przeciw sobie samemu, nie mogę przecież podzielić się na dwie osoby, które obie są mną i zwalczają się nawzajem”.

Je-lü Cz'u-c'aj: „To może być mowa snów, żeby powiedzieć ci, że grozi ci niezdecydowanie, że dwie przeciwstawne wole zaczynają się poruszać w tobie, że twoje dzieło i twoje działania odsuwają się od siebie w dwóch różnych kierunkach”.

Chan przesuwa z namysłem rękę po czole, ale nie mówi nic, i Je-lü Cz'u-c'aj ciągnie dalej:

„Ale ten sen może też znaczyć coś innego: że czujesz, iż zbliża się czas, kiedy będziesz musiał przekazać swoje państwo w inne ręce, że martwisz się, jak to będzie, obawiasz się, że władza, którą przekazałeś, obróci się przeciwko temu, co stworzyłeś i unicestwi to”.

Chan gładzi się znowu po czole, ale wciąż jeszcze milczy, i Je-lü Cz'u-c'aj podejmuje na nowo:

„Ten sen może jednak dotyczyć jeszcze czegoś innego, waham się wypowiedzieć to, o Chanie, ale może być, że obawiasz się, iż gdzieś powstanie ktoś, kto może się mierzyć z tobą, kto jest tak podobny, albo tak dorównuje ci we wszystkim, że nie możesz go pokonać”.

Chan zastanawia się nad słowami Je-lü Cz'u-c'aja w milczeniu i bez ruchu, potem wzdryga się, jakby zmarł, otrząsa się i patrzy na Kitajczyka długim badawczym spojrzeniem, po czym nakazuje podać wino i wychyla kielich, mówi, by podano mu konia i wyjeżdża samotnie w środku nocy.

JE-LÜ CZ'U-C'AJ, uczony z Kitaju, wysoki i chudy mężczyzna z rzadką białą brodą, która sięgała mu aż do pasa, był już nieco starszym człowiekiem, lecz wyglądało, że wiek nie daje mu się we znaki, jego głos miał głęboki spiżowy dźwięk, który zadziwiał i sprawiał wrażenie, jakby pochodził od kogoś innego, chodził odziany w długi do stóp jedwabny kaftan bez haftów, a szerokie rękawy spadały na jego dłonie na sposób kitajski.

Nie poruszały go zupełnie pokazy szamanów, jego zdolność przewidywania i tłumaczenia różnych znaków przewyższała ich umiejętności i znał wiele z tego, czego oni nie wiedzieli, nie imponowali mu też słynni mongolscy dowódcy i wojownicy, a chełpliwą pyszałkowatość, którą chętnie mu okazywali, przyjmował z chłodną obojętnością.

Chan słuchał tego, co Je-lü Cz'u-c'aj miał do powiedzenia i pozwalał wpływać na siebie jego jasnej argumentacji, mongolscy dowódcy chcieli skłonić Chana, by pozwolił im wytepić przeważną część ludności na obszarze kitajskim i przemienić go w pastwiska dla stad, ale Je-lü Cz'u-c'aj obrócił się przeciwko nim i wykazał Chanowi swoimi obliczeniami, o ile bardziej opłacalne byłoby zachowanie ludności przy życiu, nałożenie na nią podatków i wykorzystywanie produktów tego kraju.

Chan dał się przekonać, miał on zdolność poszerzania swego sposobu myślenia, w miarę jak poszerzała się jego znajomość świata, polecił Je-lü Cz'u-c'ajowi stworzyć w Karakorum organizację, która miała zatroszczyć się o przeprowadzenie powszechnego opodatkowania, i przyjął na swoją służbę dużą liczbę kitajskich, ujgurskich i mahomekańskich skrybów.

Rady Je-lü Cz'u'c'aja dotyczyły także sposobu, w jaki Chan miał w przyszłości rozszerzać i umacniać swoje państwo, taktyczne kroki miały mianowicie blisko współdziałać z wojennymi, i tak wysłano małą armię dowodzoną przez Dżebego, zwanego Strzałą z powodu swej szybkości i energii działania, by odeprzeć napastnika, który od zachodu usiłował wtargnąć do Kara Kitaju, a przy tym pozyskano ludność mahometańską przez religijną tolerancję zachowywaną w państwie Mongołów, przywódcę napastników pokonano i ścięto, po czym państwo Chana rozpostarło się aż do łańcuchów górskich Pamiru i dolin Syr-darii.

Nieco wcześniej niż mongolskie imperium Chana powstało dalej na zachodzie państwo chorezmijskie pod tureckim władcą, który z jądra perskiego poszerzył swoje mocarstwo tak, że obejmowało ono duże części Afganistanu i północnych Indii, Chorasani i Transoksyanię, sięgało daleko na północ od Morza Aralskiego i aż po Morze Kaspijskie, a równocześnie zagrażało kalifatowi w Bagdadzie na zachodzie i pretendowało do roli czołowego bojownika islamu.

Władcą Chorezmu był w owym czasie szach Alla ed-Din Muhammed, człowiek butny i próżny, wyrafinowanie chciwy rozkoszy, rozsmakowany w dekadentycznej kulturze, intrygant i chytry polityk, ale równocześnie śmiały wojownik, który chętnie nazywał siebie obnażonym mieczem islamu.

Liczne miasta Chorezmu były niemal wszystkie miastami-oazami w dolinach rzek, sztucznie nawadnianymi, bujnie kwitnącymi, stanowiącymi przybytek olśniewającego luksusu, nauki i sztuki: Samarkanda, Buchara nad Amudarią, Otrar i Dżend nad Syr-darią, Merw, Balch, Niszapur i Herat w pobliżu bardziej południowych ramion rzek.

Chan Mongołów dokonał najpierw próby nawiązania dobrych stosunków i zawarcia traktatu pokojowego z państwem chorezmijskim, posłał do szacha pismo, w którym go pozdrowiał, oświadczał, że dobrze zna jego moc i jego rozległe państwo, i nazywał go nieco dwuznacznie swoim najbardziej ukochanym synem, i kończył wyliczeniem

własnych podbojów, nadmienieniem o swojej wojennej sile i wyrażeniem pragnienia, by oba kraje mogły żyć z sobą w pokoju.

Szach znalazł w tym piśmie ton protekcjonalny i ukrycie obraźliwy, zawarł pozorny układ i wyczekiwał na okazję, by go złamać, Chan wysłał do Chorezmu bogato ładowaną karawanę, ale została ona zatrzymana w Otrarze i obrabowana, po czym czterystu pięćdziesięciu uczestników stracono.

Chan posłał teraz do szacha trzech posłów z żądaniem ukarania winnych, ale szach odmówił żądaniu i targnął się na posłów. Chan przygotował się wtedy natychmiast do wojny z Chorezmem, poszukał wskazówki u Wiecznego Błękitnego Nieba i znalazł, że Wola Nieba zgadza się z jego własną: nie może być dwóch słońc na sklepieniu niebieskim ani też dwóch władców świata!

Do szacha Chorezmu posłał krótkie posłannictwo: „Wybrałeś wojnę. Co ma się stać, niech się stanie, a jak to się skończy, wie tylko Niebo”.

W trzecim roku po powrocie z Kitaju Chan wyruszył na nową wojnę, na wiosnę kazał zwołać wszystkie swoje siły w dolinie rzecznej w zachodniej Gobi, mniejszą armię wysłano w kierunku południowo-zachodnim, żeby przeszła wysokie górskie przełęcze, podczas gdy siły główne ciągnęły bardziej na północny zachód, w kierunku przez Ałtaj, pokonując stale najtrudniejsze przeszkody naturalne: ciężkie maszyny wojenne prowadzono rozebrane na części załadowane na jaki i wielbłądy, nad wąwozami rzek i przepaściami przerzucano drewniane mosty, torowano sobie drogi przez zazwyczaj nieprzeniknione leśne gęstwiny i kamienne rozpadliny.

W lecie Chan stanął nad górnym Irtyszem, przed sobą miał równinę rozciągającą się ku Aralowi, prowadził armię stu pięćdziesięciu tysięcy jeźdźców i dziesięciu tysięcy kitajskich specjalistów do obsługi machin oblężniczych i miotaczy ognia, armia ta ciągnęła teraz przez pustynny step

prosto na silnie umocnione miasto Otrar nad Syr-darią, które obleżone przez część sił Chana padło dopiero po sześciu miesiącach, podczas gdy główna armia pod dowództwem Chana poszła dalej na Bucharę i Samarkandę.

Szach Chorezmu był niepewny i chwiejny w decyzjach, nie polegał zbytnio na swoich siłach złożonych z mieszanych oddziałów i trzymał je rozrzucone w umocnionych miastach, które uważał za nie do zdobycia, gdy tymczasem reszta kraju pozostawiona była bez obrony, szach nie miał też jasnego wyobrażenia, gdzie nastąpi atak Mongołów i przenosił się niespokojnie z miasta do miasta, równocześnie zaś w swoim niebezpiecznym zadufaniu nie doceniał przeciwnika.

Buchara i Samarkanda zaatakowane przez Mongołów padły zastrasząco szybko, murów nie udało się wprowadzić wzięć szturmem mimo usilnych ataków przy pomocy machin oblężniczych i prowadzonych z pogardą śmierci szarż jazdy, ale w miastach tych zarówno wojska, jak i ludność, nie miały zbyt silnej woli obrony i były niezbyt lojalne wobec szacha, turecki garnizon stacjonujący w Bucharze wyrwał się z miasta i pozwolił je zająć Mongołom, którzy zabili albo zabrali ludność w niewolę, plądrowali i palili, podczas gdy w Samarkandzie mieszkańcy wyszli z miasta i zostali zgładzeni, po czym zamknięty w mieście garnizon zmuszony został do poddania się i miasto zniszczono.

Taki sam los spotkał też inne miasta w Chorezmie, Chan postawił im ultimatum: nic nie ulegnie zniszczeniu i życie ludzkie będzie oszczędzone, jeśli poddadzą się dobrowolnie i podporządkują jego władaniu, gdyż taka jest Wola Nieba i jeśli się jej sprzeciwią, skutki będą straszliwe, ale dumne miasta polegały na swojej sile i usiłowały się bronić, wytrzymywały dłuższe lub krótsze oblężenia, w końcu jednak padały jedno po drugim pod naporem niewzruszonych Mongołów i zostawały zrównane z ziemią.

Właśnie ten opór przeciw Woli Nieba i jego własnej mocy czynił z Chana nienawistnego, bezprzykładnego niszczyciela miast, zdobywcę, który szukał chwały w burzeniu miast, łamaniu ich wyzywającej pychy i niszczeniu ich

przepychu, w pozostawianiu po sobie tylko stosów ruin i szkieletów, gdzie trawa mogła rósć na nowo i stada wilków wałęsać się z wyciem.

Bogaty łup wywożono niezliczonymi karawanami na wschód przez pustynne równiny, tą samą drogą pędzono setki tysięcy brańców, mieli oni stać się niewolnikami albo być użyteczni jako rzemieślnicy i specjaliści w nieustannie rozrastającym się państwie mongolskim, ale pałace niszczone, biblioteki palono, ogrody pustoszone, urzędnicy nawadniające rozwalano, tak że miasta tonęły w powodziach albo ulegały takiej suszy, iż piasek pustynny unosił się tułaczami i zasypywał je.

Chan znajdował wszędzie za dużo ludzi, o wiele więcej, niż mógł być to sobie wyobrazić: ludzi, którzy stawiali opór z pogardą śmierci albo uciekali przerażeni, narzekali i biadali w rozsypce, stale przeszkadzali, niesforni i niegodni zaufania, masy ludzkie, z którymi nie bardzo wiedział, co począć, mógł tylko stawiać tych ludzi przed wyborem: albo bezwarunkowo podporządkować się, albo umrzeć, a rychło odkrył, że ci martwi byli o wiele bardziej godni zaufania niż ci, którzy się poddali, ci martwi oznaczali pokój i spokój, i rosnące trawy, ci, co przeżyli, byli żarłocznymi i zdradliwymi, skłonni do buntów i przeciwstawiali się jego mocy na różne sposoby.

Gniew Chana odnosił się szczególnie do szacha Muhammeda, który złamał zawarte układy, okazał się zdradzieckim i nikczemnym, poświęcał miasto po mieście skazane na beznadziejny opór i mimo chępcenia się swoją odwagą uciekał tylko z miejsca na miejsce, nie biorąc udziału w obronie: niedołączony władca i godny pogardy przeciwnik nie zasługiwał na nic innego, jak tylko na to, by go ścigać i zniszczyć.

Chan wyznaczył dwóch najslawniejszych dowódców, którzy z wojskami wyruszyli w pogoń za szachem, ścigali go wzdłuż i wszerz jego własnego państwa, pokonywali wszelki opór na swojej drodze, zdobywali albo okrążali miasta, dopóki szach nie stał się już tylko nieszczęsnym przerażonym zbiegiem, którego przepędzono na jedną z wysp na

Morzu Kaspijskim, gdzie nędznie zginął, samotny i odarty z wszystkiego.

Najstarszy syn szacha, Dżelal ed-Din, wstąpił po nim na tron i rychło dał się poznać jako wybitny wódz, podjął z nową siłą opór przeciw Mongołom, ale wojska jego były wciąż jeszcze złożone ze zbyt przeciwstawnych elementów, jego walki przedłużyły więc tylko wojnę i uczyniły ją bardziej zażartą, tak że wspaniałe miasta Herat, Merw i Balch, jak również słynny buddyjski Bamjan, spotkał taki sam los co wszystkie inne, w trakcie rzezi milionów ludzi.

Na wiosnę wojska Chana ciągnęły w górę Amu-darii przez step w stronę miasta Urgencz, teren był na długich odcinkach rozmoknięty i błotnisty po powodziach, konie zapadały się po brzuchy i marsz odbywał się powoli, bociany wlatywały przed wojskiem, klekocąc czerwonymi dziobami, zdychające ryby miotały się w wyschniętych korytach rzek albo leżały martwe w błocie i smrodzie,

Urgencz położony był nieco na zachód od rzeki, okoliczne stoki czerwieniły się, jak rozlana krew, od maków, które rosły gęstymi łąkami także na wałach i umocnieniach miasta, mury jego były z suszonej gliny, wzmocnione kłódami drzew, kamieni nie było w tej okolicy i ludzie Chana nie mogli z większym skutkiem używać przy oblężeniu katapult, nasycone wodą drewniane bloki były niedostateczną tylko namiastką głazów, zamiast tego musiano zdać się na miotacze ognia, które Kitajczycy ulepszyli, wystrzelując z rur strugi płonącej nafty, której było sporo w okolicy, nafta wylewała się z ziemi w postaci jezior czarnej, kleistej ropy,

Urgencz był prastarym miastem Chorezmijszczyków i najsilniejszą twierdzą na północnym zachodzie, bronili się oni tam z furją, dorównując atakom Mongołów, ale woda nie mogła ugasić płomieni, które trawiły na wylot mury i sprawiały, że nawet ziemia gotowała się od żaru, i które wypierały obrońców krok za krokiem w tył, tak że odrzucaли oni płonące tarcze, wili się na ziemi, by ugasić płonącą

odzież, lub zataczali się oślepieni z wypalonymi oczyma i włosami osmalonymi na głowie,

Mongołowie wtargnęli do miasta, gdzie ogień torował im drogę, i walki toczyły się dalej w ciasnych uliczkach, które zatarasowano przed jeźdźcami, tak że musieli oni zsiadać z koni i bić się wręcz, pieszo, ściierając broń z bronią i natarcie wojowników Chana stało się powolnym i uciążliwym posuwaniem się naprzód: dopiero po kilku dniach nieprzerwanej walki ostatni obrońcy oddali się w niewolę i zdobyte miasto można było oddać na łup ognia, by je oczyścić,

ale władcy i dowodzącemu walką udało się uciec, co bardzo rozjątrzyło Chana, gdyż był to nie kto inny jak syn nieżyjącego szacha i jego następcą, Dżelal ed-Din, człowiek zdolniejszy od swego ojca i dlatego też niebezpieczny, Chan zrezygnował jednak ze ścigania go i wstrzymał działania wojenne na lato, gdyż on i jego Mongołowie cierpieli od upałów na nizinie, ruszył więc w górę do wyżej położonych okolic, gdzie Amu-daria dzieliła się na dwie rzeki, tam Chan wydał rozkaz, by odbyto wielkie łowy, a stada koni wypuszczono na świeże pastwiska, celem tego było, żeby wojownicy zajęli się czym innym niż tylko walkami, nie popadając jednak w rozleniwienie i wygodnictwo,

wysłano jeźdźców, by wybrali i oznaczyli tereny łowów gurtajem czyli punktem końcowym, wybranym daleko o dziesiątki mil, łowy były ogromnymi manewrami, gdzie wojska zachowywały swoje formacje i uzbrojenie, ustawiały się w półksiężyc i rozbijały tymczasowe obozy, dopóki rozkaz Chana o rozpoczęciu łowów huczącymi sygnałami trąb nie rozbrzmiał w okolicy, podwójne szeregi jeźdźców ruszyły wtedy w towarzystwie niesionych przez konie bębnow i wielu ludzi, którzy grali na cymbałach po to, by ciężkie dudnienie i hałaśliwe dźwięki wypędziły zwierzęta z ich kryjówek,

jeźdźcy posuwali się naprzód, dokładnie zachowując zwartość szyku, żadne zwierzę nie mogło się przemknąć, ale broni nie wolno było używać, ani też zabijać zwierząt, należało tylko pędzić je przed siebie, odganiać drzewcami

oszczepów i tarczami, nawet gdyby miało to wojownika kosztować życie, nie wolno mu było użyć broni, byłoby to wykroczeniem przeciw surowym regułom łowów i wielkim bluźnierstwem,

teren był trudny do posuwania się naprzód, z gęstymi zaroślami, stromiznami i skałami, zimnymi potokami, które rwały wartko wśród kamieni, lub wysuszonymi korytami strunieni z wystającymi korzeniami drzew i zdradzieckimi dziurami, nierzadko jakiś wystraszony lub rozdrażniony zwierz rzucał się przed siebie, by przedrzeć się przez łańcuch jeźdźców, rozwścieczony niedźwiedź, wilk z najeżoną szczecią, dzik z groźnymi szablami, tygrys syczący spośród obnażonych zębów, a odpędzały je nie tyle uderzenia, jak dzikie okrzyki, huk bębnow i łoskot cymbałów, zwierzęta kładły uszy po sobie z przykrości i strachu, jakim napawały ich te dźwięki, mur hałasu, przez który nie mogły się przedostać,

nocne ciemności przerywały łowy, wojownicy rozbijali obozowiska i rozpalali ogniska oddalone od siebie o rzut kamieniem, strażę chodziły cały czas między ogniskami, ludzie spali na zmianę i luzowali się w określonych porach, zachowywano ciszę i zwierzęta cisnęły się tak blisko, jak na to pozwalał im strach przed ogniem, ślepia ich płonęły i jarzyły się w ciemności, gdzie poruszały się niespokojnie, wyjąc, pomrukując, warcząc,

i tak toczyły się łowy dzień i noc, przez całe lato, przez cztery miesiące, podczas gdy szeregi jeźdźców posuwały się naprzód wolno, ale niewzruszenie i zamykały zwierzyńnię coraz bardziej okrążającym ruchem, który miał utworzyć koło z określonym punktem końcowym w środku, zwierzęta tłoczyły się coraz bardziej z wszystkich stron i coraz trudniej było je odpędzać, przeczuwały już okrążenie i zamknięcie, niebezpieczeństwo, które zbliżało się coraz to bardziej, polowały i zabijały się nawzajem tylko wtedy, gdy głód stawał się nazbyt dokuczliwy, straciły niemal zupełnie lęk przed sobą nawzajem, jelenie i sarny biegały wśród tygrysów i lampartów, wilki i zające przemykały się wspólnie przez zarośla, obca woń człowieka do-

chodziła do nich stale i wprawiała je w głęboki niepokój, krzyki i hałasy ludzkie potęgowały ich strach,

szeregi jeźdźców gęstniały, podwajały się i bardziej niż kiedykolwiek niemożliwe stawało się wyrwanie z obławy, zwierzęta błąkały się w kręgu czegoś, co już przypominało niewolę i czekały na swój los, jeszcze nie ujarzmione, tylko przygotowane do ostatniej walki, w furii, która miała prowadzić do śmierci albo do wolności,

w końcu osiągnięto gurtaj, okrażenie było dokonane i pętla zaciśnięta do ostatka, wojownicy zatrzymali się i czekali na sygnał Chana, który przez cały czas nagonki jeździł wśród nich, śledził zachowanie dowódców i wojowników z oddalenia albo całkiem z bliska, często zaskakując ich, spostrzegając wszystko, zapamiętując wszystko, milczący i surowy, bez wkraczania w cokolwiek,

to Chan zainaugurował szczytowy punkt łowów, jak każe obyczaj, minął wszystkich innych, udał się samotnie między zwierzęta, z mieczem i łukiem na podorędziu, odszukał kilka najniebezpieczniejszych bestii, niedźwiedzia, który stanął na tylne łapy i obnażył zęby, tygrysa, który prężył się do skoku, potężnego dzika, który ruszył nań do ataku, Chan napiął łuk i posyłał świszczące strzały to przeciw jednemu zwierzęciu, to przeciw drugiemu, obalał je albo ranił, ścigał postrzelone, gdy usiłowały uciec, doganiał je i ścinał mieczem,

a wykazawszy dostatecznie swą odwagę i zręczność, Chan wycofał się z powrotem i pozostawił innym dalsze zabijanie zwierząt, zajął miejsce na pobliskim wzgórzu, wciąż nie zsiadając z konia, by stamtąd obserwować, co się dzieje, jak wojownicy rzucając się przed siebie i zabijając wszystkie zwierzęta na swojej drodze, strzałami z łuków, ciosami mieczy, sztychami włóczni, teraz kiedy ryk i wycie zwierząt mieszały się z krótkimi okrzykami ludzi, bębny i cymbały już milkły,

rozwścieczone bestie atakowały i przewracały myśliwych na ziemię, przewalały się splecione z nimi w śmiertelnej walce, a żaden nie mógł przyjść drugiemu z pomocą, jak to wojownicy robili w prawdziwych bitwach, oznaczałoby

to bowiem hańbę dla zagrożonego, jego cześć wymagała, żeby sam sobie poradził w walce ze zwierzętami, albo dał się zranić, poturbować być może i na śmierć,

dopiero gdy dzień zbliżał się ku końcowi i główną część okrażonych zwierząt zabito, nadszedł czas dla jednego z młodych wnuków, żeby zwrócić się do Chana i prosić go, by darował reszcie zwierząt wolność jako nagrodę za ich dzielną walkę, a gdy Chan wyraził zgodę, łowy odtrąbiono grzmiącymi fanfarami trąb, łup zebrano, załadowano na końskie grzbiety i przewieziono z powrotem do obozu,

potem zebrali się wszyscy wokół Chana, który siedział w otwartym namiocie i dzielił się z nimi wrażeniami z łowów, krytykował pomyłki, ganił niedomogi, wyrażał się z uznaniem o szczególnie mężnych albo zręcznych czynach, oznajmiał w końcu, że przyjemne łowy minęły, letnie upały ustąpiły i mają się rozpocząć prawdziwe boje, pozostało jeszcze dościsnięcie i pojmanie syna szacha i złamanie trwającego wciąż oporu w państwie chorezmijskim,

wojownicy byli w doskonałym humorze wobec perspektyw nowych walk i zwycięstw, z plądrowaniem i najrozmaitszym łupem, czuli się pokrzepieni, a nie zmęczeni przez te długie łowy i czekały na nich stada wypoczętych, dobrze wypasionych koni.

DO CHANA DOTARŁY słuchy o starym mędrca z Kitaju, który miał żyć w górach Ala-szan na granicy z państwem Si-sia, pustelniku, który przebywa w trudno dostępnej grocie i wzbrania się mieć cokolwiek wspólnego ze światem zewnętrznym, uważany jest za nieśmiertelnego i naucza podobno, że moc jest niemocą, a niemoc prawdziwą mocą.

Może to właśnie te słuchy o mocy raczej niż o nieśmiertelności wzbudziły ciekawość Chana; przywołuje do siebie jednego z dowódców minganu i nakazuje mu sprowadzić mędrca z Kitaju do Karakorum, odpowiada swoim życiem za to, żeby starzec dotarł do Chana i żeby nic mu się nie stało po drodze, podróż nie może ani go zmęczyć, ani sprawić mu żadnych przykrości.

Dowódca jedzie z minganem wojowników przez pustynię na południe i dociera do łańcucha górskiego Ala-szan, bez trudności znajduje przewodnika do przybytku słynnego mędrca, ale musi zatrzymać się przed stromą górką ścianą: na górze, gdzieś na półce skalnej żyje starzec w grocie, nigdy nie schodził na dół i ci, którzy chcą go odwiedzić, muszą wspinać się na szczyt z narażeniem życia.

Górska stromizna nie stanowi jednak przeszkody dla ludzi Chana, dziesięciu z nich zaczyna natychmiast wspinać się na górę, podczas gdy reszta oddziału czeka na dole, wspinaczka okazuje się dla tej dziesiątki trudniejsza, niż myśleli, tak że muszą robić czasochłonne obejście, półka skalna na górze okazuje się też bardzo wąska i zdradliwa.

Starzec siedzi u wejścia do groty, z twarzą zwróconą ku niebu i zamkniętymi oczami, zdaje się nie zauważać przybycia gości, albo też tylko nie pozwala im sobie przeszkadzać,

stoją w milczeniu i patrzą na niego, a on nie robi najmniejszego nawet ruchu.

W końcu dowódca zwraca się do niego i powiada: „Pozdrawiamy cię od wielkiego Chana, do którego doszły słuchy o twojej mądrości i który pragnie się z tobą spotkać!”

Starzec nie rusza się ani nie otwiera oczu i nie odpowiada, dopiero po chwili mówi łagodnym, ale słabym głosem: „Słuchy o wielkim Chanie dotarły z kolei aż do mnie, ale ja nie mam nic do powiedzenia i nie pragnę go spotkać”.

Ludzie Chana są wstrząśnięci, lecz opanowują się i dowódca mówi: „Moc Chana jest tak wielka, że nikt nie może niczego mu odmówić, jego życzeniem jest, żebyś udał się z nami do jego miasta Karakorum i udzielił mu części swojej mądrości”.

Starzec odpowiada: „Moc nie jest niczym innym jak tylko niemocą, nikt nie może mnie zmusić do niczego, bo śmierć dla mnie nie istnieje, ale moja nauka mówi mi, żeby nie stawiać niczemu oporu, jest to tylko czcze i zgubne, najchętniej uniknąłbym zastosowania się do życzenia Chana, nie opuszczałem tej groty, odkąd przyszedłem tu bardzo dawno temu, i chcę tu zostać, dopóki nie rozplynie się we wszechświecie”.

Dowódca powiada, że wola Chana jest jedynym prawem świata, i że musi go zabrać z sobą do Karakorum, ale zdaje sobie sprawę, że starzec nie może zejść z góry ani też jechać konno przez pustynię.

Rozważa, czy mogliby znieść go w dół stromizny, ale ryzyko jest zbyt duże, zamiast tego każe więc związać arkany, otula starca w jakąś odzież i mocno owiązuje, a ten nie stawia najmniejszego oporu ani nawet nie otwiera oczu, po czym spuszcza go ostrożnie na dół po pionowej górskiej ścianie, a następnie złażą sami.

Starzec nie umie jeździć konno, nigdy nie siedział na koniu, i muszą postarać się dla niego o lektykę, taką, w jakiej zwykli podróżować znamienici Kitajczycy, przywiązują ją między dwa konie, które eskortuje czterech jeźdźców, po dwóch z każdej strony obu jucznych koni, starca pod-

noszą do lektyki, gdzie zapada się on w jedwabne poduszki pod baldachimem, nie otwarłszy jeszcze oczu, gdy zasuwają draperie dla osłony przed słońcem i kurzem.

Po czym oddział rusza z powrotem przez pustynię, dowódca uważnie wybiera możliwie najlepszą drogę i stara się, by nie jechać ani zbyt szybko, ani zbyt powoli, to pierwsze ze względu na kruchego starca, to drugie ze względu na cierpliwość Chana.

Dowódca zagląda często do lektyki, pyta starca, czy sobie czegoś życzy, ale ten odpowiada tylko lekkim potrząśnięciem głowy, nie otwierając oczu, jest bardzo chudy i drobny, tak wysuszony, że nigdy się nie poci, i nie spożywa nic prócz odrobiny wody i ryżu.

Ma jednak nieoczekiwanie dużą odporność, nigdy nie narzeka na podróż i nie wydaje się zbyt wyczerpany ani zmęczony pustynnym upałem, ani trzęsieniem się lektyki, dowódca mimo to raz po raz wpada w strach, że starzec umarł i zostawił tylko swoje wyschnięte ciało, ponieważ nie porusza się ani nie otwiera oczu, toteż musi przemawiać do niego i uspokaja go dopiero jego odpowiedź.

W końcu nie może się powstrzymać, by nie zapytać starca, czy on nic nie widzi, czy nigdy nie otwiera oczu, i dostaje łagodną odpowiedź: „Widzę wszystko, co trzeba, nie otwierając oczu, rzeczy widzialne przesłaniają tylko i zwozją rozum”.

Dowódcę ogarnia coraz większy strach przed tym dziwnym człowiekiem, przy całej jego kruchości bije od niego siła, siła podobna do tajemnego promieniowania, nie mająca nic wspólnego z siłą fizyczną, łagodność odczuwalna jako coś gęstszego i bardziej nieprzeniknionego niż mur.

Nie natrafiając na najmniejszy opór, dowódca znajduje, że zadanie jest jednym z najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek wykonywał, obawia się, że starzec w jakiś sposób zniknie, zanim dotrą do Karakorum, może zniknie bez śladu jak podmuch wiatru, może pozostawiając po sobie to drobne stare ciało bez życia, suche i lekkie jak gałązka chrustu.

A gdyby temu starcowi zdarzyło się coś, gdyby miał

umrzeć albo zniknąć, to i jego własne życie byłoby stracone.

Chan pała chęcią zobaczenia mądrego Kitajczyka, gdy tylko doniesiono o jego przybyciu, ale opanowuje się i pozwala mu najpierw odpocząć w spokoju przez dzień i noc po podróży, po czym starzec zostaje przyprowadzony przed władcę do jego jurty i zaproszony, by zajął miejsce na srebrnym fotelu tuż obok niego.

Sędziwy Kitajczyk także i teraz nie otwiera oczu, ale mimo to widzi i skłania lekko głowę na znak, że odczuwa obecność Chana, Chan ze swojej strony patrzy przez niemal niewidoczne w głębokich fałdach skóry szparki oczu i w ten sposób obserwują się albo oceniają przez chwilę w milczeniu.

Potem Chan mówi: „Dziękuję ci, że przybyłeś tę daleką drogę tutaj, mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca i nie przyniosła ci szkody, ale twoja sława wielkiej mądrości dotarła do mnie i chciałem cię poznać”.

Starzec: „Twoje życzenie nie pozostawiło mi żadnego wyboru, o Chanie, gdyż moja nauka mówi, by nigdy niczemu się nie sprzeciwiać, ale oświadczyłem od razu, że nie mam ci nic do powiedzenia”.

Chan: „Czy to na tym polega twoja mądrość, by niczemu się nie sprzeciwiać i nie mieć nic do powiedzenia?”

Starzec: „Dobrze zrozumiałeś mnie, o Chanie, sprzeciwianie się czemuś prowadzi tylko do przeciwieństw i konfliktów, nie wynika z tego nic dobrego, a ten, kto się nie sprzeciwia, otacza i przewycięża wszystko, przed czym ustępuje, ponieważ skutkiem braku oporu traci to swoją siłę.

I nie mam też nic do powiedzenia dlatego, że żadnego poglądu nie można przenieść z jednego człowieka na innego, co tylko się powie, zostaje zrozumiane zgodnie z doświadczeniami i rozumem słuchającego i dlatego zawsze źle zrozumiane, dlategożby więc miano mówić, by zostać źle zrozumianym?”

Chan: „Twoje słowa wydają się przenikliwe, ale ja chciałbym lepiej zrozumieć kryjącą się za nimi myśl, czy ze-

chcesz zatem odpowiedzieć na kilka pytań, a najpierw może wymienić twoje imię?”

Starzec: „Nie mam żadnego imienia, gdyż go nie potrzebuję, podobnie jak i ty sam, o Chanie, nie posługujesz się swoim imieniem, a jeśli chodzi o mnie, zapomniałem też już dawno tego imienia, które mogłem posiadać, aż nadto wystarczy, że nazywają mnie mądrym starcem, choć nie wiem, czy słusznie mogę być nazywany starym, i wiem aż nadto dobrze, że nie jestem mądry, co najwyżej uczyniłem pierwszy krok na drodze do poznania”.

Chan: „Twoja nauka wydaje się polegać na wyrzekaniu się wszystkiego, a równocześnie jest to nauka, o której głoszenie nie wydajesz się troszczyć, lecz czy nie jest to sposób wyrzekania się samej tej nauki?”

Starzec: „To jest *tao*, nauka, którą najlepiej głosić, wcale jej nie głosząc, gdyż *tao* można tylko zrozumieć jako porównanie, ale i wtedy ułomnie: *tao* nie jest ani dążeniem, ani sposobem bycia, gdyż dążenie wyklucza osiągnięcie, a nikt nie może osiąść *tao* bez utracenia *tao*”.

Chan: Mów dalej, mów dalej!”

Starzec: „*Tao* jest bowiem przeciwieństwem wszystkiego, co jest czymś określonym, *tao* znosi, wyrównuje, jest siłą, której nie można wykorzystać do niczego, mocą, która okazuje się tylko w nieobecności mocy.

Tao można najlepiej porównać z wodą: nigdy nie wznosi się ona w górę, zawsze zmierza w dół, do możliwie najgłębszego położenia, by znaleźć tam swój spoczynek, swoje nie-działanie, prawdziwą egzystencję podobną do samouniعةstwienia: woda nie stawia oporu, zawsze ustępuje z drogi, ale tylko po to, by otoczyć i wypełnić, można ją podzielić na najmniejsze kropelki, ale nigdy nie przestaje być niezmiennie samą sobą i zbierać się znów w jedno, stanowi zawsze część tej samej niezniszczalnej całości”.

Chan: „Ale woda ma także swój opór, niesie statki wielkie jak domy, potrafi obalić potężne tamy i rwać przed siebie w niszczącym szale: czy odnosi się to także do tego, co nazywasz *tao*?”

Starzec: „Nie, *tao* nie stawia oporu, nie obala niczego,

woda była tylko porównaniem, które się dosyć zbliża do *tao*, ale wcale nie jest tym samym co *tao*".

Chan: „Podobno głośisz, że moc jest bezsilna i niemoc jest prawdziwą mocą, jak mam to rozumieć?”

Starzec: „Nie głośzę tego, gdyż nie głośzę niczego, ale mój rozum mówi mi, że tak jest istotnie: moc jest bezsilna, jeśli postawić ją wobec prawdziwego braku potrzeb, jeśli niczego nie można mnie pozbawić, jeśli niczego nie posiadam i do niczego nie jestem przywiązany, gdyż jak można wtedy okazać swoją moc?”

Chan: „Moc może pozbawić cię wolności i zamknąć cię w lochu!”

Starzec: „Nie ma ani wolności, ani niewoli dla tego, komu i jedno, i drugie jest obojętne”.

Chan: „Moc może cię pozbawić oczu, tak że nie będziesz już nic widział!”

Starzec: „Nie może mi uczynić nic, jeśli jestem niezależny od moich oczu i widzę jaśniej bez nich”.

Chan: „Moc może cię pozbawić jedzenia i picia, tak że umrzesz z głodu i pragnienia!”

Starzec: „Jeśli nie istnieje dla mnie śmierć, nie można mnie też pozbawić życia”.

Chan: „Miałbyś więc być nieśmiertelny i nic nie mogłoby pozbawić cię życia, nawet gdyby ci odcięto głowę i rozdarło ciało na sztuki?”

Starzec: „Dla mnie nie ma różnicy między życiem i śmiercią, moje zrozumienie *tao* zniósło tę różnicę”.

Chan: „Uważasz, że nie możesz umrzeć cieleśnie, lub też że w jakiś sposób żyjesz dalej po śmierci?”

Starzec: „Nie ma żadnej różnicy, są tylko wyobrażenia, przez które *tao* przenika na wylot i które rozprasza jak mgłę, dlatego że moc jest bezsilna, a niemoc jest prawdziwą mocą”.

Chan: „Miałbym ochotę wypróbować to *tao* na tobie i zobaczyć, czy mimo wszystko nie znajdziesz, że istnieje różnica między życiem i śmiercią”.

Równocześnie Chan dobywa swego krótkiego miecza i kieruje ostrą klingę ku szyi starego Kitajczyka, przyciska

ostrze do pofałdowanej skóry, gotów do pchnięcia, ale starcowi nie drgnie nawet powieka, zdaje się on całkiem nieświadom śmiertelnego zagrożenia.

Chan trzyma miecz w tej samej pozycji, skierowany ku gardłu starca, dopóki jego własna ręka nie zaczyna lekko drżeć i Chan wycofuje miecz, wkłada go do pochwy, przekonany o tym, że mógłby zabić mędrca, a ten by nawet nie podniósł powiek.

Rozmowa między Chanem i starym Kitajczykiem toczy się dalej innego dnia, kiedy siedzą razem w jurcie władcy.

Chan: „Masz rację, gdyby wszyscy byli tak obojętni wobec śmierci, nie istniałaby władza, to zatem strach ludzi przed śmiercią czyni władzę możliwą i utrzymuje zwartość państw: czyż więc strach nie jest dobrem, a odwaga złem?”

Starzec: „Odwaga podobnie jak władza jest formą strachu, który zwraca się przeciw innym, ale odwaga i strach nie są same w sobie ani dobre, ani złe, tylko we wzajemnym stosunku do siebie mogą być dobre albo złe, i gdyby nie było jednego z nich, nie byłoby też i drugiego i świat byłby lepszy”.

Chan: „Jeśli śmierć nie znaczy nic, to i nie znaczy też nic zabijanie, zabiłem więcej ludzi niż ktokolwiek inny na świecie, więc to miałyby nie mieć żadnego znaczenia i nie zaliczać mi się ani na dobro, ani na zło?”

Starzec: „Zabijanie świadczy o strachu, o braku prawdziwej odwagi, gdyż ten, kto niczego się nie boi, nie potrzebuje też napawać innych strachem i nie zabija, ma on tego rodzaju odwagę, która pozwala wszystkim żyć, zwycięża przez to, że jest tą pustką, którą inni wypełniają, przez to, że jest tym brakiem działania, które skłania innych do działalności.

Niebo nie życzy nikomu dobrze, Niebo jest obojętne i nie ma żadnej woli, patrzy ono na wszystkie istoty jak na psy ze słomy, to, co rzeczywiście istnieje, istnieje zawsze i nie może uniknąć spełnienia. Niebo jest tylko nieskończoną

puszką, a nie górą, która na próżno usiłuje zapelnąć puste miejsce.

Drogą Nieba jest wyrównywanie, zmniejszanie nadmiaru i uzupełnianie braku, przewycięzanie wyższego przez niższe, uwypuklanie wielkości przez małość, działanie przez niedziałanie, podobnie jak koło, które tylko kręci się w koło, ale pozwala wozowi toczyć się naprzód”.

Chan: „Ale to, na co Niebo pozwala, czyż nie jest jego wolą, a to, co się dzieje, czyż jest czymś innym niż rzeczywistością?”

Starzec: „Niebo jest ciepłiwe i czeka, i to, co się dzieje, okazuje się stale czymś innym, niż się wydaje, to co się wydaje rzeczywiste, kończy się w nierzeczywistości i upada, skuteczne jest to, co nie jest skuteczne, terażniejszości nie można odróżnić od przyszłości”.

Chan: „Uważasz, zdaje się, że każde dążenie jest błędem, że każde dzieło mieści w sobie swoje nieudanie, każda czynność swoje przeciwieństwo, które ją znosi?”

Starzec: „O Chanie, mędrzec jest czynny, nie chcąc tego ani nie dążąc do niczego, działa nie po to, by coś osiągnąć i wypełnić, lecz aby opróżnić i przygotować miejsce, nie włada, nie posiada, wycofuje się i rezygnuje, i przez to uzyskuje znaczenie”.

Chan: „Cóż więc chcesz, żeby robił władca: tylko rezygnował i wyrzekał się, nie wykonywał władzy, nie zachowywał żadnego porządku, nie odpierał swoich wrogów, pozwalał, żeby wszystko się rozpręgło i płynęło jak woda, rozpadło i stało się niczym albo też uległo podbojowi i obcemu panowaniu?”

Starzec: „Władca powinien pozwolić zjawiskom rządzić się swoim wewnętrznym prawem, a nie przymusem wytrącać je z ich równowagi, powinien zdawać się na drzemiące we wszystkim siły i pozwolić im znaleźć swój wyraz, jego wielkość ma polegać na tym, by sam był powściągliwy i pozwolił wszystkiemu dochodzić do głosu, ma on władać przez to, że nie włada, nic więcej nie mam ci do powiedzenia, o Chanie!”

Chan: „Domyślał się, do czego zmierzasz, mądry Kitaj-

czyku, ale nie mogę dobrze ogarnąć następstw tego, gdybym działał tak, jak mówisz, zaczynam jednak rozumieć, co oznacza równowaga, wszystko stanowi stan równoważny, który trudno osiągnąć, a jeszcze trudniej utrzymać.

Nie obawiam się śmierci, podobnie jak ty, choć może w inny sposób, posługiwałem się lękiem przed śmiercią u innych ludzi i na tym lęku zbudowałem moje mocarstwo i moją władzę: czyż jednak lęk przed śmiercią nie będzie istniał, dopóki istnieje chęć życia, tak że sam pęd do życia nadal utrzymywać będzie moje mocarstwo i moją władzę?"

Starzec: „Chęć życia i strach przed śmiercią to jedno i to samo, ten, kto się nie uwolni od chęci życia, nie może też być wolnym od lęku przed śmiercią, mądrość rozpoczyna się od zrozumienia, że życie w swej najgłębszej istocie nie różni się od śmierci, że tak życie, jak i śmierć uchodzi jako ogniwo w tę jedność, którą stanowi *tao*, to, co niepojęte, to, co wiecznie nieuchwytnie”.

Chan: „Chodzą słuchy, mądry mężu, że nie możesz umrzeć, lecz żyć będziesz wiecznie, może to w tym kryje się twoja tajemnica, dlatego nie obawiasz się śmierci i uważasz ją za jedno z życiem?"

Starzec: „O nie, Chanie, od dawna żyję tak, jakbym nie żył, jestem, jak dalece to możliwe, martwy już za życia, i dlatego śmierć ociąga się, ale przyjdzie w końcu, kiedy zatrze się całkiem różnica między życiem a śmiercią: ja sam nie zauważę, kiedy to się stanie, ale to ciało, które jeszcze zamieszkuję, znajdą puste i opuszczone jak larwa, którą zostawił motyl”.

Chan: „Jeśli chodzi o mnie, nie jestem już przywiązany do życia ze względu na siebie samego, ale z troski o państwo i z myślą o moich następcach: gdybym zyskał jeszcze pewną liczbę lat, mógłbym pokonać pozostałych wrogów i stworzyć możliwie najlepszą równowagę”.

Starzec: „Wrogów nie zdołasz nigdy ostatecznie pokonać, trwała równowaga nigdy nie może powstać, dlatego też nigdy nie będziesz mógł żyć dostatecznie długo, nawet gdybyś mógł zdobywać nową młodość raz po raz”.

Chan: „Czy znasz jakąś taką możliwość odnowienia życia, czy też w końcu to właśnie jest twoją najgłębszą tajemnicą?”

Starzec: „O nie, Chanie, nie posiadam żadnej tajemnicy, wszystko jest u mnie otwarte, puste, jak sam widzisz, nie mam ci nic do powiedzenia, jestem niczym, dlatego jest mi równie łatwo umrzeć, jak żyć”.

Chan: „Zaszedłem daleko na mojej drodze, ty zaszedłeś jeszcze dalej na twojej, nie możemy kroczyć po tej samej drodze, nie mamy sobie nic do powiedzenia, strwoniliśmy już wiele słów, ale teraz cię wynagrodzę za to, żeś przybył do mnie, jeśli zechcesz przyjąć jakieś wynagrodzenie, i możesz pozostać tutaj, jeśli pragniesz, albo też udać się z powrotem na swoją górę w taki sam sposób, jak tu przybyłeś”.

Starzec: „Słuchałem *tao* i nie przeciwstawiłem ci się, o Chanie, wszystko stało się tak, jak przepowiedziałem i twoje spełnione życzenie spełzło na niczym, powrócę tak, jak tu przybyłem, nie potrzebuję niczego i nie pragnę niczego, tylko jednego mi tu brakowało, o Chanie: przepaści przed moją grota, przypominającej o głębi, o upadku, który czeka tego, kto nie żyje dostatecznie nisko”.

Obaj mężowie schylają lekko głowę przed sobą i mądry stary Kitajczyk odchodzi.

U STÓP WYSOKICH gór lato było duszne, upał leżał jak brzemień na wszystkich, konie chodziły ze zwieszonymi łbami, ludzie byli stale spragnieni wody, pili za dużo i pocili się obficie, co czyniło ich szybko zmęczonymi i opryskliwymi, duże czarne ptaki wisiały nad nimi w powietrzu, zwisały jakby na nitkach i krążyły w oczekiwaniu na trupy, złe wonie płynęły zewsząd, nawet ogniska śmierdziały, nic nie oczyszczało należycie, ani ogień, ani woda,

skorpiony z podniesionymi żądłami pełzły między kamieniami, węże znikwały jak czarne bicze albo podnosiły się do ataku, tak że musiano je ścinać, szkielety zwierząt i ludzi leżały nieraz tak gęsto na ziemi, że trzeba było przez nie przejeżdżać, kości i czaszki trzeszczały jak suche gałęzie pod końskimi kopytami, wychudzeni jak szkielety ludzie uciekali tak szybko, jak mogli i kryli się, gdzie mogli, czasem wsadzając głowę w niski krzak albo kuląc się za niewielkim głazem, w ucieczce często opadały z nich łańchmany, tak że uciekali dalej niemal nadzy, a ich włosy były równie szare od kurzu jak ich skóra,

kurz zalegał i czekał wszędzie, głęboki jak pokrywa śnieżna, miękki i męczący, wznoszony najmniejszym ruchem, wisiał w powietrzu długo, zanim znów ułożył się na spoczynek, nie wystarczało trzymać ust zamkniętych, kurz wdierał się mimo to do ust i niżej do płuc, czuło się go jak delikatnie łaskoczącą wełnę w piersi, kurz przeszkadzał też często ludziom w jasnym widzeniu i czynił ich skutkiem tego niecierpliwymi, musieli wspinać się na skały, by rozejrzeć się wokoło i dowiedzieć, gdzie się znajdują,

miasta, które niedawno się podobały, podniosły się znów, ludzie byli jak zaślepieni i pełni szaleńczej furii, trze-

ba było dużo zabijania, żeby się z nimi uporać, trupy płożęły kiepsko, odór krwi stawał się obrzydliwie monotony, także dzieci zabijano, żeby rychło znów nie wyrosły na mścicieli, nawet było mogło być krnąbrne i wrogie, musiano je także zabijać, lasy stawały się coraz rzadsze, niebawem pojedyncze stały się cenne drzewa, jako drogowskazy, jako dawcy cienia,

ludzie ciemnieli, jakby spalało ich słońce przez wiele pokoleń, ich włosy stawały się szorstkie jak końskie włosie, a gdy je namaszczone olejem, świeciły granatowo, oczy były dziwnie duże i wypukłe, miękkie jak owoce bez pestek, czarne z czerwoną poświatą albo brązowe jak u psów, ciała ludzkie były wątle jak u niewyrośniętych młodzieńców albo u kobiet, przewiązywali biodra obcisłymi chustami i kołysali nimi tak, że wyglądało to zapraszająco, a przez to odpychająco, kąpali się wszyscy w wodzie szarej od brudu i tłuszczu, chlustali tą wodą na głowę i wypluwali potem, nabrawszy jej wpierv do ust,

szach Chorezmu, Dżelal ed-Din zebrał nowe wojska, ale wycofywał się bez walki, trzeba go było wciąż ścigać coraz dalej na wschód, prócz jazdy miał także wielbłądy i pewną liczbę słońi, często natrafiano na padłe konie, ale nigdy na wielbłądy, czasem natomiast na słońia z przerżniętym gardłem, ale nietkniętym ciałem, wyglądało to niezrozumiale, raz po raz oddziały szacha widocznie wdawały się w walkę między sobą, napotymano poległych, mniejsze oddziały przyłączały się do Chana, dezertarów przyjmowano i pozwalano im iść z wojskiem, dopiero w nocy, gdy spali, podrzynano im gardła,

ale nie wszystkie zwłoki zmarłych, na które natrafiano, należały do poległych, wiele z nich pokrytych było czarnymi plamami i spuchniętych, zaraza rozszerzała się także na ludzi Chana, nagle wymiotowali, siedząc na koniu, albo spadali na ziemię, wili się w mękach, cuchnęli od własnych płynnych odchodów i musiano ich zostawiać, żeby umarli albo wyzdrowieli i dogonili wojsko, kiedy będą mogli,

nie był to dobry kraj, zdradliwy i złośliwy, trudno było

nad nim panować i nie opłacał się trud, samo bogactwo było odstrasżające ze swym węzowym blichtrzem klejnotów i drogocennych metali, z pałacami z czerwonego kamienia, który zdawał się składać z piasku zlepionego z krwią, ludzie leżeli na ziemi i spali, tak że nie można ich było odróżnić od trupów, nagie dzieci jeździły na błotnistoszarych bawołach, które poruszały się wolno i nie dawały się zastraszyć, ciągnęły też małe otwarte wozy o kołach z okrągłych płyt drewna, przeraźliwie skrzypiące w suszy, nad brzegami rzek piętrzyły się stosy bydłęcych odchodów, które też pływały na wodzie, co jednak nie przeszkadzało ludziom kąpać się w niej i napełniać dzbany tuż obok, ten kraj potrzebowałby surowych praw wodnych,

w końcu władca Chorezmu został zmuszony do podjęcia walki, gdy doścignięto go przed rzeką, którą nazywano Indus, według nazwy kraju, a która płynęła między wysokimi skalistymi brzegami wartkim i spienionym nurtem, zadziwiająco świeżą rzeką w tym dusznym kraju, przychodziła z daleka z bardzo wysokich gór, czasem majaczyła ona przez ciepłą mgiełkę, sfałdowano grzebienie skalne spowite w śniegu, nierzeczywiste jak niebiańskie wizje,

wojsko chorezmijskie składało się z pięćdziesięciu tysięcy ludzi i zajęło pozycję między zakrętem rzeki i wzgórzem ze stromą rozpadliną rzeczną za plecami, znajdowało się ono we własnej pułapce i musiało zwyciężyć albo zostać zniszczone, żadna ucieczka nie była możliwa, jeśli Dżelal ed-Din nie mógł polegać na swoich wojownikach, to mógł liczyć na ich strach przed śmiercią,

Chan podszedł z wojskiem pod osłoną nocnych ciemności i atak rozpoczął się o świtanie, oddziały skrzydłowe uderzyły z obu stron, a Chan trzymał się w centrum w tyle ze swoim sztandarem i gwardią w liczbie dziesięciu tysięcy niezwycięzonych jeźdźców, lewe skrzydło zostało zatrzymane przez kontratak Chorezmijczyków, prawemu przeszkadzały w przedarciu się górskie stromizny, Chorezmijczycy mogli pójść do natarcia przeciw słabszemu centrum i Dżelal ed-Din przerąbał sobie drogę aż do sztandaru, by

zewrzeć się z Chanem w bezpośrednim starciu, ale odparła go gwardia, podczas gdy Chan wszczynął okrążające uderzenie z prawej,

jego wojska z niesłychanym wysiłkiem przedostały się przez górskie szczyty, przez strome wąwozy, przez skalne występy, gdzie konie i ludzie spadali w przepaść, ale nie dały się niczemu powstrzymać i dotarły w ciągu dnia przez góry na pole walki z zachowanymi głównymi siłami, by runąć jak lawina na Chorezmijczyków, których równocześnie zaatakował Chan ze swymi dziesięcioma tysiącami jazdy, wojsko Dżelal ed-Dina zostało rozprute na dwie części, a on sam wyparty z niewielkim oddziałem ku rzecznej rozpadlinie, gdzie nie było innego wyboru, jak rzucić się w przepaść albo zginąć z ręki Mongołów,

Dżelal ed-Din w ostatniej chwili spiął konia i zmusił go do skoku w przepaść, jego szaty rozwiały się w powietrzu jak wielki kwiat i rozpostarły się wokół niego, gdy znalazł się w wodzie, uniknął niebezpiecznych skał w rzece i płynąc, przedostał się na drugi brzeg wraz z koniem, tam wsiadł znów na siodło, by uciec do Pendżabu, Chan natomiast zatrzymał konia nad stromizną i patrzył na jego ucieczkę i cokolwiek o tym myślał, nie przeszkadzał jej, nie posyłał w ślad za zbiegiem deszczu strzał i zwlekał z wydaniem rozkazu o jego ściganiu,

Chan doszedł do punktu zwrotnego, uzyskał zwycięstwo, do którego dążył w tych stronach świata, i po zdobyciu miasta Peszawar, nieco wyżej w górę rzeki, zaczął odwrót, miał już może dość podbojów i zwycięstwa jego zaczęły może nabierać dlań gorzkiego smaku, Indie mogły także odstraszać go swoim ogromnym mrowiskiem ludzkim i musem zabijania w o wiele większym zakresie niż przedtem, nie szukał tam też żadnej zemsty, ani żadnej chwały,

może przyczyniły się tu także upał i zmęczenie, czuł już swój wiek i nie zamierzał nigdy powrócić w te strony, może uznał, że jest to zadanie dla jego następców: podbić kraj za Indusem, a może ogarnęło go przemożne uczucie bezkarności świata, świadomość tego, że podbój świata nigdy się

nie skończy, że żadne życie i żadna moc na to nie wystarczy, że zadanie to jest niemożliwe do wykonania i musi być zaniechane.

Gdy Chan wrócił do Samarkandy, spotkało go wszędzie spustoszenie, kanały pozostawiane swemu losowi, woda stała martwa albo wylewała z brzegów, stare błocko zasychało na ziemi, muł uwiązł w gałęziach drzew, zgniłe owoce leżały w zdziczałej trawie, mosty nie były odbudowane, ludzie przedostawali się po ich ruinach pieszo, wlokąc swoje ciężary, albo też przeprawa musiała odbywać się w łodziach lub na promach, które odpychano drągami,

życie z wielkim wahaniem wracało do miasta, nieliczna ludność złożona z rzemieślników i ubogich mieszczan snuła się po ulicach zawalonych rupieciami i zwaliskami murów, ogniska płonęły w osmalonych zakątkach pod gołym niebem, dzieci w łachmanach uciekały jak wystraszone koty i chowały się w zaułkach i ruinach, przez zwalone ściany można było zajrzeć na dziedzińce, gdzie drzewa stały jeszcze zielone wokół wyschniętych fontann, a wykładziny z niebieskiego fajansu świeciły jak kawałki nieba, które spadło na ziemię,

Chan wjechał do miasta, przez spustoszone i opuszczone pałace, zbezczeszczone meczety i medresy, zdziczałe koty z sykiem uciekały przed nim, mnóstwo białych pawi snuło się po salach i krzyczało wyciągając szyje albo też siedziało rzędami, wzleciwszy na koronę osmalonych murów, starzy ludzie zdawali się spać, kiedy tak siedzieli pochyleni nad rozłożonymi *Koranami* dużymi jak okiennice okien i poczerniałymi na kantach od pożaru, złote wieże i błękitne jak niebo kopuły stały odarte z tynków i wałące się, jak gdyby postarzały się o setki lat w ciągu tego krótkiego okresu, a kruki latały między nimi, kracząc ochryple i złowieszczo,

wrota z kunsztownie kutego żelaza leżały odrzucone na bok, wewnętrzne ściany z ażurowego marmuru szczyrzy-

ły się ciemnymi dziurami, stada szczurów ginęły po kątach z gwałtownym szelestem, z przepychu sal nie zostało nic prócz żałosnych śladów okaleczonych zdobień, rozsypanych czerepów,

i na widok całego tego spustoszenia Chana ogarnęło przygnębienie, ponury nastrój, zdał on sobie nagle sprawę, jak bardzo kruche i przemijające jest wszystko, co stworzyli ludzie, państwa i miasta nie były niczym więcej jak tylko pajęczyną, którą zmiatał wiatr, bogactwo i przepych zniknęły równie szybko, jak woda wsiąka w ziemię, także i te potężne masy ludzkie rozpraszały się i nikły jak piasek unoszony wiatrem, jedyną rzeczą trwałą była trawa, która odradzała się coraz to na nowo, a jedyną rzeczą wieczną było Wieczne Błękitne Niebo nad głowami,

potem Chan wyszedł na spotkanie ludzi, którzy się zebrali, wszystkich tych nieszczęśników, którzy przeżyli, bezdomnych i uchodźców, którzy przyszli, żeby rzucić się przed nim na twarz, przerażeni i obdarci z wszystkiego, których życie zależało od jego woli, przynieśli oni z sobą i składali przed nim małe dary, ostatni klejnot, jaki jeszcze mieli, albo kilka pięknych owoców, rzadkiego ptaka, nawet ryby, dopiero co złapane w rzece,

a Chan patrzył życzliwie na te skromne dary, wszedł na jakieś schody i przemawiał do tłumu, tłumaczył ludziom, że ich miasto, podobnie jak wiele innych miast, doznało tego losu skutkiem pychy i głupoty ich władców, podnieśli się oni przeciw Woli Nieba i Chan był tylko narzędziem, któremu dane było zdobyć państwo chorezmijskie, przepędzić szacha i jego zwolenników, przy czym lud musiał cierpieć wraz ze swymi panami, dopóki wszelki opór nie został przełamany,

ale teraz zaczęła się nowa era, wszyscy należą do mocarstwa Chana, a on uważa ich za swoje dzieci, ci, którzy są bez winy, nie muszą się już bać niczego, ich miasta zostaną odbudowane, ich kraj rozkwitnie na nowo, ludzie spośród nich zostaną wybrani do rządzenia w zgodzie ze sprawiedliwym i nienaruszalnym prawem Chana,

na te słowa Chana lud nie wznosi głośnych okrzyków

radości, lecz kołysze się jak trawa na wietrze i cicho szumi załążkiem nadziei,

i Chan wyjechał z Samarkandy, odchodząc z tego miasta na zawsze, i przez najszybszych gońców rozesłał wezwanie na różne strony: na zebranie na kurułtaj, na spotkanie z wszystkimi chanami i örlikami w jego mocarstwie, o miejscu postanowił, gdy jechał na wschód wzdłuż Syr-darii, rzeki, która przeciągnęła pas zieleni przez kraj,

najrozmaitsze ptaki latały tam całymi masami, dzika zwierzyna różnego rodzaju uciekała przed jeźdźcami, trawa rosła miejscami tak wysoko, że sięgała koniom powyżej brzuchów, powietrze było łagodne, ale świeże, szerokość doliny dawała dość miejsca dla dziesiątków tysięcy jurt, dla wojsk i tabunów koni,

i zaczęli się zbierać ze wszystkich kątów świata; wspaniali dowódcy, słynni wojownicy, wierni bojownicy Chana od dawien dawna, jego rodzeni synowie pełni chwały, i krewni, wasalni chanowie nad odległymi szczepami i obszarami nadgranicznymi, posłowie i uczeni z Kitaju i Korei, Tybetu i Kara Kitaju, z Mezopotamii i okolic nad Morzem Czarnym i Kaspijskim, las sztandarów i chorągwi, proporców i chorągiewek, potężne szeregi kibitek, które przeszły płaskowyże i przełęcze, o malowanych na czerwono kołach i wyściełanych jedwabiem jurtach, woły pociągowe miały pozłacane rogi albo też były ozdobione kolorowymi wstążkami, konie błyszcząły jak lustra i nosiły okute srebrem siodła,

wodzowie i dowódcy przybywali w haftowanych złotem strojach, w sobolowych futrach i płaszczach z wilczej skóry, mając pod spodem jedwabne koszule, na szyi i na plecach błyszczące drogie kamienie, a w orszaku mlecznobiałe wielbłądy z Chorasanu, stada na pół dzikich koni z górskich dolin, jak i z Tybetu, koni o czerwonych oczach i futrach zwisających z nich niczym długowłose wlokące się szale, i o szerokich piersiach dyszących w zbyt gęstym powietrzu nizin,

niemniej, gdzie odbywał się kurułtaj wznosił się nad tym mrowiem potężną białą kopułą, podwójne ogniska płonęły

przed wejściem od południa, jak przepisywał rytuał, ale strażnicy pozwalali wchodzić wszystkim, pewni, że nikt nie uprawniony nie ośmieliłby się na to, niezliczone wozy z darami przyprowadzano i wyładowywano przed namiotem, skarby z podbitych krajów, kosztowności i dziwadła, nagich, czarnych jak heban chłopów, skośnookie dziewczęta o smukłych ciałach z Azji południowej, pełne wdzięku Hinduski z perłami w nozdrzach i czerwonym znakiem na czole, dzikie jak kotki młode kobiety z gór, perskie i arabskie księżniczki, i damy dworu o lodowato dumnej postawie i długich, szpiczastych, jaskrawo pomalowanych paznokciach, Kitajki o twarzach jakby rzeźbionych w kości słoniowej, drepące w swych jedwabnych bucikach na stopach przypominających końskie kopytka, kochanki i nałożnice, i niewolnice w nadmiarze dla wszystkich, tancerki i komediantki, i akrobatyczne węzowe istoty, które okręcały się wokół siebie samych tak, że głowa i pośladki zdawały się zamieniać miejscami,

krwawe kawały mięsa opalano na rożnach albo gotowano w kotłach, wina o różnych kolorach pito z lśniących pucharów, Chan siedział na podwyższeniu na złotym tronie strąconego szacha Muhammeda, z jego koroną i berłem u stóp, i za każdym razem, gdy podnosił puchar i pił, wybuchła wokół niego wrzawa radości, ale gdy w końcu skinieniem ręki nakazał ciszę i zaczął mówić, słuchali uważnie i z powagą słów, które wypowiadał,

wspomniał tylko mimochodem, jak o czymś zupełnie oczywistym, o swoich zwycięstwach w zakończonej po trzech latach wojnie wyprawie wojennej, teraz chodziło o to, by zachować owoce zwycięstwa i umocnić panowanie na podbitych obszarach, tylko niezłomne posłuszeństwo jego prawu, *Jasie*, mogło pozwolić im przewyciężyć wszelkie niebezpieczeństwa i pokusy i zachować jedność, nie może już dłużej sam prowadzić wszystkich wojen i wypraw, ale muszą one być prowadzone zgodnie z jego wolą, która jest także Wolą Nieba, i wezwał do wystąpienia swoich synów i chanów, dowódców i posłów, by skierować swe słowa do nich, do każdego z osobna,

jego trzej synowie stali tam ramię przy ramieniu, okazali, dumni, przepelnieni siłą i mocą, tylko najstarszy jeszcze nie przybył, smagły i ponury Dżoczi niepewnego pochodzenia, Gość ze swymi duchowymi rozterkami i upartą dzielnością, mówiono, że jego opóźnienie spowodowały boje daleko na zachodzie, na rosyjskich stepach, i Chana ogarnęła nagle nieufność i rosnący gniew, wziął nieobecność syna za zamierzone nieposłuszeństwo, oświadczył, że wezwanie na kurułtaj obowiązuje bardziej niż jakakolwiek wojna i oznacza rozkaz, który bezwarunkowo musi być wysłuchany, Dżoczi lekkomyślnie utracił życie skutkiem swego niestawiennictwa i Chan wydał rozkaz, żeby go zabito,

w tejże chwili przybył zdyszany goniec z wiadomością, że Dżoczi gwałtownie zachorował i dlatego nie mógł stawić się na czas, Chan odwołał z wahaniem swój rozkaz i wysłał wielce zaufanego örlüka Sübeeteja, by zbadał sprawę,

kurułtaj przeciągał się w czasie, zdawali raporty dowódcy różnych obszarów: örlük Dżebe został wraz z Sübeetejem wysłany najpierw, by złapać uciekającego szacha Muhammada, a następnie kontynuowali podboje wokół Morza Kaspijskiego, przez stepy Aralskie aż po Ukrainę i Krym, gdzie połączył się z nimi Dżoczi, by wtargnąć w głąb Rosji, ze wschodu Mukali z Kitaju przysłał zastępcę, a sam zginął w tym samym czasie w prowadzonych tam walkach, Chan wyznaczył na następcę jego syna Boru, by prowadził on dalej wojnę z państwem Kin na południe od Huangho, przyszły raporty o buncie i zdradzie w państwie Si-sia z poparciem południowego państwa Snug, co wskazywało, że obecność Chana na wschodzie stawała się coraz bardziej nieodzowna i że zbliża się czas, by wyruszyć z powrotem do Karakorum,

przed zakończeniem kurułtaju przybył jednak wreszcie Dżoczi w towarzystwie Sübeeteja, utracony syn ukląkł przed Chanem, który podniósł go i zamknął w ramionach, szczerze zadowolony z jego ukorzenia się i z przyprowadzonego przezeń daru: stu tysięcy wspaniałych koni z Kipcaku, patrzył teraz na zebranych wszystkich swoich sy-

nów: Dżoczi stał obok niepokonanego twardego zdobywcy Czaadaja i spokojnego i dobrodusznego Ögödeja z jego słabością do wina i kobiet, jasny i śmiały Toluj, zwany Zwierciadłem, mimo iż był najmłodszy, zajmował miejsce naczelnego dowódcy wojska,

i Chan zwrócił się do nich, żeby rozdzielić między nich zadania, rozważywszy wpierw długo i dokładnie swój wybór: Dżoczi miał wrócić na zachód, by toczyć dalej walki nad Wołgą, Czaadaj miał ruszyć na południe, by utrzymać w ryzach nowo zdobyte królestwo Chorezm, Ögödej miał odpowiadać za pustynne równiny zachodniej Gobi i za porządek wśród tamtejszych wojowniczych szczepów,

wraz z tym powzięte zostały najważniejsze decyzje i największy kurułtaj Chana zakończono dalszymi uroczystościami, po czym wszyscy rozjechali się i udali się w drogę w różne strony świata.

Chan zwlekał jednak w dziwny sposób z powrotem do Karakorum, zatrzymał się w lecie w górskich dolinach, a w zimie urządził łowy w lasach, wyglądało na to, jakby nie miał ochoty wrócić i zabrać się do czekających go tam zadań, dalszej organizacji mocarstwa Mongołów i wypraw wojennych, które trzeba było niebawem przeprowadzić przeciw Tangutom i obu państwom Kitaju.

Tymczasem szukał rad i poparcia uczonych mężów, zagłębiał się w różne problemy w inny sposób niż poprzednio, stał się żądny wnikliwych rozmów i dyskusji, oddawał się refleksjom i próbom ogarnięcia całokształtu całego tego gwałtownego procesu stawania się, ale troszczył się też ze swoją zwykłą efektywnością o rozbudowę dróg dla karawan, o służbę gońców i posłańców i rozwijający się coraz bardziej transport łupów wojennych, haraczy i towarów handlowych na wschód ku Karakorum, ku sercu mongolskiego mocarstwa.

Może ta powolna podróż oznaczała dla Chana idealne życie nomady, i ociągał się z powrotem jak najdłużej, w jakimś przeczuciu, że jest to dla niego ostatnia zwłoka, za-

nim zaczęła się na nowo zadania władcy, kiedy przybędzie już do domu, tak, zanim zacznie odczuwać poważnie starzenie się i nim radość zmysłów ulegnie zaciemnieniu, oświadczył się coraz wstrzemięźliwszy w korzystaniu z przyjemności, opierał się pokusie upajających trunków, a spośród wszystkich pięknych kobiet trzymał się głównie wiezionej z sobą faworyty, Merkitki Kulan, która miała własną, wspaniałą urządzoną jurkę na kibitce ciągniętej przez dziesięć par młecznobiałych wołów.

Na spotkanie w drodze powrotnej wyszli mu wnukowie Hüleü i Kubilaj, mieli oni wtedy jedenaście, czy też dziesięć lat — ojcem ich był Toluj — i stali najwyżej w łaskach u Chana, który uważał ich za szczególnie rozbudzonych i pojętnych, lubił też bardzo rozmawiać z nimi i uczył ich strzelania z łuku i gier wojennych, opowiadał o swoich przeżyciach i zmieniał się przy nich z surowego Chana w dobrodusznego dziadka.

W czasie ostatnich zimowych łowów zdarzyło się Chanowi coś, co wywarło na nim głębokie wrażenie, przy ściganiu dzika wysforował się przed innymi i nagle zwierzę zaatakowało go, koń spłoszył się i zrzucił jeźdźcę, Chan upadł na ziemię bez żadnej broni w zasięgu ręki i wpatrywał się w dzika, bezradny i wydany na łup, czekał tylko, aż rozszalałe zwierzę ruszy na niego, by go przebić swymi szablami, ale nic się nie stało, bestia stanęła jak skamieniała, jakby poskromiona spojrzeniem Chana albo zaskoczona jego położeniem, aż wreszcie, z chrapnięciem, dzik potrząsnął głową i wycofał się z powrotem w gąszcze.

Chan ujrzał w tym znak z Nieba, przypomnienie o tym, że czas jego dobiega końca, choć jeszcze całkiem się nie skończył, dano mu krótką zwłokę, by zabezpieczył swoje mocarstwo i przygotował się na własny koniec.

JAZDA, JAZDA, jazda po równinach, tętent kopyt końskich o ziemię, szelest zeszcłej trawy, skrzypienie piasku, zgrzyt odłamków kamieni, trzeszczenie solnych skorup, duszący kurz, słońce, które pali, słońce, które wędruje powoli na niebie, podczas gdy jazda trwa jakby na tym samym miejscu, jazda, która nie prowadzi donikąd, wichur, który stoi spokojnie, dzień, który wolno obraca się od swego początku do końca niczym tusza zwierzęca obracana nad ogniem,

zmiana koni, raz po raz zmiana koni, zdyszany, spocony wierzchowiec wymieniony na innego, kilka krótkich postojów, skrawek suszonego mięsa do zucia albo masa serowa do rozbełtania w wodzie, jeśli jest woda, i stale woda smakuje moczem, a w ustach gorzki smak piółunu, jazda, jazda, dzień po dniu, noce są zapadaniem w ołowiany sen, jakby zapadnięciem się w bezdenną głębinę albo też dalszą jazdę w wyobraźni, jazdę, która nie może ustać, nie może się skończyć,

jazda, jazda, ziemia przesuwa się poniżej, ukośnie do przodu, niewyraźnie majaczy przez kurz, oczy niemal zamknięte, to jakby jazda wśród chmur, jazda w przestworzu, ziemia nie jest już ziemią, tylko przestrzenią, odległością, a odległość niczym innym jak mijającym czasem, jazda dzień po dniu, od pełni do nowiu, do pełni znowu, i znów, i znów, czas, który można mierzyć tylko przestrzenią, a przestrzeń czasem, jedno równie nierzeczywiste jak drugie,

i zmęczenie, pragnienie, głód, udręka wysiłku ci podobni do cieni towarzysze, którzy stale są wśród nich, tak zwykli, że niemal niezauważalni, ołowiany ciężar w członkach,

swędzenie skóry, gryzący pot, sam ból kośćca pod ciałem, wola, która pędzi ich niewzruszenie, nie jak świszczący bat nad nimi, lecz jak ostroga w nich samych, każda myśl zartata, jedynie siła, która zmusza ich i pędzi naprzód, jazda, jazda,

a po nieskończoności równin spiętrzone góry, czarne, czerwone jak mięso, albo z białymi pasmami piasku lub śniegu, przełęcz z lodowatymi wiatrami, pot, który zamarza i zmienia odzież w pancerze z lodu, szkielety padłych stad jak resztki lasu, ludzie i konie krwawią z nosów i zlizują krew, żeby jej nie utracić, konie kulejące na poranionych pęcinach zostawiają ślady krwi na śniegu, kopyta owija się paskami skóry z padłych koni,

i noc, kiedy ludzie i konie zagrzebują się w śniegu, jedni obok drugich, ranek, kiedy otwierają żyły w końskich udach i piją gorącą krew, pragnienie smaku soli, które gaszą, roztapiając w ustach śnieg, pijący krew, zjadacz śniegu, potem pokonują góry i jadą dalej, jadą, jadą, jadą:

to jeden ze stale powtarzających się snów Chana.

I ten sen opowiada Chan swemu zaufanemu szamanowi Kōkōczū:

„Jadę szybko równiną, siedzę pochylony do przodu nad koniem i widzę, jak ziemia przesuwa się obok, śpieszy mi się i droga jest długa, inni jeźdźcy jadą obok mnie i za mną, słyszę ich i czuję, nie widząc ich.

Wtem spada jakaś głowa, tak jakby została odrąbana w pędzie, toczy się przede mną i wpada pod kopyta mego konia, zdążyłem tylko zobaczyć, że jest niezwykle duża, co najmniej dwa razy tak wielka jak zwykła głowa, i krew płynie z przeciętego gardła, język porusza się w otwartych ustach, a oczy wyłazą z oczodołów.

Patrzę na jeźdźca obok mnie: to on stracił głowę, ale gdzie dalej, jakby niczego nie zauważył, krew bucha z odciętej szyi i spływa długimi strugami w dół na ciało, a także niżej na konia.

Oglądam się na pozostałych jeźdźców i wszyscy oni są

bez głów, ścięci podczas jazdy, niepostrzeżenie, przez niewidzialnego wroga, bez krzyku i bez dźwięku, i wszyscy jadą dalej, tak jakby nic się nie stało, obok mnie, za mną.

Podnoszę rękę i macam, czy moja własna głowa siedzi na swoim miejscu, to, co stało się innym, nie stało się jednak mnie, ale nie mogę oprzeć się pytaniu, jak ta jazda się skończy: czy będę walczył sam, kiedy dotrzemy do celu, czy też ci jeźdźcy bez głowy będą walczyć?

Kiedy patrzę przed siebie, widzę, że równina nie jest już pusta jak przedtem, jedziemy między stosami kamieni i resztkami murów osmalonych od ognia, między drzewami, które stoją nie tylko bezlistne jak zimą, ale całkiem nagie, białe, podobne do szkieletów.

Dojeżdżamy do rzeki, gdzie woda jest czarna i martwa, przejeżdżamy przez nią i woda sięga koniom ledwie po brzuchy, ale mimo to idą one mozolnie, jak gdyby brodziły w błocie, i w tej czarnej wodzie podnoszą krwawe wiry.

Wkrótce potem zbliżamy się do miasta, moi bezgłowi wojownicy towarzyszą mi wciąż i krew przestała już płynąć z ich odciętych szyj, zakrzepła w ciemny strup niemal tak, jakby rany pociągnięto smołą.

Miasto wygląda na coraz większe i potężniejsze, dobrze umocnione murami i wieżami, nie wiem, czy jest ono wrogie, czy nie, czy mamy je zdobyć, czy też tylko wjechać do niego, nie widać żadnych ludzi, bramy stoją otworem i nikt nas nie zatrzymuje,

Widocznie miasto jest już zdobyte i nikt z mieszkańców nie przeżył jego upadku, nie mogło to jednak stać się zbyt dawno, bo wszędzie na ulicach leżą trupy, miejscami spiętrzone na sobie, zebrane w zasy pyłu sięgające pod mury domów.

Z dźwiękiem jakby głucho brzęczących instrumentów strunowych wzlatują roje dużych much tam, kędy przejeżdżam, i czuję słodkawy, wstrętny odór gnijącego ciała, nie pogrzebanych trupów: to strona śmierci, do której trudno przywyknąć.

Spostrzegam teraz, że jadę sam przez miasto, moi wojownicy bez głów niepostrzeżenie mnie opuścili, zostali z ty-

łu, ale ja nie myślę o tym, żeby zawrócić, koń kroczy z trudnością między ciałami albo po nich, tratuje klatki piersiowe, które z trzaskiem pękają, brzuchy, które zapadają się, wydają jęklliwe albo syczące dźwięki.

Napotykam stada sępów i kruków, które żerują na trupach, wyszarpują dziobami wnętrzności i ochłapy mięsa, są zbyt ciężkie, by wzlecieć, lub zbyt żarłoczne, by zostawić łup, trzepocą skrzydłami, skaczą koło konia, skrzecząc, w odorze, który staje się coraz bardziej wstrętny.

W końcu docieram do jakiegoś ogrodu i wjeżdżam przez wysoką pozłacaną bramę, zapach róż miesza się z odorem trupów, czerwone róże rosną tam gęstymi krzakami, ale gdy przyjrzę im się bliżej, ociekają krwią i roją się od robaków.

Za ogrodem wznosi się pałac, który musiał być pałacem samego władcy, marmurowe łuki drzwi unoszą się jak ażurowe koronki, kopuły błyszczą niebiesko-zielono jak pierś pawia, smukłe wieże sięgają w górę jak białe członki.

Ale właśnie gdy się zbliżam, wznosi się ciężkim lotem chmura czarnych ptaków, sępów i kruków, które fruują wokół pałacu, siadają wszędzie, na kopułach, blankach, wieżach, zaciemniają jego przepych, otulają go w ciemne ptasie ciała.

I z jednej z bram wytacza się ku mnie głowa, ogromniejsza niż jakakolwiek głowa ludzka, głowa świętego władcy, jeszcze żywa, śmiejąca się demonicznie i szczerząca białe zęby.

Wtedy budzę się ze snu, dziwnie wstrząśnięty, i czuję odór trupi jak zły posmak w ustach”.

„Co sądzisz o tym śnie — zwraca się Chan do szamana — czy widzisz w nim jakąś tajną treść, czy też uważasz, że powstał on tylko od soków żołądkowych, które podeszły mi do ust?”

Szaman odpowiada: „Może sen ten pochodzi z Nieba, o Chanie, i powinien być rozumiany jako znak!”

Chan: „Mów dalej, szamanie, powiedz, co o tym myślisz!”

Szaman: „Może to znak, że równowaga została zakłócona między żywymi i umarłymi, dlatego znajdujesz się otoczony przez wojowników z odciętymi głowami, dlatego miasto

jest pełne śmierdzących trupów, dlatego krew jest w rzece, w rózach, dlatego wszędzie panują ścierwniki”.

Chan: „W takim razie to by znaczyło, że zabiłem zbyt wielu, że Niebo odwróciło swoją wolę od całej tej śmierci, czy tak mniemasz, szamanie?”

Szaman: „Nikt nie sądzi, że się boisz umarłych, o Chanie, nikt nie sądzi, że umarli mają jakąś moc nad tobą, i twój sen nie zawiera też w sobie lęku, lecz znużenie, niechęć, odór śmierci!”

Chan: „Ale cóż innego mam robić z ludźmi niż zabijając ich skoro jest ich zbyt wielu i nie chcą mi się podporządkować, nie chcą stosować się do moich praw, i cóż innego mam zrobić z moim własnym ludem niż prowadzić wojny, pozwolić im zabijać i być zabijanymi, jakżeż mogliby oni inaczej żyć z sobą i słuchać praw w moim mocarstwie?”

Szaman: „Idziesz za Wolą Nieba, o Chanie, żyjących nie może być za dużo, trzeba zachować równowagę i twój sen mówi właśnie o tej równowadze”.

Chan: „Czy to wszystko, co możesz mi powiedzieć, szamanie?”

Szaman: „To wszystko, o Chanie, ale na pewno jest to warte zastanowienia”.

Chan jest w terenie, na łąkach, las jest rzadki, o wysokich prostych pniach, światło słoneczne rzuca plamiste cienie na ziemię, która wygląda niczym dywan o kunsztownym wzorze.

Chan wysforował się przed innymi myśliwych, ściąga konia i rozgląda się wokoło, podoba mu się ten las, który jest otwarty, a mimo to otacza człowieka, nie zamykając go dusząco w sobie.

W tejże chwili widzi jakieś zwierzę wyskakujące spod drzew, jest ono jasnoczerwonego koloru, przypomina najbardziej jelenia, ale jest wielkie jak koń, a na czole ma jeden jedyny róg, sterczący prosto jak oszczep.

To zwierzę, jakiego Chan nigdy jeszcze nie widział, i waha się on przez chwilę, czy je ścigać, ale potem ochota sta-

je się zbyt silna, musi powalić to dziwne zwierzę, aby móc przyjrzeć mu się z bliska.

Popędza konia i rzuca się za zwierzęciem, nietrudno jest je ścigać, gdy tak przemyka między pniami drzew, czerwono migocące jak rozwiana chorągiew, nie zdaje się zauważać, że jest ścigane, i nie przyspiesza biegu.

Ale Chan odkrywa, że mimo to nie może go doścignąć, choćby nie wiadomo jak wytężał konia, odległość pozostaje taka sama, jego zapał potęguje się jeszcze bardziej, jest mocno zdecydowany doścignąć to zwierzę.

Wtedy zwierzę zaczyna zmieniać kierunek, jakby chcąc go zmylić, coraz bardziej zbacza, aż on zaczyna je ścigać w przeciwnym kierunku niż przedtem, co więcej, zauważa, że zwierzę prowadzi go w kółko szerokim łukiem i robi tak dalej, jakby dla igraszki krążyło wokół niego.

Chan usiłuje przeciąć mu drogę na przełaj, ale choć zwierzę nie zmienia swojej trasy, nie może się do niego zbliżyć, zwierzę kpi sobie z niego i Chan zdaje sobie sprawę, że nie zdoła go doścignąć, ale mimo to nie może się przemóc, by przerwać pościg.

Wtem zdarza się dziwna rzecz, zwierzę staje, odwraca się i czeka na niego z głową wysoko podniesioną i swym jednym rogiem strzelającym w górę niczym błyszczący oszczep.

Chan ściąga konia i zbliża się powoli, dokładnie obserwując zwierzę, które ze swej strony, nie odwracając się, patrzy na niego dużymi, ciemnymi oczami i silnym promiennym wzrokiem.

Nie okazuje wcale lęku ani też żadnego znaku wrogości czy gotowości do ataku, Chan jest tym tak zdziwiony, że i jemu nie przychodzi do głowy, by chwycić za łuk albo oszczep.

Kiedy podjechał już całkiem blisko, staje, a zwierzę jakby go witało skinieniem głowy, po czym mówi głosem nie przypominającym ludzkiego, lecz mimo to wyraźnym i pięknie brzmiącym:

„Czemu ścigasz mnie, o Chanie, nic ci nie zrobiłem i nie masz powodu, by usiłować mnie zabić, sądzisz, że twoja moc

pozwała ci zabijać wszystko i wszystkich, jak to uznasz za stosowne, ale mylisz się!”.

Zwierzę patrzy na Chana jak równe mu, dumnie, lecz nie wyzywająco, i Chan nie znajduje w tym nic dziwnego, że mu odpowiada:

„Nigdy nie widziałem nic podobnego do ciebie, czy jesteś zwierzęciem czy też boską istotą, czyś pozwoliło mi ścigać siebie, żeby powiedzieć mi coś ważnego, mów, a ja cię nie zabiję!”

Zwierzę: „Nie możesz mnie zabić, tak dalece nie sięga twoja moc, nie możesz też mnie nigdy doścignąć, kiedy uciekałem, pokazałem ci to już, a co mam ci do powiedzenia, dowiesz się teraz, pojawiając się pod wielu różnymi nazwami, ale żadna z nich nie jest naprawdę moja: ja jestem tym, co nieosiągalne!”

Chan: Ścigałem to, co nieosiągalne, przez całe moje życie i osiągałem to raz po raz, czyniąc je przez to osiągalnym, skąd mogę wiedzieć, że rzeczywiście jesteś tym, co nieosiągalne, a nie tylko uważasz się za takie albo nazywasz się nim?”

Zwierzę: „O Chanie, nie masz dość mocy ani dość siły, ani też dość czasu, żeby mnie osiągnąć, czyś jeszcze nie zrozumiał, że świat jest zbyt wielki, a życie zbyt różnorodne, by twoja wola samotnie mogła rządzić wszystkim i osiągnąć wszystko?”

Chan wpada nagle w gniew z powodu tej mowy, chwytając łuk i wypuszcza strzałę w stronę zwierzęcia, ale mimo niewielkiej odległości strzała zbacza z toru i nie trafia, próbuje nową strzałę, ale i ta nie trafia.

Zwierzę: „Widzisz, że to wszystko na próżno, twoje strzały nie mogą mnie dosięgnąć, zawróć teraz i nie ścigaj mnie więcej, o Chanie, bo jeśli będziesz to czynił dalej, doprowadzi to tylko do twego własnego nieszczęścia!”

Zwierzę skłania lekko głową jakby na pożegnanie, odwraca się szybkim ruchem i znika nagle między drzewami, Chan patrzy za nim jeszcze długo, kiedy już znikło, nim zacznie jechać z powrotem.

Chan znajduje się na szczycie wysokiej skały, może tam stać albo siedzieć, ale nie może postawić kroku, jest to tylko ciasna platforma albo tron wyniesiony wysoko w górę.

Kiedy patrzy w dół, skała robi wrażenie zupełnie pionowej z wszystkich stron, wznosi się niby kolumna w przestworzu, wysoko ponad światem położonym niżej, wygląda na to, że nie ma żadnej możliwości, by stamtąd zejść, pytanie, jak on się tam dostał, nie nasuwa się nigdy.

Dziwne, że nie czuje żadnego zawrotu głowy wobec tej przepaści, jest mu tak, jakby już się przyzwyczaił do swojej sytuacji tam na górze, i nie sprawia mu też ona szczególnej przykrości, prócz tego, że w sposób absurdalny ogranicza jego swobodę ruchów.

Może rozglądać się hen, daleko po świecie, w oddali różni inne szczyty i wierzchołki skał, ale żaden nie wydaje mu się porównywalny z jego własnym.

Równiny i pustynne obszary rozciągają się daleko jak okiem sięgnąć, tu i ówdzie pasmo lasu, jeziora jak wstawione kawałki szkła i rzeki jak wąskie wijące się nitki, białe niemal jak mleko.

Po rozległych przestrzeniach ciągną z wolna ciemne plamy jak cienie chmur, mogą to być stada albo rzesze ludzkie, może gromady jeźdźców, nie znaczą prawie nic z tej odległości, przesuwiają się tak wolno, że odkrycie ich ruchu zajmuje całe dni.

Całkiem w dali świat ginie w jasnej poświacie, która musi przychodzić od morza, wielkiej wody otaczającej wszystko swoim bezkresem: tak rozumie to Chan.

Nad sobą ma on krążące słońce, chmury, które gromadzą się lub rozpraszają, ogromny przestwór, który równocześnie jest Wiecznym Błękitnym Niebem.

Obojętne, w którą stronę się zwróci, widzi wszędzie ten sam świat, a ten zdaje się mieć kształt sklepionej w górę czaszy, pośrodku której siedzi on, wywyższony na swojej skale.

Siedzi tam tak i patrzy na świat pod sobą, jak gdyby rządząc nad nim, ale nie mogąc się w nic wtrącić, nie mogąc

dotknąć niczego prócz skały, na której siedzi, nie mogąc się poruszać.

Znajduje się w środku wszystkiego, a równocześnie poza tym, w swym wywyższeniu, jest to moc, która jest zarazem niemocą, i nagle ogarnia go gwałtowny gniew, podrywa się w furii, ale musi zaraz się opanować, żeby utrzymać się na szczycie skały.

Może tylko szaleć, bić wokół siebie, wołać w pustkę, i nawet echo mu nie odpowiada, dopóki nagle nie zda sobie sprawy z śmieszności swego położenia, nie usiądzie i nie roześmieje się cicho do siebie samego.

W końcu przychodzi mu na myśl, że siedzi dobrze, tak jak tam siedzi, jak na to wszystko wskazuje, nikt nie może prawdopodobnie dostać się do niego na górę i zagrozić jego stanowisku, świat ma pod sobą, a zresztą z nim też nie można nic począć.

Chan zwraca uwagę na formacje chmur, które przypominają miasta w przestworzu, białe, wysoko spiętrzone, z potężnie sklepionymi kopułami i zębatymi blankami murów, miasta takie, jakie wiele razy oglądał na ziemi, niczym opuszczone w dół masy chmur.

Wprawia go to jednak w dziwny niepokój, są one zbyt podobne do miast i trudno na nie patrzeć tylko jak na formy chmur, wyglądają jak zbudowane na niewidzialnych tarasach albo jak wzniesione w powietrze, wiszące albo bujające tam, mimo że sprawiają wrażenie wielkiego ciężaru.

Chan spostrzega, że jadąc na swym koniu, szybko zbliża się do jednego z tych miast w przestworzu, a może ono także zdąży w jego stronę jak pędzona wiatrem chmura, i zdaje mu się, że już wjeżdża pod nie jak przez gigantyczną, ciemno szczerzącą się bramę.

Może teraz wyraźnie odczuć niesłychany ciężar kamiennych mas miasta nad sobą, i słyszy, jak dudni ono, niczym burza albo lawina w górach, druzgocącym ciężkim hukiem, który przetacza się równocześnie w przeciwną stronę.

Chan odczuwa wahanie, ulega niemal myśli, by zawró-

cić i odjechać stamtąd, od tej groźby w przestworzu, ale jego wola buntuje się przeciw temu, ogarnia go hardy gniew: Chan nie pozwala się przestraszyć niczemu i nie cofa się nigdy!

W tejże samej chwili miasto w przestworzu zaczyna się rozpadać z potężnym łoskotem, pękają zygzakowate szczeliny jak czarne błyskawice, otwierają się głębokie rozpadliny i miasto zaczyna się walić.

Bloki jakby uformowane ze skamieniałego śniegu zwalają się na siebie i toczą się po ziemi w różnych kierunkach, wieże i mury chwieją się i rozsypują, dziwnie powoli, jakby wahając się do końca, kopuły otwierają się i rozłupują na różne części, stoją tam szczerząc się, zanim runą.

Ziemia trzęsie się gwałtownie i też pęka, długie szczeliny jak od uderzenia bicza otwierają się przed Chanem, obok niego, wokół niego, i płoszą konie, zmuszając go do gwałtownych skoków, by tych pułapek uniknąć.

Potem miasto w przestworzu wali się wokoło, dopóki wszystko się nie uspokoi i tylko nad ruinami unosi się biała mgiełka, nie widać żadnej istoty, ani żywej, ani umarłej, jest tak, jakby miasto to było opuszczone, niezamieszkałe.

I Chan znajduje się nietknięty pośrodku tego zniszczenia, nawet koń go nie zrzucił, nie trafił go najmniejszy odłamek, i jedzie między stosami zwalonych białych marmurów, które przypominają bardziej skamieniały śnieg niż kamienie.

Czuje lodowaty chłód, który ciągnie od tych białych ruin, i zaczyna trząść się z zimna, na szczęście ma z sobą podwójny płaszcz futrzany i wkłada go na siebie.

Chan budzi się, czując dziwny, kołyszący ruch, jest w swojej jurcie, swoim namiocie władcy, ale nikt nie przychodzi na jego wołanie, myśli, że to pewnie potężny wiatr sprawia, że jurta rusza się w taki sposób, choć może nie, jurte załadowano na kibitkę, która widocznie toczy się po nierównym terenie.

Wstaje, żeby zobaczyć, gdzie się znajduje, i słyszy teraz dźwięk jak gdyby chlupocącej wody, myśli, że musi to być

dźwięk, który powstaje, kiedy kibitka jedzie przez wysoką trawę, o ile nie chodzi tu o przeprawę przez rzekę.

Kiedy wychodzi z jurty na zewnątrz, staje istotnie na platformie kibitki i ma przed sobą dwa rzędy białych wołów, po dziesięć zwierząt w każdym, jak przystoi władcy, który podróżuje.

Ale woły te nie kroczą przez wysoką trawę, lecz brodzą przez wodę, choć zieloną niemal tak jak trawa, są zanurzone w tej wodzie po grzbiety, a kibitka pływa na wodzie, tak że widać tylko górną część kół.

I kiedy podnosi wzrok, zamiast kołyszących się traw widzi szeroką przestrzeń wodną, która rozciąga się falami, bezkresnie we wszystkich kierunkach.

Chan jest zaskoczony, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, co ogląda: musi znajdować się na morzu, na bezkresnej wodzie poza stałym lądem świata, sam z morzem i Wiecznym Błękitnym Niebem.

Sam, gdyż oprócz niego nie ma tam nikogo, ani w jurcie, ani na platformie, nikt nie pogania wołów i poruszają się one tylko tak, jak woda je porusza, kołysząc je powolnym rytmem, gdy tak płyną na morzu i może już są martwe.

Nie widać nic oprócz wody, wody, bezkresnych wodnych przestrzeni z falami, które idą jedna za drugą bez przerwy, falami, które obmywają grzbiety wołów i boki kibitki.

A w górze Niebo, które jednoczy się z morzem z wszystkich stron, niczym ogromna kopuła namiotu, Wieczne Błękitne Niebo, jedyne, do którego może się teraz zwrócić, zawołać ze swej samotności, żeby spróbować zgłębić jego wolę.

Ale choć się wyteża z całej mocy, nie znajduje żadnej odpowiedzi, jest tak, jakby tego Nieba nie było tam w górze nad morzem, tylko pustka, nieobecność, i zdaje sobie sprawę, zawiedziony, że Niebo nie ma żadnej woli, jest tylko przeziębła, bezkresną nicością, i jest on pozostawiony sam sobie, gdy tak kołysze się ze swoją jurta i wozem-namiotem na morzu.

Chan widzi dwa ogromne węże, które owijają się wokół

siebie, ciała ich są grube niemal jak ciało dorosłego mężczyzny, pokryte wzorem w kratę jak tkanina, gładkie, a mimo to suche tak, że zgrzytają trąc o siebie, są niczym miśturki ze stalowej łuski i zwijają swoje pierścieniowate muskuły.

Węże te są tak ciasno splecione, że wyglądają jak jeden zawikłany węzeł, choć nie zazębiają się o siebie, ale ślizgają z wolna, przesuwiają, zmieniają, przy czym nie można dobrze rozróżnić, które sploty należą do jednego ciała, a które do drugiego.

Poruszają się faliście, wyginają się jak potężne korzenie drzew, skręcają się wokół siebie, to znów prostują na poły, płaskie głowy przyciśnięte do ziemi jak gdyby chowają się przed przeciwnikiem, podczas gdy małe oczy błyszczą czarno, a rozdwojone języki igrają.

Nagle jeden z węży robi szybki ruch głową i kąsa drugiego w ogon, chwytą go i zaczyna połykać, pracuje gwałtownie muskułami szyi i wydziela błyszczący śluz jako środek poślizgowy, paszcza rozdziawia mu się ogromnie, oczy wyłazą z oczodołów z wytężenia.

Drugi wąż odpowiada zaraz takim samym ruchem i zaczyna z kolei połykać ogon przeciwnika, ciała rozwijają się do połowy z ciasno zaciśniętego węzła, węże są teraz głównie zajęte wzajemnym połykaniem jak największej części siebie, wdzierają się coraz bardziej, ogarniają coraz to więcej ze swoich ciał, jakby w nieujarzmionym dążeniu, by przejść w siebie nawzajem, stopić się w jednego węża.

Chan ma te węże tuż przed sobą i nie może oderwać od nich wzroku, napawają go one gwałtownym wstrętem, a równocześnie pełną zgrozy chęcią zobaczenia, co z tego wyniknie, węże wydają się pędzone fanatyczną wolą zniszczenia siebie, pracują niestrudzenie nad połykaniem siebie, w nienawistnej żarłoczności, która musi skończyć się samounicestwieniem.

Niebawem leżą tam niemal nieruchome, jeszcze tylko pojedyncze ruchy przełykania przechodzą przez nie jak drgawki, wślizgują się coraz bardziej w siebie nawzajem,

ciała ich spoczywają odprężone albo naprężają się na nowo, choć węże nie mogą już dobrze uchwycić się nawzajem, wybałuszone oczy przestały błyszczeć, na pół zgasły.

Węże nie mogą widocznie wydostać się z siebie, połączyły się w jedno jedyne ciało, które tworzy zamknięty krąg, jeszcze słabo wypukły i wijący się, powolnie umierający w w tym wzajemnym wypełnieniu, każda połowa obu ciał połączona przez drugą, z paszczami zamkniętymi pośrodku jakby jakąś zapinką.

Dopiero długo potem Chan może uwolnić się od niesamowitego wrażenia, jakie sprawiają te węże z ich natrętną, a jednak dziwnie ukrytą treścią.

Chan stwierdza, że leży wyciągnięty na płaskowyżu, na tym płaskowyżu, który zna tak dobrze i na którym jeździł niezliczone razy, ale teraz niebo opuściło się nad ziemię tak nisko, że on nie może się podnieść i iść, nawet zgięty w pół, ani nawet na czworakach, a co dopiero jechać konno, gdyby miał konia.

Przestwór nad nim nie jest błękitnym niebem ani też nisko leżącą chmurą, przypomina bardziej inną równinę, bardziej wklęsłą, ze śladami wypalanej trawy i smugami piasku, który jednak nie odrywa się i nie spada, lecz trzyma się na wypukłym terenie.

Kiedy Chan rozgląda się wokoło, widzi, że z wszystkich stron jest jednakowo, taki sam niski odstęp między dolną i górną równiną, taki sam ciasny otwór w dali ku horyzontowi, który prześwieca wąskim pasemkiem jasnego światła dziennego.

Chan może się poruszać tylko czołgając się, pełznąc mozolnie jak wąż albo jaszczurka, albo pływackimi ruchami jak ryba albo jakieś wodne zwierzę, idzie to wolno i jest bardzo uciążliwe, posunąwszy się przed siebie o mały kawałek, musi odpocząć i wysapać się.

Nie może też dostrzec, by dokądś dochodził, wszędzie wygląda jednakowo, nie wie, jaki kierunek ma obrać, co może się znajdować przed nim albo za nim, może poruszać się

w kółko i powraca na to samo miejsce, nic o tym nie wiedząc.

Nawet gdyby znał swój cel i mógł się nań nastawić, zabrakłoby to i tak wiele zanimby go osiągnął, może całe życie, a może trzeba by było na to wielu żywotów.

Równie dobrze może zostać tu, gdzie jest, wyciągnąć się i odpocząć, oddychać, jak się da, i czekać.

Ale na co ma czekać, co mogłoby się zdarzyć tam, w tej ciasnej przestrzeni między równinami, które zwracają się ku sobie; czy może zbliżą się one jeszcze bardziej ku sobie i z wolna zmiażdżą go między sobą, albo przeciwnie, otworzą się coraz bardziej, tak że będzie mógł wstać, poruszać się wyprostowany, lub w końcu znaleźć konia i odjechać?

Dla Chana staje się jednak czymś nie do wytrzymania, że trzeba leżeć tak spokojnie, nawet gdy obróci się twarzą do ziemi i stara się zapomnieć o tej drugiej ziemi tuż nad nim.

Musi więc dalej czołgać się naprzód, bez względu na to, jak to jest mozolne i beznadziejne, wtedy jest przynajmniej czymś zajęty i pochłonięty samym wysiłkiem, nie myśli ustawicznie o swoim położeniu.

Gdy Chan budzi się, w jurcie jest duszno jak przed burzą i Chan oddycha z ogromnym trudem, podrywa się i wybiega z namiotu pod gołe niebo, by znaleźć powietrze, przestrzeń, wyzwolenie.

JEDEN Z NAJWYŻSZYCH szamanów staje przed Chanem i skarży się:

„Czy wiesz, o Chanie, że twoi i wszystkich prawdziwych Mongołów szamani coraz bardziej zaczynają być odsuwani przez obce nauki i różnego rodzaju herezje?

My, szamani, jesteśmy wszak jedynymi, którzy utrzymują związek z Wiecznym Błękitnym Niebem, żadni kapłani ani zwiastuni jakiegokolwiek rodzaju nie mogą nas zastąpić, jedynie nasze objawienia i tłumaczenia znaków mogą wyjaśnić Wolę Nieba i dać prawidłowy kierunek wszelkiemu działaniu.

A teraz jeszcze ci obcy ze swymi błędnymi naukami występują z coraz to bezczelniejszymi pretensjami i przewracają ludziom w głowie, nas szamanów piętnują jako oszustów właśnie ci oszuści, nazywają nasze od niepamiętnych czasów odziedziczone umiejętności i obserwacje zabobonem albo czarodziejstwem, przychodzą ze swoimi własnymi bogami, którzy są tylko martwymi bałwanami, a nie potężnymi, niewidzialnymi, wszędzie obecnymi duchami, które my zaklinamy i ujarzmiamy.

Łamią oni starą wiarę Mongołów i usiłują zastąpić ją nowymi, obcymi pomysłami, z tym skutkiem, że wielu waha się i nie wie, czego się trzymać, niektórzy wręcz śmieją się z naszych zaklęć i objawień, wyrażają się o nich drwiąco i negatywnie.

Nie może to tak trwać dalej, gdyż podstawy życia Mongołów chwieją się, taka niewiara i wypaczenie grozi naszemu ludowi w jego najgłębszej istocie, otwiera drogę zepsuciu i zwyrodnieniu, wobec czego ty, o Chanie, nie możesz pozostać obojętny, twoje wystąpienie przeciw obcym błęd-

nym naukom jest konieczne i w imieniu wszystkich szamanów wzywam cię, żebyś kazał wydalić albo stracić ich głosicieli.

Wysłuchawszy długiego przemówienia szamana Chan odpowiada tylko: „Moja obietnica dla obcych przybyszów o możliwości swobodnego praktykowania przez nich swoich religij obowiązuje nadal, i wyrzucam ci szamanie, że sam nie trwasz dostatecznie mocno w wierze w Wieczne Błękitne Niebo i w siłę jego woli!”

Napięcie między różnymi religiami w Karakorum staje się coraz silniejsze, dążą one coraz to gwałtowniej do tego, by przewyciężyć i wyprzeć siebie nawzajem, i dlatego wznoszą coraz więcej i coraz to bardziej okazałych kościołów, meczetów i świątyń.

Chrześcijanie, którzy przybyli z zachodu, są nieliczni, ale zamożni, budują katedrę o wielu wieżycach podobnych do skierowanych w górę sopli lodu, a wewnątrz niej króluje posąg Madonny, wypełniający całą ścianę ołtarza, rzeźbiony i malowany na złoto i niebiański błękit, z pulchnym Bożym Dzieciątkiem, które sięga po pełną pierś matczyną.

Nestorianie, wschodni chrześcijanie wygnani z Bizancjum, zadowolają się wciąż jeszcze dwoma drewnianymi kościołkami, dość niepozornymi, szarzielonymi od wiatru i pogody, z jedną wieżyczką ozdobioną skromnym krzyżem drewnianym, nawet nie pozłoconym, tylko powleczonym czarną smołą, ale w zamian za to przychodzących do tych kościółków witają wewnątrz srebrne krzyże wielkości człowieka, które błyszczą olśniewająco w świetle lamp.

Wyznawcy islamu mają swoje meczety, brzuchate i białoszare jak gniazda szerszeni, obok każdego wystrzela w niebo minaret jak boskie ramię, białe i krągłe, z miejscem dla ogłaszającego modlitwy na samym szczycie pod królującym nad wszystkim złotym półksiężycem.

Buddyści wzniesli wiele świątyń w stylu katajskim, z wygiętymi ku górze dachami podobnymi do kres u kapeluszy, z pomalowanymi na czerwono kolumnami i olbrzymi-

mi, rzeźbionymi kwiatami lotosu, czerwonymi albo białymi, a ich posągi Buddy są wycięte z potężnych pni cedrowych, pozłacane, stoją wyprostowane z niezgłębionym uśmiechem na pełnej jak księżyc twarzy, sięgają aż do pułapu albo leżą wyciągnięte, śpiąc z opuszczonymi powiekami.

Lamowie z Tybetu zbudowali swoje świątynie na występkach skalnych, urządzili je na górskich zboczach, modlitewne młynki obracają się tam z trzepocącymi paskami papieru, topione masło płonie w czarkach dzień i noc, roi się tam jak w ulu od kapłanów, wysokich, jakby chodzili na szczudłach, w długich do stóp kaftanach i wydłużonych jak tutki kapeluszach usianych magicznymi znakami, węzami i smokami, zębatymi promiennymi słońcami, półksiężycami i konstelacjami gwiazd.

Świątynie taoistów są ozdobione wiecznymi kwiatami i postaciami ludzkimi w naturalnej wielkości, czuwającymi przodkami, mądrymi nauczycielami i sprawiedliwymi władcami.

To współzawodnictwo między religiami przez wielkość i przepych budowli nie wystarcza jednak, muszą one nie tylko zaćmić się nawzajem, ale także przekrzyczeć, używać głosów albo dźwięków na swoją służbę.

Zachodni chrześcijanie mają najgłośniejsze dzwony kościelne, huczące dzwony spiżowe, które dzwonią i dzwięczą w takt albo nie w takt ze sobą, o zachodzie słońca, o świtanu i wiele razy w ciągu dnia, dudnieniem i hukiem sprawiając, że powietrze wibruje, przedmioty się trzęsą, ptaki wzbijają się niespokojnie w powietrze.

Nestorianie mają dzwony o dźwięku bardziej kruchym, który nie może mierzyć się z ciężkimi spiżowymi dźwiękami, brzmią one bardziej jak dudnienie o blachę albo uderzanie młotkiem o żelazo, ale posiłkują się w zamian za to bębnami, coraz to szybszym i szybszym waleniem w bębny, wirującym hałasem, który łączy ich z szamanami i przemawia do umysłów Mongołów.

Wyznawcy islamu wyrzekają się innych efektów dźwiękowych prócz głosu ludzkiego, z ich wysokich minaretów

rankiem i wieczorem wznosi się głos muezzina ogłaszającego modlitwy, przenikliwy i przeciągły, głoszący we własnej mowie proroka, że Allah jest wielki i że nie ma innego boga prócz Allacha.

Buddyści walą w wiszące brązowe gongi, które wydają grzmiący huk, jakby chodziło o zbudzenie samych śpiących bogów, a lamowie dmą w głuche brązowe rogi albo w różki myśliwskie, wydające długie ryczące dźwięki, które wznoszą się i opadają, skręcają jak gdyby w spiralę i przenikają przez wszystkie przeszkody, podczas gdy taoiści zamiast tego wykorzystują ciszę, by mówiła za siebie, albo też pozwalają małym srebrnym dzwoneczkom dzwonić na wietrze i wydawać kruchy, srebrzysty dźwięk.

Chan wydalil wszystkie te kościoły i świątynie na peryferie miasta, tylko gdy przypadkiem przejeżdża tamtędy, musi oglądać owe pełne próżności budowle i wystawiać się na dudnienie, dzwonienie i wołanie z nich dochodzące, ale nawet na odległość uszy jego są czułe jak uszy tygrysa na te zakłócające spokój dźwięki, widzi też, że wieże i wieżyczki przewyższają pod względem wysokości jego jurte władcy, odczuwa niezadowolenie z tego powodu, ale mimo to powstrzymuje się od wkraczania.

Potem zwraca uwagę, że te budowle na cześć rozmaitych bogów często bywają wystawione na uderzenia piorunów, raz po raz zdarza się, że któraś z nich zajmuje się pożarem, a najwyższy meczet ulega zniszczeniu od pioruna, złoty półksiężyc topi się i spada na ziemię jak kolczasta bryłka, pęka od góry do dołu.

Wtedy Chan stwierdza, że obcy dom boży ściągnął na siebie gniew Nieba, bogowie zamieszkujący te świątynie są bezsilni wobec Tengriego i nie mogą ochronić swoich własnych siedzib, Chan nakazuje zatem usunięcie wysokich wież i wieżyczek, a ponieważ dzwonienie w dzwony i inne różne dźwięki i wołania mogą przeszkadzać życzliwym duchom powietrza i przyciągać do siebie duchy złośliwe, także te wszystkie dźwięki zostają zabronione i ma panować cisza.

Kapłani i inni reprezentanci różnych kierunków wiary stają przed Chanem i oskarżają się nawzajem.

Wyznawcy islamu mówią: „O Chanie, musisz wystąpić przeciw tym niewiernym psom, którzy wypierają się Allacha, jedyne go prawdziwego boga, zwiastowanego przez jego proroka Mahometa, przeciw tym psom, którzy ze swymi fałszywymi bogami i błędnymi naukami zaprzeczają i bluźnią wszystkiemu, co święte!

Najgorsi z nich to chrześcijanie z zachodu, którzy czczą trzech różnych bogów i mają czelność twierdzić, że stanowią oni jednego jedyne go Boga, poza tym czczą oni też kobietę, o której twierdzą, że była matką Boga, co jest bezprzykładną czelnością, łamią oni także wszystkie boskie przykazania, modlą się w sposób naganny, nie umywając wpierw rąk, oddają się obżarstwu i pijaństwu, przeciwstawiają się wszelkiemu braterstwu między ludźmi i skazują wszystkich z wyjątkiem bardzo nielicznych na wieczne płonienie w ogniu piekielnym.

Żadne bałwochwalstwo nie jest groźniejsze niż to chrześcijaństwo, i z tego względu zaklinamy cię, o Chanie, żebyś zakazał go w twoim państwie, wypędził chrześcijan, albo jeszcze lepiej, wytępił ich ogniem i mieczem!”

Zachodni chrześcijanie mówią: „To własne potomstwo diabła przemówiło, islam jest najbardziej zgubną z wszystkich herezji, ich Allach jest fałszywym bogiem, który powstał, by stawić czoła Chrystusowi i sprowadzać na pokuszenie maluczkich, ci, którzy idą za nim, z pewnością płonąć będą w ogniu piekielnym na wieki!

Ty, o Chanie, powinienesz wiedzieć to równie dobrze jak my, walczyłeś i pokonałeś ich zwolenników, razem powinniśmy iść przeciw temu zawsze równie niebezpiecznemu i wojownicznemu islamowi, żeby wreszcie położyć kres jego mocy i wytępić jego zwolenników z powierzchni ziemi!

My, chrześcijanie, podnosimy się przede wszystkim przeciw temu, że islamowi pozwolono szerzyć zepsucie tu w Karakorum, w centrum twego państwa, o Chanie, i żądamy, żebyś natychmiast zniszczył te skorpiony i żmije, albo w każdym razie pozwolił nam podjąć z nimi walkę!”

Nestorianie mówią: „To my jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami, a nie te męty z krajów zachodnich z ich rozpustnymi papieżami, nagromadzonymi bogactwami i bezmierną żądzą władzy, lecz my, którzy czcimy świętego Nestoriusza, założyciela jedynego prawdziwego chrześcijaństwa, i my potępiamy tych fałszywych chrześcijan, którzy wyparli się nas i wypędzili nas z krajów zachodnich tu, w te okolice, gdzie uzyskaliśmy azyl w twoim państwie, o Chanie.

Nie cofają się oni dziś przed rabunkiem, by wdzierać się między nas i prowadzić dalsze prześladowania, tacy chrześcijanie są jeszcze bardziej odrażający jak wyznawcy islamu, ale ci też nie mają tu czego szukać między nami, podczas gdy my, nestorianie, od dawną umieliśmy żyć w zgodzie z szamanami Mongołów, tak jak to nakazuje twoje prawo, o Chanie, i zwracamy się do ciebie, żebyś wypędził te obce herezje z Karakorum i z całego twego wschodniego mocarstwa!”

Szamani mówią: „Wszystkie te obce nauki, które wtargnęły tu z krańców świata są nie do przyjęcia, także i ta nestoriańska nauka, która wmawia sobie, że jest w zgodzie z nami, gdyż jest to tylko od biedy zamaskowane chrześcijaństwo, i to, czym ona żyje, ukradła od nas, szamanów, ale tak jak każda inna z obcych nauk, tak też i ona nie ma prawdziwego wglądu w istotę rzeczy, ich objawienia i tłumaczenia znaków są tylko żalonym naśladownictwem, to jedynie my, szamani, umiemy tłumaczyć sny i wizje, jakie nam się objawiają, i przewidywać, co się stanie, zapobiegać nieszczęściom, łagodzić duchy, utrzymywać związek z Wiecznym Błękitnym Niebem.

O Chanie, zamiast pozwolić im przebywać tutaj między nami ze swoim zepsuciem, byłoby lepiej, gdyby wszystkie te nauki przepędzono stąd, z twego mocarstwa, po to, żeby Niebo nie rozgniewało się i nie odwróciło od nas swojej przychylności!”

Następnie występują także buddyści, lamowie, taoiści i jeszcze inni rzecznicy różnych kierunków religijnych i oskarżają się nawzajem, potępiają przede wszystkim swo-

ich najbliższych rywali, ale ponadto także wszelkie inne nauki prócz własnej, religie wschodu i zachodu są jednak zbyt sobie obce, aby miały zwalczać się z prawdziwą fanatyczną namiętnością, traktują one siebie wzajemnie jako tak odległe i nonsensowne formy zabobonu i herezji, że uważają się nawzajem za stosunkowo mało niebezpieczne, podobnie jak też nie atakują szczególnie niewinnego i nieoświeconego pogaństwa. .

Gdy Chan, cierpliwie i nie bez błysku ironicznego zainteresowania w szparkach oczu, nasłuchiwał się dostatecznie długo tych różnych skarg, zabrał głos:

„Wy, reprezentanci różnych nauk zachodu i wschodu, wszyscy jesteście sobie wrody i tylko moja moc przeszkadza wam w rzuceniu się na siebie, przepędzeniu i unicestwieniu się nawzajem, walczyście o waszych bogów i o wasze nauki, nie chcecie przyznać sobie wzajemnie jakichkolwiek racji, a nawet samego prawa do istnienia, uważacie tylko samych siebie za nieomylnych i głoszących jedyną prawdę.

Ale ja powiadam wam, że jakiś sens i prawda istnieją wszędzie, nie są one zastrzeżone dla jednej tylko nauki, i dlatego nie pozwolę, by jedną naukę stawiać przed innymi, by jakiegoś boga uważano za coś więcej niż innych, gdyż nad nimi wszystkimi stoi niepojęty najwyższy bóg, bez względu na to, jakie imię mu nadajemy i jakie sobie o nim robimy wyobrażenie: sam jako Mongoł idę za rozumem mego ludu i czczę Tengriego, Niebo, ale nie narzucam mojej wiary nikomu innemu.

A teraz nakazuję wam wszystkim utrzymywać pokój między sobą i pozwalać każdemu mieć swoją wiarę i czcic tego boga, którego chce, tak jest napisane w moim prawie, w *Jasie*, i ten, kto podniesie się przeciw temu nakazowi, zostanie wygnany z mego mocarstwa albo straci życie!”

Po mowie Chana nastaje głębokie milczenie, wzburzeni i rozgniewani zaczynają kapłani i głosiciele religii oddalać się z namiotu władcy, poskromieni, ale rzucający na siebie nienawistne spojżenia.

Do Chana w Karakorum przybywa poseł z pismem od papieża z Rzymu, i po przetłumaczeniu pisma zostaje ono odczytane Chanowi, który słucha z coraz bardziej mroczną miną.

Pismo nazywa go cesarzem Mongołów, po czym papież powiadamia, kim jest sam: duchową głową chrześcijaństwa, zastępcą na ziemi jedyne go prawdziwego Boga w Trójcy Świętej.

Doszło do naszej wiadomości, mówi pismo, że twoje hordy spustoszyły ciężko wiele krajów chrześcijańskich i spowodowały wielkie straty w ludziach, ciężką żałobę i przygnębienie oraz poważne zniszczenie mienia: ostrzegamy cię teraz najsurowiej przed kontynuowaniem takich niecznych czynów i rozlewem krwi chrześcijańskiej, co spada na twoją głowę jako wieczne przekleństwo, z którego jedynie my możemy cię uwolnić.

Z drugiej strony doszło do naszej wiadomości, że przez swoje wyprawy wojenne zadałeś wielkie straty bezbożnym wyznawcom islamu, że pokonałeś większość ich najpotężniejszych władców i zająłeś ich królestwa, i że przy tym darowałeś wolność wyznawania swej wiary wielu chrześcijanom, i że dotarłeś w pobliże świętego miasta Jeruzalem, które niestety wciąż jeszcze znajduje się w rękach wrogów chrześcijaństwa.

Dla twego własnego dobra, cesarzu Mongołów, wydaje się nam pożądane, byś zawarł z nami przymierze, stanął po stronie chrześcijaństwa i wspólnie z naszymi niezrównanymi wojskami zadał islamowi ostateczną klęskę, oswobodził święte miasto Jeruzalem i na zawsze położył kres zagrożeniu ze strony jego wrogów.

Jest także naszą wysoką wolą, byś ty, cesarzu Mongołów, stawiał się u nas w Rzymie, w Stolicy Apostolskiej, by ucałować pierścień na naszej dłoni i przypieczętować przymierze między nami, abyś przez to stał się wyznawcą jedyne go prawdziwego Boga, który posiada całą moc w niebie i na ziemi od zarania czasów do ich końca.

Przemawiamy w imieniu jedyne go prawdziwego Boga i napominamy cię, cesarzu Mongołów: pomyśl, że wieczne

zbawienie twojej duszy, jak również przyszły stan twego mocarstwa zależy od twojej decyzji!

Ledwie odczytano pismo, Chan każe wprowadzić posła, człowiek ten w długiej czarnej sutannie pada przerażony na kolana przed władcą, który pyta go, czy zna treść pisma.

Gdy poseł odpowiada potakująco, Chan mówi ze złowieszczym opanowaniem: „I mimo to ważysz się przedstawić mi je, sądzisz, że można bezkarnie obrażać Chana, czy twoja i twego papieża ignorancja jest aż tak wielka?”

Blade wargi posła drżą, nie śmie on nic odpowiedzieć, Chan przygląda mu się przez zmrużone powieki, w końcu powiada: „Właściwie powinno cię to kosztować życie, ale mam ochotę odpowiedzieć na pismo twego papieża i sprostować jego błędy, potem możesz zabrać odpowiedź z powrotem do niego”.

Chan daje znak skrybie i po chwili namysłu zaczyna dyktować odpowiedź do papieża w Rzymie:

Ty, Papieżu, zwracasz się do mnie, choć zdaje się, nie wiesz dobrze, kim jestem, panuję jednak nad większą częścią świata, także nad wieloma chrześcijanami, nie robiąc różnicy między nimi a innymi, podczas gdy twoje chrześcijaństwo obejmuje tylko kilka krajów daleko na zachodzie, zbyt mało ważnych, by kusiły do podbojów.

Nie wypada ci dlatego, jako słabszemu, proponować mi przymierza dla zwalczania wyznawców islamu, nie jestem jakimś wrogiem wiary islamskiej, ochraniam ją tak jak wszystkie inne religie, i twoje wielkie słowa o twym jedynym wszechmocnym Bogu wydają mi się puste, skoro z jego poparciem nie mogłeś nawet zdobyć od jego wrogów miasta, które nazywasz świętym.

Moim bogiem jest Tengri, Wieczne Błękitne Niebo, i jeśli nie jest to bóg jedyny, to jednak jest on potężniejszy od twego i innych bogów na świecie, stawiam go najwyżej dlatego, że jest bogiem moim i mego ludu, ale nie odrzucam z tego powodu innych bogów, lecz pozwalam na ich kult w moim mocarstwie.

Nie przystoi ci, Papieżu, wyrzucać mi cokolwiek albo

wypowiadać groźby, ani też żądać mojego stawiennictwa w twoim mieście w celu pocałowania twego pierścienia i stania się wyznawcą twego Boga.

Zamiast tego możesz sam przybyć tu, do mego miasta Karakorum, i oddać się wraz z chrześcijaństwem pod moją opiekę, tak aby pokój mógł zapanować między naszymi krajami i każdemu bogu zostało przyznane to, co mu się należy!

Gdy odpowiedź Chana jest gotowa, rozkazuje on, by napisano ją w wielu językach, w tym także we własnym języku papieża, i opatrzono pieczęcią Chana, po to, by natychmiast wysłać ją z powrotem przez czekającego posła.

Obok spraw religijnych Chan musi także zająć się rosnącymi problemami kupiectwa i zwraca się z tym do Je-lü Cz'u-c'aja:

„Jak wiesz, uczony Kitajczyku, obyczajem u Mongołów było zawsze brać i dawać, a nie prowadzić handel wymienny i targi, a już tym bardziej kupować i sprzedawać, coś takiego uważano za rzecz poniżającą, oznakę chciwości i małoduszności.

Zawsze było niepisany prawem wśród Mongołów, i to wysoce poważanym, rabowanie i plądrowanie, gdy tylko byli dostatecznie silni i dostatecznie chytry, by się im to udało, czynili to jednakże wyłącznie wobec wrogów albo obcych, z którymi nie byli w przymierzu.

Ale to prawo brania miało jako swoje następstwo obowiązek dawania, i ten, co wziął dużo, winny był dać dużo, takie zawsze było niepisane prawo, i ten, kto przyjął dary, dawał w odpłacie jeszcze wartościowsze dary, w ten sposób mienie nie gromadziło się w nadmiarze, nie pozostawało u tego czy owego, ale wędrowało między ludźmi, i tak było u Mongołów zamiast handlowania.

Ty sam, mądry Je-lü Cz'u-c'aju, jesteś bardzo za handlem i to różnego rodzaju handlem, jako Kitajczyk, którym wciąż jeszcze jesteś, i chcę teraz usłyszeć, co masz do powiedzenia w tej sprawie, czy powinno się pozwolić na to,

aby handel szerzył się w mongolskim mocarstwie i zaczął wypierać dawne obyczaje?”

Je-lii Cz'u-c'aj odpowiada: „O Chanie, obyczaj mongolski był znakomity, dopóki szczep był mały i wędrowny, ale teraz w ogromnym mocarstwie staje się coraz bardziej niemożliwy do stosowania, dlatego że robocze zadania i umiejętności rozdzielone są na nieporównanie więcej rąk i na bardzo odległe miejsca, tak że różne produkty muszą być przewożone między rozmaitymi miejscami i rozdzielane według różnych potrzeb.

W ramach szczepu każda rodzina wytwarzała to, czego najbardziej potrzebowała, a inne rzeczy mogła sobie zapewnić rabując albo plądrując, albo też może przyjmując je w darze, ale teraz w wielkim mocarstwie trzeba, aby każdy mógł sobie nabyć to, co potrzebuje, przez wymianę, stał się zatem konieczny wysoko rozwinięty handel wymienny.

Taki handel wymienny musi być uprawiany przez specjalnych pośredników, kupców albo przekupni, muszą oni zapewnić sobie godziwy zarobek za swoją pracę, a przez to rośnie cena towaru w czasie, gdy wędruje on od wytwórcy do nabywcy, ceny tej nie można zawsze dokładnie ustalić i dlatego staje się ona przedmiotem targu, walki między interesami sprzedającego i kupującego.

Ale ponieważ towary często trudno jest wymienić bezpośrednio jedne za drugie, potrzebna jest, jako ogniwo pośrednie, regulowana wartość, i dlatego wśród Kitajczyków od dawna używa się czegoś, co nazywa się pieniędzmi albo monetą, sam je widziałeś, o Chanie, te monety z metalu, nacechowane wizerunkami i napisami, twoi wojownicy często wchodzili w ich posiadanie i nierzadko z pogardą odrzucali je jako bezwartościowe, ale robili tak z głupoty, gdyż monety te wcale nie były bezwartościowe, albowiem można je było wymienić na towary”.

Chan: „Twoje wyjaśnienie jest biegłe i dobrze tłumaczy, o co tu chodzi, radziłybyś mi zatem nie tylko pozwalać na dalsze uprawianie handlu wymiennego, ale zachęcać do niego i pozwalać mu się rozwijać, co więcej, wręcz doradzasz

wprowadzenie tych monet, o których mówisz i które widziałem w użyciu zarówno wśród Kitajczyków, jak i Chozmijczyków, monet ze złota lub srebra albo z jakiegoś skromniejszego metalu, którym ludzie ci przypisywali tak wysoką wartość, że nierzadko oddawali za nie życie.

Ale gdybym dziś był gotów do zrobienia tego kroku, skąd miałyby pochodzić te monety i jak można by ustalić ich wartość, w jaki sposób miano by skłonić Mongołów i inne ludy do uznania ich jako wynagrodzenia za pracę albo towary, jak odbywałaby się wymiana nimi przez granice z innymi państwami, i jak można by było przeszkodzić temu, by ludzie nie zaczęli gromadzić monet w swoich skrzyniach i przez to popadać w chciwość?"

Je-lü Cz'u-c'aj: „Trzeba byłoby więcej urzędników i skrybów, urzędnicy musieliby stać nad kupcami i wykonywać kontrolę nad nimi, ale sami z kolei być odpowiedzialni przed władcą i kontrolowani przez niego, w ten sposób może rozległe mocarstwo pozostać podporządkowane woli władcy i zmuszone we wszystkim stosować się do niej.

Monety można by podporządkować specjalnemu urzędowi, który to urząd ja chętnie podjąłbym się ustanowić, gdybyś sobie tego życzył, o Chanie, i każda moneta winna nosić twój wizerunek i napis, w taki sam sposób jak twoja pieczęć, winna być oznaczona swoją wartością w cyfrach i wartość ta winna być jednakowa w całym państwie, jak również i poza jego granicami, wartość tę gwarantowałby twój wizerunek, o Chanie, i winna ona stanowić rozszerzenie twojej mocy”.

Chan: „Moja decyzja dojrzeje z czasem, widzę już korzyści z monet i handlu, ale obawiam się też skutków, wewnętrznych oddziaływań, i wiele kwestii wydaje mi się wciąż jeszcze bez odpowiedzi, może są to kroki, które muszą czekać, aż przeprowadzą je moi następcy, ale ty, mądry Je-lü Cz'u-c'aju, który wyglądasz na tak nieśmiertelnego, musisz tak czy owak wziąć w tym udział i ustanowić twój urząd dla monet!”

W SNACH NOCNYCH Chan wędruje często z wojskiem przez najbardziej bezlitosne pustynie: powietrze drga przed wędrowcami od żaru niczym płynąca woda albo rozpościera się w dali jak błękitniejące jeziora, które jednak pozostają niedosiegalne, uciekają w miarę jak się człowiek do nich zbliża,

pokryte śniegiem łańcuchy górskie rysują się odwrócone na wspak, tak jakby spoczywały wyciągnięte na swoich grzbietach ze śniegu i zwrócone miękkimi brzuchami w górę, skały wznoszą się jak wysokie bramy i potężne słupy, czarne jakby od sadzy lub lśniąco białe od soli,

ale także wysoka trawa wyrasta na równinie przed wojskiem, błyszczą najświeższą zielenią i widać, jak porusza się na wietrze, falując od podmuchów wiatru, to ciemniejsza, to jaśniejsza; trawa tak ponętna, że konie raz po raz dają się oszukać,

Chan i jego ludzie nie dają się jednak zwieść ani oszołomić, wiedzą oni, że to złe duchy powietrza prowadzą swoją grę, by wzbudzać fałszywe nadzieje i złamać ludzką odporność: ale pustynia pozostaje pustynią i nie dzieją się żadne cuda.

Gdy docierają do prawdziwych jezior, także i one są zdradzieckie, lśniąco białe od soli albo skamieniałe w podobne do szkła powierzchnie, konie stąpają po trzeszczących zaspach soli, a jeśli znajdzie się tam woda, jest ona ciężka i sztywna od soli, nie nadaje się do picia: jak gdyby samo Pragnienie stało się czymś odrażająco namacalnym,

jeszcze inne wody mogą majaczyć silnymi barwami niczym ogromne rozpostarte ogony pawie, ale świecą one

tylko jadem i zepsuciem, drwiąco i przerażająco, jak jakieś zaognione rany ziemi ociekające ropą,

także skały mogą być przerażające, pomarszczone jak prastare twarze, pełne spękań po zmianach między upałem i chłodem, niekiedy czerwone jak rozpalone żelazo, czerwono pręgowane jakby polane krwią, albo zielone jak skamieniała zieleń, czasem kolczaste jak kolczaste zarośla, sterczące jak lasy oszczepów.

Nie, żadne cuda nie dzieją się na pustyni, ale mimo to zdarza się czasem coś najbardziej nieprzewidzianego: pewnego dnia, gdy wojownicy i konie dyszą wyczerpani do ostatka z szalonego pragnienia, nadciąga nagle czarna chmura, błyskawice przesywają niemal nieprzerwanie gęstniejącą ciemność i grad wielki jak ptasie jaja zaczyna padać, odbijając się wysoko od ziemi, rozlegają się grzmoty jakby odgłos przebiegającego stada koni,

ludzie nakrywają głowy tarczami i siedzą skuleni pod nimi, podczas gdy konie kładą się, wyciągając głowy między przednie nogi, rżąc z bólu, gdy grad trafia je jak deszcz kamieni spadających z nieba,

ale potem pustynia leży pokryta zaspami gradu, mężczyźni mogą go łatwo zbierać i topić, mają wodę do ugaszenia pragnienia zarówno u ludzi, jak i u koni: czysta i przezroczysta woda bez żadnego posmaku, czy to nieba, czy też ziemi.

Albo innym razem, gdy głód daje im się ciężko we znaki i przejeżdżają przez górską przełęcz, gdzie wszędzie są tylko czarne skały i piasek, bez jednego zielonego źdźbła albo krzaku, bez śladu jakiegokolwiek życia: wtem psy nagle zaczynają skomleć i grzebać w piasku, nie chcą opuścić tego miejsca, gdy jeźdźcy przeciągają obok, Chan zwraca sam na to uwagę i daje znak zatrzymania się,

pewna liczba ludzi zaczyna kopać w piasku, tam gdzie psy skomlą z pianą ciekącą z pysków od oczekiwania, i pod warstwą piasku znajdują stado koni, gęsto skulonych jeden przy drugim, widocznie zamarzniętych w czasie burzy i przysypanych piaskiem: są one wciąż jeszcze zamarznięte

i twarde jak z drewna, ale kiedy już odtają, mięso jest świeże i pożywne, jakby było świeżo bite.

Podczas jednej ze swoich wypraw na pustyni Chan zatrzymuje się pod kilkoma uschniętymi tamaryszkami rosnącymi przy bloku skalnym, zsiada z konia i sadowi się tam na chwilę pogrążony w myślach.

Zbiera ślinę w ustach i spluwa między skały, niewielki pęcherzyk śliny przykleja się do skalnego bloku i lśni w niezwykły sposób, jak żywe srebro.

Przyciąga to uwagę Chana, schyla się i przygląda grudce śliny i widzi, że pęcherzyk wypełniony jest ruchem, jakby małymi żywymi formami, które krążą wokół siebie, bardzo szybko, przy czym wydają migotliwy błysk, który niemal oślepia wzrok.

Równocześnie spogląda w głębinę podobną do jakiegoś źródła, do którego wpada silne światło, i wszystko tam kręci się jak wir wodny, a jednocześnie te mniejsze ruchy wewnątrz trwają nadal.

Widok ten przyprawia Chana o zawrót głowy, jak gdyby mógł wpaść w tę wirującą głębię i zniknąć w niej, odczuwa to i jako pokusę, i jako zagrożenie, musi wycofać się gwałtownym ruchem w tył, aż znów ma przed sobą po prostu tylko zwykły pęcherzyk śliny.

Wtem uwagę jego przyciąga blok skalny, który zaczyna przed nim migotać, jakby oglądany przez ciepłą mgiełkę, traci swoją gęstość i nieprzenikliwość, roztapia się i staje się coraz bardziej świetlisty.

Blok skalny przypomina migotliwą wodę, utrzymywaną zwarcie przez niewidzialne ściany albo niedostrzegalną siłę, ale staje się równocześnie coraz rzadszy, zdaje się składać tylko z małych bujających cząsteczek albo z roju nader małych owadów.

Chan nabiera wyobrażenia, że mógłby przejść przez tę skałę i nie stawiałaby ona większego oporu niż woda lub mgła.

Nie dziwi go specjalnie ta myśl, jest mu tak, jakby w głę-

bi ducha zawsze wiedział, że rzeczy są przenikliwe, i gdy tylko to się naprawdę zrozumie, przestają stawiać opór.

To tylko jakieś zapomnienie zaciemnia i skamienia świat, sprawia, że wszędzie napotyka się martwe przeszkody i opory, człowiek utracił rozum i to właśnie zmusza go do walki i dążenia do przebicia się, przewyciężenia przeszkód.

Tak to wydaje się Chanowi, gdy długo siedzi pogrążony w swym przeżyciu, aż wreszcie się ocknie, blok skalny znów jest zamknięty, tamaryszki stoją tam jak przedtem, a w ich plamistym cieniu czeka koń.

Potem Chan pyta Je-lü Cz'u-c'aja o jego zapatrywanie: „Czy rzeczy trwałe, nawet te najcięższe i najtwardsze, są w istocie złożone i przenikliwe?”

Je-lü Cz'u-c'aj odpowiada: „Myśl ta istniała od dawna, o Chanie, nic naprawdę nie jest takim, jak to pojmuje człowiek, lecz czymś całkiem innym, dla naszego pojmowania nieznanym i niedostępnym.

Skała różni się tylko do pewnego stopnia od wody albo powietrza w swej gęstości, składa się ona być może z cząsteczek tak małych, że oku trudno je dostrzec, opór ich polega na spójni, a liczba ich jest większa niż liczba ziarenek piasku na pustyni.

Także powietrze i woda muszą składać się z takich małych cząsteczek, tylko mniej zagęszczonych i dlatego nie powodujących tak wielkiego oporu, ale gęstość i ciężar, jakie one posiadają, stają się dostrzegalne, gdy powietrze pędzi jako twardy wiatr albo gdy woda unosi statki większe niż domy”.

Chan: „Czyżby więc było tak, że miary człowieka obowiązują tylko w jego własnym świecie i że poza nim mogą istnieć inne światy, których nie znamy i nie możemy osiągnąć?”

Je-lü Cz'u-c'aj: „O Chanie, na pewno jest prawdziwą mądrością tak myśleć, może istnieć świat o nieskończenie wielkich rozmiarach, w którego skład wchodzimy, nie zdając sobie z tego sprawy, i może istnieć nieskończenie mały świat, który wchodzi w nasz, choć my sobie tego nie uprzytomiamy”.

Chan: „Świat człowieka byłby zatem bardzo mały albo

bardzo wielki w porównaniu z tymi innymi światami, to znaczy równocześnie bardzo wielki i bardzo mały, skrajnie ograniczony i zarazem niemal bezkresny.

Je-lü Cz'u-c'aj: „Tak może być, o Chanie!”

Chan każe przywołać słynnego tybetańskiego cudotwórcę, człowiek ten jest bardzo rosły, nikt w jurcie władcy nie sięga mu wyżej jak do pól piersi, jego długa do stóp szata jest wspaniała i lśni jak kawałek słońca żółcią i czerwienią, wyhaftowane są na niej smoki i konstelacje gwiazd.

Zaczyna od pokazania Chanowi dwóch dziwnych przedmiotów: jednym jest okrągła piłka, drugim szklany puchar z srebrzystą cieczą, piłka jest białoszara i wygląda całkiem niepozornie, ale gdy Chan bierze ją do ręki, jest tak lekka, że go to zaskakuje, nie waży niemal nic, tak jakby była zrobiona z puchu.

Tybetańczyk wzywa Chana, żeby spróbował rozciąć tę piłkę mieczem, ale gdy Chan wymierza cios, ostrze krzesze iskry, miecz odskakuje, a na piłce nie widać nawet najmniejszej szramy.

„Co to takiego, co jest pozbawione wagi i twardsze niż stal?”, pyta Chan, a Tybetańczyk odpowiada: „To materia gwiazd, o Chanie, ta piłka spadła z nieba jak spadająca gwiazda, tak lekkie, a jednocześnie twarde muszą być gwiazdy, by utrzymać się bujając w przestworzu i nie zużyć się!”

Szklany puchar z cieczą zaskakuje natomiast swoim ciężarem, trzeba siły mężczyzny, bo go unieść, a mimo to jest to płynna ciecz, na pół przezroczysta, Tybetańczyk wylewa kilka jej kropel na dłoń Chana i są one ciężkie jak duże kawałki ołowiu.

Chan pyta, co to jest, a Tybetańczyk odpowiada: „To ciężka ciecz, która znajduje się we wnętrzu ziemi, utrzymuje ona świat na swoim miejscu i pozwala niebu krążyć wokół niego, ja sam z wielkim trudem przyniosłem ją z wnętrza wulkanu”.

„I do czego mają służyć te dziwne rzeczy?”, pyta Chan,

a Tybetańczyk odpowiada: „Do niczego, o Chanie, ich zadaniem jest tylko objawiać nam to, co nieznanne!”

Następnie Tybetańczyk daje Chanowi pokaz swojej zdolności wzniesienia się nad ziemią i swobodnego unoszenia się w powietrzu.

Nie wyciąga się w górę ani nie robi ruchów ramionami, by upodobnić się do wzbijającego się ptaka, stoi tylko odprężony z zamkniętymi oczami i czeka, potem podciąga z wolna nogi pod siebie i siedzi w powietrzu jak na niewidzialnym fotelu.

Chan daje znak jednemu z wojowników, by zamachnął się mieczem pod bujającym w powietrzu mężczyzną, ale miecz nie napotyka na żaden opór, Tybetańczyk nadal siedzi spokojnie w powietrzu.

Chan jest zadowolony i kiwa z uznaniem głową, ten cudotwórca zna swoje rzemiosło i nie jest godzien pogardy, ale jeszcze pozostaje jego czołowy pokaz: ma wprawić się w sen, pozwolić duchowi opuścić ciało i udać się daleko w świat, by potem znów powrócić i przez budzącego się cudotwórcę opowiedzieć, co widział.

Chan mówi: „Prawdziwość tego, czego się dowiedział twój duch, musi być skontrolowana, dlatego powinien on odszukać Boru, syna Mukaliego, przebywającego w państwie Kin i po powrocie umieć opisać pierścień, który Boru nosi na lewej ręce!”

Tybetańczyk nie ma co do tego żądania żadnych zastrzeżeń, napomyka tylko, że państwo Kin jest wielkie i dlatego może minąć dużo czasu, zanim jego duch odszuka syna Mukaliego, prosi więc o pozwolenie powtórzenia próby, w razie gdyby nie udało mu się za pierwszym razem.

Kładzie się i wprawia w sen, leży nieruchomo i oddycha niemal niepostrzeżenie, Chan i jego ludzie obserwują go uważnie, mijają godziny i śpiący nie okazuje żadnych oznak przebudzenia.

Gdy w końcu ono następuje, jest to całkiem tak, jakby zbudził się ze zwykłego snu, przeciera oczy, rozgląda się dokoła, siada i mówi: „Może trwało to bardzo długo, nie wiem, ale to nie sama podróż zabrała w takim razie tyle

czasu, lecz szukanie syna Mukaliego w rozległym państwie Kin...”

„A pierścień — pyta Chan — czy widziałeś pierścień i czy potrafisz go opisać?”

Tybetańczyk opisuje pierścień na lewej ręce Boru, a Chan potakuje: tak, to pierścień, który on sam dał synowi Mukaliego i wie, że ten nosić go będzie aż do śmierci, nie ma żadnej wątpliwości, Tybetańczyk przekonał Chana o swojej dziwnej zdolności.

Chan powiada: „Jesteś zręcznym cudotwórcą, Tybetańczyku, ale jako posłanica nie można cię używać, dlatego że nie możesz zabrać z sobą żadnego posłania, czy to ustnego, czy pisemnego, skutkiem czego z sztuki twojej nie ma żadnego pożytku, jednakże nie jesteś też oszustem i wolno ci zachować życie i powrócić do swego kraju!”

I życie codzienne toczy się dalej w Karakorum, a Chan może jeszcze odczuwać radość przy urodzeniu żrebaka, obserwować, jak się uwalnia od łożyska, jak klacz oblizuje go do czysta, jak źrebię wstaje, chwiejąc się na długich szczudłowatych nogach i pada, podnosi się znowu i dobiera się do wymienia z ciepłym, pożywnym mlekiem,

Chan słyszy, jak uczony mąż zapewnia, że olbrzymie zwierzęta spoczywają od prastarych czasów głęboko w ziemi, ich gatunek zaginął jeszcze w tej odległej epoce, kiedy to płaskowyż obfitował w wodę, kiedy sitowie i paprocie rosły wysokie jak lasy, i mięso tych zwierząt byłoby wciąż jeszcze jadalne, gdyby na nie natrafiono, tak dobrze jest ono chronione w głębi ziemi,

Chan widzi, jak poszukiwacze wody wychodzą w teren, ale ich instrumenty są niepewne, a ich orzeczenia niezbyt godne zaufania, albowiem tam, gdzie każą kopać, często nie trafia się na żadną wodę i trzeba pozostawiać puste dziury w ziemi,

inni znów posiadają umiejętność schodzenia w przepaści i badania dna jaskiń, rzadko znajdują coś ciekawego, ale nauczyli się łapać skorpiony albo węże rękami, nie odnosząc szkody,

sól powinno się odmierzać umiarkowanie i trzymać z dala od wody, ale sama sól z natury nie zachowuje umiaru i zdaje się nie stronić od wody, miesza się z wodą i jest jakby przez nią pochłaniana, dopóki nie okaże się, że to sól pochłonęła wodę, sól jest koniecznością, która gdzieś stała się przekleństwem, sam jej widok sprawia, że oczy pieką, przypomina ona śnieg w ostrym słońcu, jej biel oślepia oczy, łyzy ciekną także wojownikowi,

szybkość gońców trzeba oceniać także przy uwzględnieniu wiatru, czy podróżują oni jadąc z wiatrem czy pod wiatr, sprawia to, że często trudno jest rozstrzygnąć, którzy z nich są najbardziej zasłużeni, jedni, jak się okazało, czynią nadmierny użytek ze swoich dzwonek, gdy pędzą przed siebie, inni znów mają nawyk pokazywania, czy trzeba, czy nie trzeba, metalowej płytki z upoważnieniem, jaką noszą na łańcuszku u szyi,

okazało się, że bloki lodu mogą przetrwać najgorętsze lato, jeśli przykryje je się grubą warstwą liści, pszczoły u otworu w ziemi zdradzają często miód, który można wykopać, szarańczę można napotkać na środku pustyni i stanowi ona pożyteczny posiłek, ale gdy zje się jej za dużo, wzbudza niesmak i nie można już jej więcej spożywać,

tereny spustoszone przez pożar mogą czasem być usiane węzami, które spaliły się na węgiel w płomieniach albo leżą w żarze dobrze upieczone, tak że ich mięso jest smaczne i kusi nawet tych, co nie są zjadaczami węzów, jak Kitajczycy,

po śnieżnej burzy trzeba nierzadko wyjść na dwór i odkopać stada owiec zasypane śniegiem, gęsto skupione pod zaspami, śnieg wokół nich stopniał od ciepła i często powstały przewiewne szczeliny, tak że owce nie zadusiły się i przeżyły,

branie ciepłych odchodów zwierzęcych do rąk jest środkiem na troski i zmartwienia, myśl o gwiazdach nocy zimowej jako o rzeszy jeźdźców w drodze daje siłę, ale nikt chętnie nie wychodzi w pełni księżyca na śnieg, gdy milknie szczekanie psów od wycia wilków,

starców czci się wyjmując przeżute przez siebie kęski

i wkładając je im do ust, młodzieniec, który przystraja się w pomalowane na czerwono rogi barana, chce okazać swoją męskość, a dziewczęta, które pochylają się do przodu na widok rzucania kamienia, zdradzają dojrzałość płciową,

kobieta jest często niespokojna jak liść na wietrze, nim zostanie zapłodniona, widok mężczyzny wykonującego pewien ruch może sprawić, że jej łono zwilża się, a kolana uginają, zdarza się czasem, że kobiety rodzą w namiocie na wozie w czasie toczącego się boju i taki poród przebiega niezwykle lekko,

cień listowia poruszający się w stronę muru, to widok, który zostaje na długo w pamięci, przypomina to pewnie trzepotanie wołoku namiotu, gdy dmucha wiatr, istnieją też namioty tak lekkie i cienkie, że przenika przez nie cień przeciągających chmur,

zdarza się, że burza nagle przynosi całą naręcz kwiatów z bardzo daleka, a one nie tracą nawet swego zapachu,

któregoś ranka równina może być usiana łąbędziami tak gęsto, że tylko z trudnością mogą one rozwinąć skrzydła i wzbić się do ucieczki,

czasem widać, jak sama ziemia otwiera się i wysila, żeby urodzić nie wiadomo co, ale to, co przypominało łono, zamyka się znowu, choć nic się nie stało,

piasek albo woda mogą odmierzać czas także w ciemności nocy, jeśli naczynie z dziurką na dnie pozwala na powolne spływanie,

mężczyzna może jednakowo kochać białego i czarnego konia, stają się one dla niego jak dzień i noc, oba równie nieodzowne,

do niedawna klucze były nieznaną rzeczą i śmiano się z zamków,

kupcy pokazują czarne kamienie, które można zapalać i które płoną, zapewniają oni, że nie chodzi tu o czary, ale może twierdzą tak dlatego, że wiedzą, iż czary są zabronione.

Do uszu Chana dochodzi, że jedna z jego kobiet jest mu niewierna, usiłuje przypomnieć sobie oskarżoną, lecz nie może, nie sądzi, by odwiedził ją więcej jak jeden jedyny raz, ale dowiaduje się, gdzie jest jej jurta, i niespodziewanie tam wchodzi.

Kobieta jest nieco zaskoczona, ale Chan nie może wywnioskować, czy robi ona wrażenie zadowolonej z wizyty czy też zakłopotanej, i gdy nagle czuje do niej pociąg, może właśnie z powodu tego podejrzenia, poskramia je i wychodzi znów z jurty, zamieniwszy z kobietą kilka słów bez znaczenia.

Dowiaduje się także, kim jest obwiniany mężczyzna, młody wojownik, mężny i cieszący się szacunkiem, i Chan popada w wątpliwość, jak ma postąpić: według *Jasy* niewierna kobieta traci życie, ale Chan może ją ułaskawić i zdarza się to nie tak znów rzadko.

Tu chodzi wszakże o jedną z własnych kobiet Chana, jej niewierność jest występkiem przeciw niemu samemu i nie może tak łatwo pozostać bezkarna, mogłoby to być zrozumiane jako słabość Chana, może jako oznaka starości, gdyby wieść o tym rozeszła się.

Ale jest to przecież tylko kwestia oskarżenia i Chan nie musi koniecznie dowiedzieć się prawdy, może ją odrzucić, zapobiec jej ujawnieniu, tym bardziej że kobieta ta jest mu właściwie obojętna i nie ma z niej żadnego użytku.

Każę przywołać kobietę, a także obwinionego wojownika, zostaje z nimi sam na sam w namiocie władcy, i z przerażenia i bladeści wezwanych wyczytuje od razu, że oskarżenie musi być prawdziwe, ale mówi:

„Ty, wojowniku, odznaczyłeś się męstwem i zręcznością, dlatego chcę cię wynagrodzić, darowując ci jedną z moich własnych kobiet, jest ona młoda i pociągająca i sądzę, że znajdziesz w niej upodobanie!”

Wojownik i kobieta padli na twarz przed Chanem gotowi błagać o życie, a teraz ogarnia ich zmieszanie, wymieniają bezradnie spojrzenia.

Wojownik może tylko wyjąkać: „O Chanie, twoja dobroć

jest bezgraniczna, nie jestem godzien tego daru i nie wiem, jak mam ci zań dziękować!”

Chan mówi teraz bardziej szorstko: „Nie trzeba podziękowania, wojowniku, ale z darem tym związany jest jeden warunek: udasz się na służbę daleko na zachodzie, zabierając tę kobietę z sobą, i nie możesz nigdy liczyć na powrót!”

Wojownik: „Ten warunek napawa mnie radością, o Chanie, i czyni twój podarek jeszcze miłszym!”

Chan pokazuje im gestem, że mogą odejść, jakby niecierpliwie, nie trzeba już trwonić żadnych więcej słów na tę sprawę, wojownik i kobieta dotykają ziemi czołami, wstają i oddalają się pospołu.

Chan jest zadowolony ze swojej decyzji, ale zastanawia się przez chwilę, jak wojownik i kobieta go zrozumieją, czy przejrzą jego postępek, czy też nie, czy będą czuli jego łaskę jako ciężar nad sobą, jego dar jako oskarżenie przeciw sobie, jego świadomość ich uczynku jako trwałą groźbę wiążącą nad nimi bez względu na to, jak daleko się udadzą.

Żądza Chana do kobiet nie wraca już zbyt często, ale gdy się pojawi, potencja dopisuje mu nadal, nie jest to problem, który by zaprzętał mu myśli, zauważa jednak, że jego pożądanie zaczyna coraz bardziej zwracać się do nowych kobiet, najlepiej całkiem młodych, podczas gdy inne kobiety pomija.

Przez długi czas przedkładał nad wszystkie inne Merkitkę Kulan, towarzyszyła mu ona w ostatnich wyprawach wojennych i żyła jak królowa we własnej podbitej jedwabiem jurcie ze służebnymi i niewolnicami, piękna i ognista kobieta, płomień, przy którym mógł się ogrzać, a nie tylko odwiedzać dla rozkoszy.

Ale teraz jakby go już nie nęciła dłużej, nie wiadomo czy przyczyna tego tkwi w nim czy w niej, nadal ją odwiedza, ale nie czuje już żadnego pożądania, siedzą tylko z sobą w zażyłości, niemal w taki sam sposób, jak Chan obcuje ze swoją pierwszą żoną, Börte.

Chan chodzi do jurt innych kobiet, by zaspokoić swoją

żądę, nie zdążył jeszcze poznać wszystkich kobiet, które do niego należą, wybrane przez niego samego mimochodem albo ofiarowane mu w darze, czekające na niego w swoich jurtach i zakazane dla innych mężczyzn, Kitajki i Turczynki i kobiety perskie szlachetnego rodu, bardzo młode i nie tak już młode, piękne albo w inny sposób się wyróżniające, subtelne jakby rzeźbione w kości słoniowej albo żywe jak młode klacze, sprężyste smukłe albo pulchnie masywne.

Chan nie wie dobrze, które z nich woli, ciągnie go od jednych do drugich, jest dziwnie zmienny, może nieco zawiedziony nimi wszystkimi, a może samym sobą, często nie ma ochoty wrócić do tych, które raz odwiedził, nierzadko myśli, że kobiety nie są już takie jak dawniej, ale zdaje sobie także sprawę, nie bardzo chcąc to przyznać, że on sam też nie jest już taki jak przedtem, a rozkosz męczyzny polega przecież przede wszystkim na nim samym.

Czegóż więc szuka Chan u kobiet, czy potrzebuje tej rozkoszy, która wszakże czyni go na pół zawiedzionym, czy nie mógłby równie dobrze zrezygnować z niej, czyżby chciał widzieć, jak więcej jeszcze synów rodzi się i wzrasta wokół niego na starość, a może szuka dowodu przed sobą i innymi swojej nie utraconej męskości, nie umniejszonej siły?

Pytania te nie stają przed nim poważnie, dopóki żądza i potencja równają się sobie, ale nagle zawodzi go potencja, podczas gdy żądza wciąż trwa, co go zaskakuje i upokarza, staje się problemem, który go pochłania.

Chodzi od jednej kobiecej jurty do drugiej, z niepokojem starego niedźwiedzia, który nie może znaleźć sobie zimowego leża, siada tam i patrzy na różne kobiety, odchodzi często bez jednego słowa, albo dotyka je, czuje ich ciała przy swoim, kładzie się obok nich albo na nich: żądza ogarnia go, ale potencja zawodzi.

Każę kobietom rozbierać się powoli na jego oczach i poruszać się w tańcu albo przybierać podniecające pozy, lecz to też nie odnosi żadnego skutku, wzbudza tylko zwiększoną żądę bez potencji: ciężkie upokorzenie dla męczyzny takiego jak on, Chana, który ma moc stanowić o niezliczonych ludzkich żywotach, który może posiadać niezliczone

kobiety z wszystkich stron świata, i oto nie potrafi ich używać, wydobyć z nich rozkoszy!

Pozwala kobietom na próbowanie z nim różnych swoich sztuczek, on co zawsze pogardzał tym i potępiał coś takiego, ale prowadzi to tylko do połowicznych osiągnięć, które nie zaspokajają jego żądz i kiepsko tylko pokrywają porażkę, może go wtedy ogarnąć nierozsądna niechęć do kobiety, która go upokorzyła podnietami, na jakie sam udzielił zezwolenia, odpycha ją brutalnie od siebie i bywa, że każe ją wygnać z Karakorum na zawsze.

Zdarza się, że przychodzi mu do głowy, iż powinien był kazać ją zabić albo sam ją uśmiercić za to, że przekroczyła jego spisane prawo, ale powstrzymuje się w porę, byłoby to posunięciem się nazbyt daleko i stanowiłoby wewnętrzną sprzeczność, jest Chanem i nie powinien tracić głowy.

Nie staje się jednak długo ofiarą tego opętania, nie jest tym, który by pozwolił własnej żądzy zapanować nad sobą, nie godzi się na to, by dać się doprowadzić do szaleństw i stawać się pośmiewiskiem, przeciwstawia się z całą siłą woli temu pożądaniu bez potencji, przewycięża je i wypiera.

I wtedy, po jakimś czasie, okazuje się, że jego słabość była chwilowa, że już przeszła, żądza i potencja znowu połączyły się w jedno, znów może znaleźć rozkosz u swoich kobiet, ale uświadomił sobie ostrzeżenie, za każdym razem jest to teraz dar zamiast oczywistości, skarb, którego nie wolno trwonić.

O stosunku między mężczyznami i kobietami Chan każe zapisać:

Naczelnym zadaniem mężczyzny według Woli Nieba jest prowadzenie wojny, zadaniem kobiety jest rodzenie synów, którzy mają stać się wojownikami, i córek, które mają rodzić nowych synów.

Ponadto zadaniem kobiety jest praca dla rodziny, dogłądanie jurt i stada, sporządzanie wołjoku i skóry i innych potrzebnych rzeczy, tak aby na wszelki sposób mogła pomagać i wspierać mężczyznę w prowadzeniu wojny.

Jest rzeczą słuszną i rozsądną, by mężczyzna brał sobie kobiety, do których czuje żądzę i których potrzebuje, tak aby mógł je zapładniać i wydawać na świat wielu synów i przyszłych wojowników.

Kobieta nie ma analogicznego prawa, by brać sobie innych mężczyzn, dopóki ten, którego ma, zdolny jest zapładniać ją, ale jeśli tak nie jest, powinna mieć swobodę szukania innych mężczyzn.

Jest czymś naturalnym, że syn pożąda kobiet ojca, ale tylko gdyby ojciec umarł i zostawił swoje kobiety, synowi wolno je przejąć, z wyjątkiem jednak tej kobiety, która go urodziła i jest jego własną matką.

Jeśli jest wielu synów, prawo do przejęcia kobiet ojca przechodzi przede wszystkim na syna najstarszego, ale może on z dobrej woli zrezygnować z którejś, z kilku albo z wszystkich kobiet ojca na rzecz młodszych braci.

Słusznie panuje taki stosunek równowagi między mężczyznami i kobietami, że całkiem młodych mężczyzn ciągnie często do nieco starszych i dojrzałych kobiet, podczas gdy starsi i dojrzałsi mężczyźni wolą całkiem młode i niedoświadczone kobiety.

Kiedy kobieta stała się za stara, by rodzić dzieci, jest rzeczą naganną, by mężczyzna nadal trwonił w niej swoje nasienie, to samo odnosi się do dziewczyny tak młodej, że jest jeszcze niezdatna do zapłodnienia.

Piękne kobiety, choćby nie wiadomo jak pożądana godne z powierzchowności, często są zimniejsze niż mniej piękne, dają nierzadko mało rozkoszy i przynoszą zawód, z którym może być trudno się pogodzić.

Kobiety, która daje największą rozkosz, najlepiej szukać w ciemności, bo to nie głównie oczy mają się nią rozkoszować, a widok czasem myli.

Ta sama kobieta nie daje jednak tej samej rozkoszy różnym mężczyznom, wprost przeciwnie, jest to tak mądrze urządzone, że kobieta, która wygląda na mało albo wcale nie pojętną dla jednego mężczyzny, może dawać najwyższą rozkosz innemu.

Rozkoszą mężczyzny jest w końcu nie tyle kobieta, co jego

własne wyobrażenie i własna siła, jeśli jego wyobrażenia jest dostatecznie żywa, a siła dostatecznie wielka, jakakolwiek kobieta daje mu rozkosz.

Jest rzeczą naganną, by mężczyzna używał innych otworów w kobiecie niż ten, przez który może ona zostać zapłodniona, oznacza to bowiem tylko rozlane bez żadnego pożytku nasienie i świadczy o zmęczonej żądzy, która wymaga odpoczynku.

Nie tylko naganne, ale pod karą śmierci zakazane jest, by mężczyzna używał innego mężczyzny zamiast kobiety.

Wojownikom nie wolno przywiązywać się do swoich koni i ulegać pokusie, by używać ich zamiast kobiet, trwonią oni wtedy swoją siłę bez żadnego pożytku i tracą właściwą furję w walkach.

Wojna przynosi prawo do gwałcenia kobiet w zdobytych miejscowościach, stanowi to wartościową pokusę i siłę napędową w prowadzeniu wojny, ale takie gwałty nie powinny być popełniane w nadmiarze i stawać się stałym zwyczajem, gdyż wtedy podkopują one siłę i żądzę wojownika.

Mężczyzna powinien stale pilnować, by zachować właściwy stosunek między swoją siłą i swoją żądzą, gdyż za dużo jednego i za mało drugiego prowadzi do nieszczęścia.

W JESIENI ODBYWA się w Karakorum mały kurułtaj dla podjęcia ostatecznej decyzji o wojnie przeciw państwu Si-sia, synowie Chana Dżoczi i Czadaj są w pełni zajęci w krajach zachodnich i nie musieli stawić się, jak również Boru, syn Mukaliego, który prowadzi wojnę przeciw państwu Kin, natomiast uczestniczy w kurułtaju Ögödej i głównodowodzący wojska Tolu, a także pewna liczba chanów i örlüków.

Wywiadowcy i różnego rodzaju wysłannicy stawili się i składają raporty o sytuacji w kraju Tangutów, o dalszych naruszeniach poprzedniego traktatu pokojowego, o napaściach na granicy i rajdach przeciw karawanom, o od dawna zalegających haraczach, o zdradzieckich aliansach i przygotowaniach do wojny pod starym wrogiem Aszagambu, olbrzymim Tybetańczykiem, najwyższym wodzem Tangutów.

O tym wszystkim Chan od dawna był powiadomiony, ale teraz dowody stają się mocniejsze i gniew, który Chan długo powściągał, może się objawić, toteż Chan nie zwleka już dłużej z ogłoszeniem decyzji: przygotowania do wojny z Tangutami mają rozpocząć się natychmiast i być zakończone do wiosny, Chan sam poprowadzi wyprawę i jeszcze raz wyruszy na wojnę na czele swoich wiernych mongolskich wojowników, zemsta zostanie wymierzona bez żadnych ustępstw i wielki łup zagarnięty!

Rozstrzygające słowa zostały wypowiedziane, zgiełk zapłać wznosi się wokół Chana, dowódcy i zwykli wojownicy tłoczą się w jurcie władcy, wnosi się puchary wina i wszyscy piją za decyzję kurułtaju, za przyszłą wojnę i pewne zwycięstwo.

Tylko sam Chan nie może się opędzić pewnemu przygnębieniu, usiłuje podsycić swój gniew i dać się mu porwać, ale jest to gniew, który nie ma już tej samej siły co dawniej i nie wypełnia go bez reszty, Chan mówi sobie, że chodzi tu o słuszną zemstę, a więc święty obowiązek, ale mimo to trwa w nim coś z wahania i rozterki.

Czuje ciężar swego wieku, wzdraga się może trochę przed trudami nowej wyprawy wojennej, nie przyznając się do tego nawet przed samym sobą, ma chyba także przecucie, że nie powróci z tej wojny, ale wmawia sobie równocześnie, że woli umrzeć na wojnie niż w swojej jurcie w Karakorum, jedyne, co pozostaje mu jako staremu mongolskiemu wojownikowi, to polec w boju.

Chan wzywa do siebie Je-lü Cz'u-c'aja i naradza się z nim w swoich kłopotach.

„Może nie wrócę już z tej wojny przeciw Tangutom — mówi Chan i dlatego wszystko musi być dobrze ułożone na przyszłość, zanim wyruszę.

Moim potomkom nakazuje się, by ściśle trzymali się *Jasy*, mego prawa, które jednoczy przeszłość Mongołów z ich przyszłością, które zakazuje wszelkich niesprawiedliwości i zapobiega wszelkim zwyrodnieniom, tak aby wojownicze cechy nie ustąpiły przed dobrobytem i zniewieścią.

Przed każdą radą należy odczytywać *Jasę*, żeby nikt nie zapomniał jej przykazań i nie uległ pokusie, by ich nie przestrzegać. *Jasa* uważa za najważniejsze z wszystkiego, by nie dochodziło do niezgody między moimi potomkami, by państwo nie zostało rozdarte ani jego spójnia naruszona, by wszyscy zgodnie wybierali najwyższego chana spomiędzy siebie i całkowicie podporządkowali się jego woli.

Ale teraz, mądry Je-lü Cz'u-c'aju, chodzi o to, którego z moich synów mam wyznaczyć na mego zastępcę, na najwyższego chana po mnie, i chcę usłyszeć, jak się zapatrujesz na moich czterech synów pod tym względem!”

Je-lü Cz'u-c'aj wysuwa smukłe, szczupłe ręce z szero-

kich jedwabnych rękawów, gładzi przez chwilę w milczeniu długą, ale rzadką brodę, podczas gdy Chan czeka na jego odpowiedź.

„O Chanie — odzywa się wreszcie Je-lü Cz'u-c'aj — twoi synowie są wszyscy wielkimi mężami, dzielnymi wojownikami, przywykłymi do odnoszenia zwycięstw, i twoje państwo znalazłoby się w dobrych rękach u każdego z nich.

Problemem jest zatem, jak najlepiej mogliby z sobą współpracować, którzy z nich mogliby podporządkować się jednemu spośród siebie, i kto by nim był w takim razie, o tym zaś rozstrzygają ich różne usposobienia i charaktery, a nie prawo i rozsądek.

Dżoczi, twój najstarszy syn, o Chanie, ma posepny umysł, jest nieufny i gorzki, jest on w głębi ducha niepewny samego siebie i musi przekonywać się o swojej wartości przez ustawiczne śmiałe brawady, mimo swego męstwa i zrzeczności nie jest on zbyt lubianym dowódcą, nie umie dobrze pozyskać swoich ludzi, łatwo rozpala się gniewem i zagalopowuje się: Dżoczi wydaje mi się dlatego niezbyt odpowiedni na najwyższego chana, zachowawcę spójni wewnątrz mocarstwa”.

Chan kiwa głową potakująco, z niemal zamkniętymi oczami, a Je-lü Cz'u-c'aj ciągnie dalej:

„Czaadaj, twój drugi z kolei syn, jest najtwardszy i najbardziej nieugięty, ma żelazną wolę, nie uchyla się przed niczym, to niezrównany taran przebijający najmocniejsze umocnienia, zdobywca wielu miast, narzędzie, na którym można polegać pod każdym względem, ale sama jego nieugiętość czyni go moim zdaniem mało odpowiednim na najwyższego władcę, nie potrafi on ustąpić, kiedy to jest konieczne, i łatwiej przychodzi mu dzielić niż jednać.

Ögödej, twój trzeci syn, ma największą wagę i siłę fizyczną, jest dobroduszny i żartobliwy, daleko mu do gniewu i zbytniego pośpiechu, nie jest w taki sam sposób twarzym i niezawodnym narzędziem jak jego bracia, lecz z natury swej jest mediatorem i pojednawcą, ale ma on słabe strony, które mogą stać się złowieszcze dla najwyższego Chana, nadmierny pociąg do picia i rozkoszy, i może po-

paść w zależność od swoich żądz, to przemawia przeciw niemu, o Chanie!

Toluj, twój najmłodszy syn, jest najwspanialszym dowódcą, myślącym i planującym wojownikiem, który nigdy nie traci opanowania ani perspektywy, jest on oczywistym przywódcą dla największych i najcięższych wypraw wojennych, ale jest bardzo dumny i trudno mu podporządkować się komuś, z pewnością byłby znakomitym władcą, ale mógłby mieć duże trudności ze spójnią”.

Chan przerywa Kitajczykowi nie bez pewnego rozdrażnienia:

„Czy to znaczy, że nie uważasz żadnego z moich synów jako odpowiedniego na najwyższego chana, wygląda przecież na to, że swoją oceną wykluczyłeś ich wszystkich?”

„Nie, o Chanie — odpowiada Je-lü Cz'u-c'aj — moja ocena to ruch okrężny i otaczający, a teraz dochodzę do rozstrzygającego wniosku, mimo pewnych zastrzeżeń wybór musi, moim zdaniem, paść na Ögödeja, z tego powodu, że jest on jedynym, którego trzej inni bracia mogą zgodzić się słuchać jako najwyższego chana.

Ögödej jest lubiany przez nich wszystkich, nie wyzywa on i nie gniewa nikogo, jest z nich najmniej wojowniczy i nie nadaje się do zadań bojowych tak jak inni, toteż brakowałoby go najmniej w czasie wojennych działań, panuje też najmniejsze napięcie między nim a innymi, wątpliwe jest, czy Dżoczi, Czaadaj albo Toluj podporządkowałiby się komuś innemu niż Ögödejowi i słuchali jego woli, ale gdy chodzi o Ögödeja, jest to w pełni możliwe, taki jest mój wniosek końcowy, o Chanie”.

Chan siedzi i zastanawia się długą chwilę, nim powie:

„Dziękuję ci, stale jednak mądry Je-lü Cz'u-c'aju, twoja ocena zbliża się bardzo do mojej własnej i umacnia mnie w decyzji, którą muszę podjąć: Ögödej będzie więc najwyższym chanem panującym nad państwem stąd, z Karakorum, Dżoczi ma mieć wolne ręce dla dokonania podbojów, na które jest tak nastawiony na północnym zachodzie, Czaadaj ma rządzić w trudnych do poskromienia państwach południowo-zachodnich, a Toluj ma napierać dalej

na wschodzie, by podporządkować sobie oba państwa Kijaju, Kin i Sung, ale wszyscy mają być zobowiązani stawić się na wezwanie na kurultaj w Karakorum i wola Ögödeja ma być najwyższa, decydująca i spajająca: w taki sposób państwo powinno być rządzone, a moi synowie mają utrzymywać pokój między sobą!”

Je-lü Cz'u-c'aj skłania się przed Chanem, jego ręce znowu znikły w szerokich rękawach, i nie dodaje niczego.

Podczas przygotowań do nowej wojny i w oczekiwaniu na wiosnę przychodzi teraz okres zimowy, z gwałtownymi śnieżnymi burzami na równinie i ostrym, wszystko przeni-kającym mrozem.

Burza huczy i wyje w Karakorum, wstrząsa jurtami i domami, zdaje się wprawiać w drżenie samą ziemię, szaleje przez dni i noce, zaciemnia światło dzienne wirującym śniegiem, którego nie może przeniknąć wzrok, wmiata śnieg we wszystkie szczeliny i zagłębienia terenu, spiętrza wysokie zasy także wewnątrz gęsto zamieszkałego miasta.

Gdy powietrze oczyści się, przychodzą mroźne, jasne dni, jurty stoją jakby odlane z żelaza, dymy z otworami wznoszą się prosto w górę jak wysokie, smukłe pnie drzew, nim rozpostrą swoje korony, dymu, zabarwionego na miedzianą czerwień przez skośnie padające promienie słoneczne, podczas gdy drewniane domy lśnią bielą od szronu, a szczeliny od mrozu pękają z ostrym trzaskiem.

Między jurtami i domami biegną wąskie ścieżki w śniegu, wykopane jak wąwozy między pionowymi ścianami, nierzadko sięgającymi na wysokość męczyczyzny, a wokół poruszających się ludzi unosi się oddech jak bładoniebieski dymek i załamuje promienie słoneczne, tak że rysują się przed nimi małe tęcze.

Pod wieczór rozpościera się na śniegu różowa czerwień i przechodzi w cieniu w ciemny fiolet, niebo staje się szklistozielone i kruche tak, jak gdyby krzyk mógł sprawić, że pęknie, ciemność sprawia, że świat mięknie trochę jak wojłok, ale wnet przeszywają go gwiazdy ostre jak oszczepy.

Gdy zapłonie zorza polarna, Mongołowie wzdrzają się

i odwracają twarze, by jej nie widzieć, kiedy wychodzą z jurt, by oddać mocz na śnieg albo załatwić jakąś inną sprawę, myślą oni, że Niebo gniewa się wtedy albo walczy z groźnymi mocami, jakie wynurzają się z lasów na północy.

Zorza polarna to jakby promienie z lodu i ognia, nienaturalne przerażające połączenie płomieni i mrozu, świadczące o nieludzkim świecie, gdzie krew jest zamarznęta i wyblakła jak śnieg, gdzie nie można zgiać włosów, by nie pękł jak zamarznęte źdźbło słomy.

Chwilami wygląda to tak, jakby sam brzuch niebios otworzył się, wnętrzości splecione są z sobą w straszliwej igraszce albo walce, a szamani wychodzą na dwór, by śledzić te tarcia i boje w przestworzu, w nadziei, że będą mogli wytłumaczyć ich treść i wyczytać z niej przyszłe wydarzenia.

Tak jak szaman, Chan ma odwagę wyjść w noc zorzy polarnej i przyjąć widok lodowatych płomieni ognistych z twarzą zwróconą ku górze, znosi patrzenie na to, oglądanie tego, czego nie zniósłby żaden człowiek, i poskramia stary mongolski strach, gdyż bez względu na to, co mogą oznaczać owe walki promieni świetlnych w Niebie, o ile wiadomo nie zaszkodziły one nigdy żadnemu człowiekowi i mimo swojej groźności nie zniżają się nigdy na ziemię, by pochłonąć ją w lodowatym ogniu.

Chan naradza się znowu z Je-lü Cz'u-c'ajem i mówi: „Musisz wiedzieć, mądry Kitajczyku, że wojna, która teraz nadchodzi, nie daje mi takiej samej radości jak to było dawniej, choć jest sprawiedliwa i nieunikniona, i nie ma też żadnej wątpliwości, jaki będzie jej wynik, Niebo chce tej wojny i wymaga jej, cóż to zatem sprawia, że jednak w jakiś sposób mam wobec niej pewne opory?”

Je-lü Cz'u-c'aj odpowiada: „W moim rozumieniu polega to na dojrzałości, doświadczeniu, głębokim rozumie, o Chanie!”

Chan: „Nie mówisz nic o starzejącej się i stygnącej krwi,

tłumaczysz moje dziwne wahanie jako znak mądrości i opamiętania, ale może polega to tylko na tym, że zbyt długo trwałem w bezruchu, przyzwyczałem się do pokoju i wygód tu w Karakorum, co nie jest z pożytkiem dla starego wojownika.

A może uważasz, że powinienem wątpić w samo moje dążenie, w wojnę jako naturalną formę życia Mongołów, w wojnę jako środek zachowania i poszerzenia mocarstwa, w możliwość wtargnięcia jeszcze dalej i podbicia jeszcze więcej ze świata, czy tak myślisz?"

Je-lü Cz'u-c'aj: „Kiedy tak mówisz, o Chanie, jest to właśnie to, co myślę, ale może także to, co ty sam myślisz, czego zaczynasz się domyślać jako prawdy za wszystkimi wspaniałymi zwycięstwami, za wszelką wielkością i bogactwem, które wojna przynosi z sobą, co więcej, że w głębi ducha zaczynasz się siebie pytać, czy może tak być dalej, czy wciąż jeszcze znajdują się dla twoich synów i wnuków nowe kraje, by je pustoszyć i plądrować, czy nie będą oni w końcu musieli zaniechać wojny jako głównego narzędzia, a zamiast tego wywyższyć pokojową działalność, hodowlę, pracę, handel!"

Chan: „Śmiały jesteś mówiąc to, Kitajczyku, i może masz słuszność, że taki czas nadejdzie, ale jeszcze nie nastał, może jest to problem, z którym będą musieli się uporać moi wnukowie i ich synowie, ale mój świat nie może się zmienić i nie zmienię się, będę żyć i umrę jak prawdziwy mongolski wojownik!"

Je-lü Cz'u-c'aj: „A przecież, o Chanie, świat zmienia się nieustannie i zmian tych nie można powstrzymać, ty sam przyczyniłeś się do nich bardziej niż ktokolwiek inny, to tak, jakby oderwać głaz na szczycie góry, stacza się on i pociąga za sobą inne kamienie, aż urosną w lawinę, której nic nie może zatrzymać”.

Chan: „Dążyłem do tego, by połączyć wszystkich Mongołów i zjednoczyć ich w potężnym państwie, z czasem rozrzerzyłem moje dążenia na wszystkie blisko spokrewnione ludy, co więcej, także na odległe ludy, które chciały podporządkować się mocarstwu i wejść w jego skład, w ten

sposób stworzyłem jedność i spójnię w dużej części świata, co przyniosło za sobą moc i siłę, posłuch dla sprawiedliwych praw, dla *Jasy*, i możliwość rozkwitu i rozwoju”.

Je-lü Cz'u-c'aj: „Jest to zaiste wielkie dzieło, o Chanie, ale pomyśl, że wymagało ono także niesłychanej ceny, kosztowało życie niezliczone rzesze twoich Mongołów i innych wojowników, twoje wojska musiały znosić niewiarygodne wyrzeczenia i trudy, ale to wszystko jest niczym w porównaniu z tym, ile to kosztowało zwyciężone ludy, nieprzeliczone ludzkie żywoty, niepojęte cierpienia, zniszczone miasta, spustoszone kraje!”

Chan: „Wiesz równie dobrze jak ja, że taki jest bieg świata, jeśli moi wojownicy ginęli czy wytężali się do ostataka, to przeżywali także szczęście walki i umierania tak jak prawdziwi Mongołowie, uczucie dumy i nieprzeciężoności, odnoszenia zwycięstw i zdobywania bezprzykładnych łupów.

A pokonani musieli znosić skutki swej wrogości, poddani zostali twardym prawom wojny, złamałem ich opór, co nie udało się bez straty wielu żywotów ludzkich, zniszczenia wielu miast, spustoszenia rozległych części kraju, ale czy cokolwiek z tego mogłoby się wydarzyć bez poparcia Woli Nieba?”

Je-lü Cz'u-c'aj: „O Chanie, któż w końcu może rozróżnić między Wolą Nieba a powodzeniem silnego, dopóki silnemu sprzyja szczęście, idzie też za nim Wola Nieba, ale gdy tylko spotka się z porażką, Wola Nieba odwraca się od niego, któż może powiedzieć, gdzie jedno się zaczyna a drugie kończy?”

Chan: „Dajesz do zrozumienia, że Wola Nieba w rzeczy samej nie jest niczym innym jak tylko moją własną wolą, ale to jest przecież wzbudzeniem wątpliwości co do Nieba i bluźnieniem mu!”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Bynajmniej, o Chanie, gdyż twoja wola jest Wolą Nieba, dopóki służysz Niebu jako jego narzędzie, cokolwiek się zdarzy jest przecież Wolą Nieba, ale gdy tylko je zawiedziesz jako jego narzędzie, w tejże chwili odwraca się od ciebie przychylność Nieba.

Prawo zmian jest prawem samego Nieba i nikt ani nie może go uniknąć, z czego wynika, że bez względu na to, jak wiele wymaga podbijanie krajów i ujarzmianie ludów, zachowanie nowych państw i panowanie nad ich ludami wymaga jeszcze więcej, moc i strach nie wystarczają, śmierć i gwałt ponoszą klęskę, jedyne, co na dłuższą metę daje powodzenie, to zaspokajanie życiowych potrzeb ludów, jakie narastają w określonych okolicznościach i przez to skłanianie ich wewnętrznej woli do dążenia w tym samym kierunku co twój własny”.

Chan: „Ale moc może zwyciężyć przez wytępienie, śmierć może pokonać całe ludy przez zniszczenie ich!”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Nie pozostaje to jednak nigdy długo Wolą Nieba, wahadło wraca rychło znowu do poprzedniego położenia, ludy powstają na nowo i stawiają nowy opór, którego na dłuższą metę nie można przewyciężyć, wojna nie może toczyć się tylko ze względu na samą siebie, jako cel sam przez się, zwraca się ona wtedy przeciw tym, którzy ją toczą i niszczy siebie samą, prawdziwym zadaniem wojny jest tylko zachowanie i umocnienie pokoju”.

Chan: „Mówisz teraz jak prawdziwy Kitajczyk, mimo że tak długo żyłeś między Mongołami!”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Kitaj stale prowadził wojny, ale jednocześnie stale miał pokój, jedno nie wyklucza drugiego, lecz miało to jako założenie umiarkowane wojny na granicach albo jeszcze lepiej, tuż za granicami, i pokój kwitnący wewnątrz wielkiego państwa, taka jest sztuka szczęśliwej równowagi, która bardziej niż cokolwiek innego służy Woli Nieba”.

Chan: „Odnosi się to może do Kitajczyków, ale czy jest to przykład dla Mongołów?”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Mongołowie obalili tę równowagę, ale ustanowili nową, inaczej być nie może, a więc obowiązują takie same prawa!”

Chan: „Ale Mongołowie nie mogą nigdy stać się takimi jak Kitajczycy, to naród jeźdźców, nomadów, wojowników, nie umieją oni żyć w mieście i uprawiać ziemi i pracować w różnych zawodach, jest to przeciwne ich wolnej naturze,

oznaczałoby to zniewolniczenie ich i załamanie, to już raczej niech walczą do ostatka i padną jak prawdziwi wojownicy!”

Je-lü Cz'u-c'aj: „Wszyscy ludzie nie muszą żyć w taki sam sposób, wielu z nich nie umie tak żyć jak Mongołowie, nie są oni nomadami i nie są tacy wojowniczy, chcą żyć w miastach i wsiach, osiadli na roli, którą uprawiają, i wierzą swoim zadaniom jako rzemieślnicy, urzędnicy, uczeni, kupcy,

a zadaniem Mongołów pośród nich mogłoby być prowadzenie nieuniknionych wojen dla utrzymania pokoju, zachowywania jedności w wielkim mocarstwie za pomocą sprawiedliwych praw i mądrych rządów, tak aby była w nim praca dla wszystkich i właściwy dobrobyt, jak również pewna miara rozumu i sztuki życia”.

Chan: „Twoja mądrość jest jak zawsze godna pochwały, Je-lü Cz'u-c'aju i chętnie bym widział, aby moi potomkowie mogli osiągnąć to, co ty przedstawiasz, mój czas już wkrótce upłynie i mogę tylko położyć fundament przyszłego państwa, czyniłem to na swój sposób i muszę to robić dalej.

Teraz przychodzi wojna z Tangutami i żadne wątpliwości czy skrupuły nie powstrzymają mnie od doprowadzenia jej do końca, ale za państwem Si-sia leżą wielkie państwa kijańskie, Kin wciąż jeszcze nie jest ostatecznie pokonane, a jeśli Sung walczy dziś przeciw Kin, podobnie jak nasi wojownicy pod Boru, nie przeszkadza to temu, że musimy wkrótce zaatakować Sung, żeby je podbić i włączyć do naszego mocarstwa, zgodnie z naszą myślą, że tylko jedna wola może panować na ziemi jak i w Niebie, ale to już będzie sprawa moich potomków i tego dnia ja już nie ujrzę”.

Chan pogrąża się w myślach, daje znak Je-lü Cz'u-c'ajowi, że rozmowa skończona, że chce zostać sam.

Dla swoich potomków Chan każe zapisać:

To się odnosi do moich synów, wnuków i ich potomków, jak długo istnieć będzie mocarstwo Mongołów:

Nie zapominajcie nigdy, że jesteście z mojej krwi, wa-

szym obowiązkiem wobec mnie jest przynosić sobie samym zaszczyt.

Nie dopuście nigdy do tego, by rozlała się między wami krew, by wdarło się rozdarcie i rozdzwiek.

Mocarstwo musi pozostać jedno i niepodzielne, ażeby nie popadło w walkę między różnymi swoimi częściami i nie stało się łupem wrogów.

Tylko jedna wola może panować, ale może ją wykonywać wielu, którzy w jasnym zrozumieniu jej celu podporządkują się jej.

Wojna jest i pozostanie naczelnym zadaniem, by państwo mogło ostać się przeciw zewnętrznym i wewnętrznym wrogom, rozszerzyć się i umocnić.

Granice nie są nigdy pewne i ostateczne, dopóki istnieje świat poza nimi.

Zadaniem ludów podległych jest stosowanie się do woli władcy i wykonywanie wszelkich prac oraz krzewienie umiejętności, które są pożyteczne dla państwa.

Przy tym założeniu mają oni korzystać z pełnej sprawiedliwości i wszelkich przywilejów, jakie daje państwo.

Wojna ma zatroszczyć się o to, aby żaden lud nie urósł w zbytnią siłę i nie stał się niebezpieczny dla siebie samego i dla innych.

Wojna ma także zadbać o to, aby mężczyźni pozostali mężczyznami, a kobiety kobietami.

Brak umiarkowania w rozkoszach i trybie życia karze się sam, i mądry unika ich.

Idźcie za pokusami i próbujcie rozkoszy do pewnej granicy, ale nie pozwólcie im uzyskać władzy nad wami.

Rozkosze dążą do pozbawienia człowieka jego wolności, nie poddawajcie się ich niewolnictwu, lecz wyłamujcie się z niego w porę.

Ale nie pozwólcie też, by pokusy gromadziły się i stawały przemożne, żadnej rzeki nie można zatamować, by nie szukała sobie ujścia.

Także opór przeciw rozkoszom może stać się niewolnictwem, silny nie musi mu się podporządkować.

Istnieje pewna równowaga między przeciwieństwami, której nie można zbyt naruszyć, by nie upaść.

Gniew ma swoje zadanie u mężczyzny, ale równie wielkie zadanie ma opanowywanie gniewu.

Jeśli jest pod dostatkiem czasu, pozwólcie każdej decyzji dojrzeć i woli przejaśnić się, żadna wielka burza nie powstaje od razu.

Mężczyzna nie powinien płakać nad tym, co zrobił, czyni go to tylko słabszym i nie przydaje się na nic, ale może on zwrócić swoje niezadowolenie jako oczyszczający gniew przeciw sobie samemu, za to, że nie widział dostatecznie jasno.

Prawdziwy mężczyzna pozostaje skromny i sprawiedliwy w duszy, patrzy na siebie tak, jakby był kimś innym.

Władca musi być nieprzenikniony jak skała i wszystko obejmujący jak woda.

NA WIOSNĘ, W ROK po powrocie do Karakorum, Chan wyrusza stamtąd znowu, na wojnę z Tangutami, pozostawia katun Börte, by rządziła w jurcie władcy z synem Ögödejem u boku, i wyjeżdża na czele swej wybranej gwardii, na białych koniach, z sztandarem podniesionym na drzewcu, jak również wieloma innymi znakami polowymi, które trzepocą i szumią na wietrze.

Chan nie ogląda się za siebie ani razu, nikt nie może zauważyć, czy opuszcza on Karakorum ze zgryzotą czy z ulgą, czy przeczuwa, że już nigdy więcej tu nie wróci, czy też przeciwnie, oczekuje, że spędzi tu swoją starość, bez wątpienia pochłania go całkowicie nadchodząca wojna, ostateczna rozprawa ze starym zdradzieckim wrogiem.

Chan i jego gwardia jadą na wschód, do brzegów Kerulenu, gdzie pod najwyższym dowództwem Toluja zebrało się wojsko, sto pięćdziesiąt tysięcy wojowników z podwójną albo potrójną liczbą koni i większym niż zazwyczaj taborem, niesionym na wielbłądach i ciągnionym przez jaki, z obfitymi zapasami i ciężkimi machinami oblężniczymi.

Podczas tej wyprawy Chan ulega wypadkowi, właśnie gdy pędzi wyciągniętym galopem po trudnym terenie, koń potyka się i pada, sam Chan dostaje się pod konia, przygnieciony całym jego ciężarem, zagryza zęby od gwałtownego bólu i leży na ziemi, mimo że koń podniósł się już znowu, z trudem, nie opierając się na jednej nodze.

Chan nie pozwala ludziom by mu pomogli, choć zaraz go otoczyli zsiadłszy z koni, twarz jego pociemniała od bólu i z gniewu, który w nim się obudził, ludzie stoją z opuszczonymi rękami, nikt nie ośmiela się podejść do Chana, a on pokazuje na konia i czyni gest ręką.

Wtedy widzą, że koń złamał nogę i uświadamiają sobie, że Chan życzy sobie, by go zabić, jeden z nich wyciąga miecz i wbija mocno w pierś konia, potem wyrывa jeszcze żywe, tryskające krwią serce i podaje je Chanowi.

Ten bierze końskie serce w dłoń i ściska je mocno, zároveň żegnając się ze swoim koniem, jak i chcąc sobie pomóc w bólu, krew spływa mu między palcami i spada smużkami na ziemię.

Potem Chan mówi przez zaciśnięte zęby: „Podajcie mi innego konia, jedziemy dalej!”, i ludzie podprowadzają konia, wkładają nań siodło Chana i podnoszą go na nie, pot spływa mu strumieniami po twarzy, ale on naciska tylko głębiej kapelusz na czoło i rusza przed siebie na czele gwardii jak przedtem.

Jego bóle są bardzo ciężkie, ale je wytrzymuje, dopóki nagle nie poczuje, że nie może utrzymać moczu, który zaczyna mu ściekać po wewnętrznej stronie ud, ale nie zwraca na to uwagi, tylko jedzie uparcie dalej.

Gniew, który obudził się w nim i zwrócił przeciw niemu samemu, ustępuje z wolna refleksji: dlaczego musiało mu się to zdarzyć i to właśnie teraz, niezliczone razy spadał z konia w swoim życiu i nigdy przedtem nie odniósł żadnego szwanku, czy to ciężar starzenia się i sztywność członków były przyczyną, czy też był to czysty przypadek?

Ale czy istnieją przypadki, które nie znaczą coś więcej, nie ukrywają czegoś za sobą: czy ten nieszczęśliwy wypadek nie stanowi przestrogi, złowieszczej wróżby przed nadchodzącą wojną, a może wywodzi się z jakiejś resztki wątpliwości w nim samym, ukrytego rozdziwienia woli, i jest zatem w gruncie rzeczy samozawinionym nieszczęściem?

Wieczorem Chana muszą zdejmować z konia i wnieść do wozu z namiotem, który podjechał, ma wysoką gorączkę, pot spływa z niego wciąż, twarz płonie czerwienią i Chan ma silne pragnienie, w nocy śpi kiepsko i przewraca się z jękiem na posłaniu, rano wydaje rozkaz do wymarszu, ale sam nie wsiada na konia, pozostaje nadal w wolno toczącej się naprzód kibitce.

Pod dowództwem Toluja armia wyrusza znad Kerulenu

i ciągnie na południe przez Gobi szybkimi przemarszami, Chan i część jego gwardii posuwają się za nimi wolniej, ma on wciąż jeszcze bóle i gorączkę, które świadczą, że doznał jakichś wewnętrznych obrażeń przy upadku z konia, musi podróżować leżąc, wyciągnięty na posłaniu w kbitce.

Pot sypływa z niego ustawicznie, nie może utrzymać moczu, muchy roją się wokół niego i nie można ich wypędzić z namiotu, pragnienie dręczy go, ile by wypił, i członki zaczynają mu puchnąć, jest rozdrażniony i groźny jak zraniony drapieżnik, leży z zaciśniętymi zębami i zamkniętymi oczami, nie wydając nawet jęku, jak tylko w przerywanym, niespokojnym śnie.

Merkitka Kulan nie towarzyszy mu już tym razem i odmawiał posłania po nią, już i tak ledwie mógł wytrzymać z kilkoma młodymi Kitajkami, które stale były pod ręką w namiocie, umieją one niemal całkowicie zatrzeć swoją obecność, a równocześnie ostrożnie pielęgnują go, osuszają pot i mocz, zmieniają mu odzież, podają płyny do picia.

Chan nie myśli, żeby zawrócić, zaniechać wyprawy wojennej z powodu swego stanu, jego wola jest tylko zastrzona przez nieszczęśliwy wypadek i niepowodzenie, wojna musi być przeprowadzona za wszelką cenę, choćby go to miało kosztować życie, będzie w niej brał udział do ostatka, wymaga tego jego sława wojownika, Mongoła i najwyższego z chanów.

Walczy z mękami, z nieustannym bólem nad biodrami, który przy każdym wstrząsie kubitki przeszywa go jakby białymi piorunami, walczy też równie zajadle z gorączkowymi urojeniami, zamącającymi umysł wizjami i natrętnymi fantazjami, które przepelniają go, mglisto nierzeczywiste, a przecież tak narzucające się, męczące i trudne do przepędzenia.

Codziennie przychodzą posłańcy, najszybsi z gońców, którzy przynoszą Chanowi raporty od Toluja o postępach wojska i zachowaniu nieprzyjaciela: pierwsze starcie ma miejsce na granicy państwa Si-sia gdzie tangucki oddział,

złożony głównie z Tybetańczyków i Turków, zostaje pobity i w przeważającej części zniszczony.

Głównodowodzący Tangutów, przebiegły Tybetańczyk Aszagambu, ściga teraz swoje siły obronne do najlepiej umocnionych miast i unika, jak długo się da, spotkania z armiami mongolskimi w otwartym boju, Toluja stosuje zwykłą mongolską taktykę, szybko przełamuje umocnienia straszliwym szturmem albo zadawala się otoczeniem i izolowaniem miast, by śpiesznie podążyć dalej.

Drugie co do wielkości miasto tanguckie pada po ciężkich walkach, gdzie tarany, katapulty i miotacze ognia przełamują fortyfikacje, tryskające oleiste płomienie otwierają wyłomy, w które wdzierają się jeźdźcy Toluja między walące się mury, płonące belki i stopy poczerniałych trupów.

Równocześnie poprawia się stan zdrowia Chana, tak że może nakazać, by kibitka jechała dzień i noc bez przerwy, przy ustawicznych zmianach świeżych wołów pociągowych, podczas gdy drogę wyrównuje przed nim duży oddział roboczy, podkładający też maty w najuciążliwych miejscach, Chan może teraz także kazać wynosić się na platformę kibitki i stamtąd oglądać kraj, przez który przeciąga.

Jest to już Si-sia, znieprawione państwo, które ulega podbojowi, i Chan może cieszyć oczy widokiem spustoszonych i spalonych miast i wsi, stratowanych pól, zwalonych tam, wody, która wylała niosąc na sobie pływające zwłoki ludzi i zwierząt, kibitka przejeżdża wciąż obok osmolonych stosów gruzów, zwęglonych belek, psów, które uciekają wyjąc, stad świń tak obzartych trupami i ociążałych, że pozwalają jeźdźcom tratować się, usiłując gryźć pęciny koni.

Stopniowo Chan dogania Toluja i główną siłę armii, ma się już wtedy ku jesieni, drzewa liściaste zaczynają żółknąć, a noce stają się chłodniejsze, grzbiety górskie w oddali lśnią białą od świeżo spadłego śniegu, wódz Tangutów widzi w końcu konieczność spotkania armii Mongołów w otwartym starciu, zanim droga stanie otworem do Eri-kai, stolicy kraju, i także ona zostanie otoczona albo padnie przy szturmie.

Starcie odbywa się na równinie nad Huangho, gdzie wo-

da powodziowa zamarzła właśnie na lód, co sprawia, że konie ślizgają się, i czyni natarcia trudnymi do przeprowadzenia, Mongołowie owijają wtedy kopyta końskie szmatami albo skórą, tak że nie ślizgają się już tak bardzo, mogą więc teraz atakować Tangutów z przeważającą szybkością i siłą, zwalając ich z koni i przemieniając w bezbronną masę wydaną na rzeź, dymiąca krew spływa na lód i zamarza, pokrywając go ciemnoczerwoną powłoką.

Resztki armii Tangutów, które uszły z klęski wraz z wodzem Aszagambu, ścigane bez wytchnienia, zapędzone zostają między góry Alaszan, gdzie doścignięte ulegają zniszczeniu albo rozbiciu na małe grupki, te zaś znikają w górskich stromiznach, sam Aszagambu, pojmany i doprowadzony przed Chana, zmuszony zostaje paść przed nim na twarz jak długi, po czym skazany na śmierć za udział w zdradzie króla Tangutów i stracony ceremonialnie ze względu na jego zasługi jako wojownika.

Chan i wojsko zimują w państwie Si-sia, Erikaja jest oblegana, ale opiera się szturmom, Mongołowie zadowolają się wtedy trzymaniem miasta w okrążeniu i pozwalają, by głód zrobił swoje wśród zamkniętej w mieście ludności.

Chan nie wyzdrowiał zupełnie, ale czuje się lepiej w zimowym klimacie, korzysta także z odpoczynku oblężenia, próbuje nawet wsiadać na konia i odbywać krótkie konne przejażdżki, ale wtedy wracają bóle i rośnie gorączka, jego ciało jest obrzmiałe i ciężkie, każdy wysiłek sprawia, że spływa z niego pot.

Musi używać całej siły woli, by opanować pragnienie i zamiast tego przyjmować pokarm, co go przyprawia o wstręt, kobiety nie stanowią już dla niego żadnej pokusy, napawają go raczej niechęcią, ale wytrzymuje ich pielęgnację.

Wielu znachorów gromadzi się wokół niego i czyni największe wysiłki, by zaradzić na jego dolegliwość, ale nie mogą się z sobą zgodzić, na czym ona polega ani jak ma być leczona, próbują najrozmaitszych środków, otwierają żyły,

kłują szpilkami, zalecają kąpiele w bardzo gorącej albo bardzo zimnej wodzie, choroba jednak trwa i nie daje się przepędzić.

Nie mają też powodzenia szamani i cudotwórcy, którym pozwolono spróbować swojej zdolności na Chanie, żeby wypędzić złego ducha tkwiącego w jego ciele, palą oni mocne wonności na ognisku przed Chanem, wykonują tańce zaklinające przy biciu w bębny i dzikich okrzykach, trą jego ciało żywymi zwierzętami, a potem je zabijają, ale nic nie pomaga.

Chan nie oczekuje też niczego od wszystkich tych wysiłków, jakkolwiek nie chce, by przestano ich próbować, czuje coraz wyraźniej, że dni jego są policzone, że ciało, które służyło mu tak dobrze i wytrzymało tyle, teraz straciło swoją siłę i znajduje się w rozkładzie, pozostaje mu tylko umrzeć, jak na prawdziwego Mongoła przystało, bez lęku czy skargi.

Wczesną zimą przybywa goniec z zachodu z wieścią, że Dżoczi zmarł od choroby gdzieś na południowo-ruskich stepach. Chan przyjmuje tę wiadomość w milczeniu i zamyka się w jurtcie, przez trzy dni nie pokazuje się nikomu i oddaje się tylko żałobie: spada ona na niego zbyt gwałtownie i sam odbiera ją jako oznakę słabości, lekko haniebną i poniżającą.

Tak, Dżoczi nie żyje, jego pierworodny syn, ciemny Gość, który od samego początku otoczony był wątpliwościami i sam ich doznawał, brał je do siebie jako samozwątpienie, mąż często oporny, stający okoniem, ustawicznie w podróży, żeby udowodnić coś sobie i innym, ach, ten zły i nieszczęśliwy Dżoczi, samotny, ponuro zamknięty w sobie, boleśnie rozdarty, ten Dżoczi, którego bali się jego własni wojownicy, gdyż nie umiał wzbudzić ich oddania!

Dżoczi, najstarszy z synów Chana, jest także pierwszym z nich, który umarł, który odszedł przed ojcem na inny świat, ale nie jako wojownik poległy w boju, zmarł od choroby, przedwcześnie, bez blasku, podobnie jak sam ojciec niedługo umrze, tak, o ile nieprzewidziane szczęście nie pozwoli mu paść w walce podczas wyprawy wojennej.

Dżoczi jednak też nie stronił od boju, jego życie długo było jedną wyprawą wojenną, walkami, które toczyły się nieprzerwanie uderzeniami, pościgami, pozornymi odwrotami, które przemieniały się w nowe natarcia, stale rosnącymi podbojami: to pośród tych walk Dżoczi nagle zachorował i zmarł, w doraźnie rozbitym obozie.

Nie, mówi sobie Chan, chwale syna jako wojownika nie nie brakuje, nigdy nie przyszła od niego wieść o klęsce, ci liczni, którzy wątpili w niego, podobnie jak on sam wątpił w siebie, nie mieli do tego żadnego powodu, także Chan sam często czuł się niepewnie wobec niego, gdyż Dżoczi zbyt wyraźnie chciał kroczyć własnymi drogami i iść za własną wolą, i choć nie był otwarcie i bezpośrednio krnąbrny wobec ojca, pozostawiał jednak uczucie niepewności.

Chan przypomina sobie, jak musiano go sprowadzać na wielki kurułtaj nad Syr-darią, jak w końcu Dżoczi przybył tam, bardziej oczekiwany niż ktokolwiek inny i miał z sobą nieporównany dar, sto tysięcy koni z Kipczaku: wtedy katastrofa była blisko, w gniewie płynącym z rozczarowania Chan postanowił już, że Dżoczi ma przypłacić życiem swoje nieposłuszeństwo, ale jak ciężko mu było na sercu!

I w całej tej żałobie z powodu śmierci syna Chan odczuwa jednocześnie pewną ulgę: niebezpieczeństwo związane z tym kłopotliwym synem minęło, nie może on już zwrócić się przeciw ojcu i zranić go w uczuciach, zawieść jego przywiązanie, i jego obecność nie zagraża już spójni między synami, którzy mają przyjść po nim, w ten sposób wszystko staje się prostsze i łatwiejsze.

Czwartego dnia Chan otwiera znowu jurcję i wychodzi z niej, jakby nic się nie stało, ogłasza swoją decyzję ustanowienia Batu, syna zmarłego, na jego miejsce, z wszystkimi uprawnieniami najwyższego wodza nad północno-zachodnimi częściami mocarstwa.

Chan leży w swojej jurcji i nagle zauważa, że jest ona przezroczysta, światło wdziera się do niej tak, jakby gruba płachta wojłoku była tylko cienkim welonem, nie zatrzy-

muje nawet ptaków, które wlatują teraz przez nią do wnętrza, a ptaki te chichocą niemal po ludzku, wyzywająco, szyderczo, widzi ich długie języki w otwartych dziobach jak czerwone płomienie,

ten chichot męczy go, przeszywa go tak, że Chan wierci się na łożu, ale nie ma siły wstać, leży jak przykuty, nie mogąc nawet wezwać nikogo, ptaki dalej przelatują przez namiot i skrzeczą coraz bezczelniej, a za ptakami z dziobami i płomiennymi językami przylatują ptaki nocne i drapieżne, czarne, z nastroszonymi piórami albo na pół gołymi ciałami, i zamiast ptasiej głowy mają one małe skurczone twarze ludzkie, zakrzywione nosy, wyłupiaste oczy, długie usta, rozdziawione w szyderczym, chrapliwym śmiechu,

przylatują wolno na ugiętych skrzydłach, siadają trzepocąc jakby na niewidzialnym drzewie, chwytają szponami niewidzialne gałęzie, siedzą tam i skrzeczą, pochylają się i chichocą, jakby wymiotowały, jest ich coraz więcej i więcej, potężna korona drzewa usiana ptakami, które podpełzają wokół niego, ptakami, które wspinają się jak jaszczurki, czepiają się i zwisają skośnie albo głową na dół, śmiejąc się swymi obrzydliwymi małymi twarzami, pomarszczone jak płód, niedonoszone, jakby wyjęte z łona matki na długo przed czasem, nago czerwone, jakby odarte ze skóry albo sparzone,

ale kiedy stało to się nie do zniesienia, ptaki płoszą się od czegoś i zaczynają ulatywać, trzepocąc i machając skrzydłami, odlatują skrzecząc i chichocąc, po babsku, w duszącym odorze gnijącego mięsa, a Chan słyszy teraz bębnienie o ziemię, głucho dudnienie, które staje się coraz to głośniejsze, twardsze, jak gdyby tętent niezliczonych kopyt końskich o wysuszoną ziemię, dudnienie, które coraz bardziej zaczyna przypominać chichot, toczące się kaskady kamienne hałaśliwego śmiechu,

i oto te stada koni są już nad nim, przelatują nad nim jak burza ciał i nóg, i kopyt, z rozwianymi grzywami i ogonami, które iskrzą się jak ognie, ba, wnet zajmują się ogniem i zmieniają w długie płomienie, jurta nie stanowi już dla niego osłony większej jak porwana pajęczyna, i Chan widzi

teraz rozwarte pyski końskie z tak bliska, że piana z nich pryska mu na twarz, a z tych pysków rozbrzmiewa chichot, podobny do rżenia koński śmiech, który wzmagą się, aż staje się dzikim rżeniem, gniewnym i zarazem szyderycznym,

i nagle głowy końskie stały się kobiecymi twarzami o dużych, na pół otwartych ustach, które śmieją się głośno, z ostrymi zębami albo rzadkimi pniakami zębów w czerwonych dziąsłach, śmieją się przeciągle, uparcie, chwilami niemal ze szklanym podźwięciem, jakby przetaczały się masy ogromnych szklanych paciorków,

a teraz są to głowy, które toczą się po ziemi, wirując jak zwiędłe liście, szczękając przy zderzeniach z sobą, śmiejąc się także krwawymi zębami i językami, z czarnymi dziurami zamiast ust, przegniłe i zniszczone, ale wciąż jeszcze śmiejące się niepowstrzymanie głowy, które żyją po śmierci i śmieją się z wszystkiego, z niego, Chana, z władzy i panowania, z wojen i walk, z niebezpieczeństwa i strachu, z życia i śmierci, z wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego,

nic tylko ten chichot gdzieś, śmiech jak burza nad światem, szalejąca, wszystko zmiatająca,

i śmiech ten przechodzi w ogień, który się śmieje, tańczące płomienie, które się śmieją, podskakują ze śmiechu i robią długie susy, przelatują nad światem, przelatują nad równinami, przelatują nad górami, wypijają jeziora i rzeki, pochłaniają i spalają na węgiel lasy w pośpiechu, zostawiają wszędzie płonące miasta, stada koni i bydła pędzą płonąc, zwalają się i czernieją, bloki kamienne płoną rozżarzone i pękają, jurty płoną rozdmuchiwane przez wiatr jak świece albo wędną czerniejąc jak kwiaty, ogień śmieje się ostatnim śmiechem, płomienie w śmiejącym się tańcu nad światem...

Na wiosnę Erikaja jest nadal obleżona i stawia zajadły opór, ale Chan nie czeka na upadek miasta, zaczyna przesuwać główne siły na południe, ku rzecznej dolinie nad górną Wej.

Są to okolice graniczne, gdzie spotykają się państwa

Si-sia, Kin i Sung, i stamtąd armie Chana mają możliwość uderzania w różnych kierunkach, Tangutów uważa się za już pokonanych i chodzi teraz o to, by wyrzucić nacisk na Sungów, zapewnić sobie swobodny przemarsz przez Honan, położoną najbardziej na południowym zachodzie prowincję Kin, i poddać Kin rozległemu manewrowi okrążającemu.

Ale zanim ten plan daje się przeprowadzić, przybywa posłaniec od króla Tangutów z prośbą o pokój, głód i wzmagający się upał złamały w końcu opór w oblężonej stolicy, Chan przygotowuje rychło układ pokojowy, który przewiduje, że Erikaja ma zostać oddana bezwarunkowo i że sam król ma się w ciągu miesiąca stawić u Chana, by zaświadczyć o poddaniu się.

Tymczasem stan zdrowia Chana ulega pogorszeniu, letnie upały przyczyniają się do nasilenia cierpień i gorączki, zdaje on sobie sprawę, że zbliża się koniec i zwołuje najwyższych dowódców z Tolujem na czele, na pół leżąc, z twarzą jak zniszczona, lecz wciąż jeszcze niezgłębiona maska, przyjmuje ich i powiadamia kilkoma słowami o swojej ostatecznej decyzji: Ögödej ma nastąpić po nim jako najwyższy chan nad mocarstwem Mongołów, ale Börte ma rządzić, dopóki nie zdąży się zebrać kurułtaj i wybrać Ögödeja według wymogów prawa.

Chan postanawia dalej, że zdradzieckiego króla Tangutów należy zgładzić, gdy przybędzie do obozu, jego lud zamienić w niewolników, a Erikaję zrównać z ziemią, śmierć Chana należy zataić, dopóki to nie zostanie dokonane, ażeby opór wroga nie rozpałił się na nowo.

Wojnę z państwem Kin należy prowadzić bez przerwy, aż do całkowitego podboju i podporządkowania kraju, Toluj ma wtargnąć przez Honan i spotkać armie Boru z północy w miążdżącym manewrze okrążającym, a potem przyjdzie czas, by zdecydować, jak postąpić z państwem Sung na południu, główna rzecz to nie dawać wrogom Chana wytchnienia skutkiem jego zgonu.

Toluj klęka przed umierającym Chanem, a ten wyciąga do niego rękę i potwierdza swoją poprzednią decyzję, że Toluj ma panować nad wszystkimi ludami na wschodzie,

Czaadaj ma sprawować władzę w krajach zachodnich, ale obaj muszą słuchać Ögödeja jako najwyższego chana i podporządkować się jego woli, we wszystkim stosować się do przykazań *Jasy* i unikać wewnętrznych sporów, wszelkich przeciwieństw, które mogą prowadzić do rozłamu państwa.

Troska o stan mocarstwa nie opuszcza Chana aż do ostátka, ale samą śmiertelną walkę stacza samotnie, wśród kilku słuźebien, wewnątrz zamkniętej jurty, i nic na zewnątrz nie daje znać o jego śmierci, żadne biadania, żadne ceremonie ani opuszczanie sztandarów czy znaków bojowych.

Jego ciało złożone zostaje w połączonej żelaznej skrzyni, którą zamyka się starannie, a przed jurtą stoją dzień i noc podwojone straże.

Dzieje się to w sierpniu, w roku Świni, tego samego zwierzęcego znaku, pod którym Chan urodził się pięć dwunastoletnich okresów wcześniej, chrześcijaństwo pisze wtedy Anno Domini 1227.

Król Tangutów stawia się ze swoją świtą w obozie Mongołów, przyjęcie jest ceremonialne, ale gości nie prowadzą do białej jurty Chana z podniesionym sztandarem, lecz do innej, przystrojonej na ucztę.

Goście siadają przy nakrytym stole, uroczysty nastrój zaczyna ulegać rozluźnieniu, gdy wychylają pierwsze puchary w oczekiwaniu na Chana, ale wtedy dowódcy mongolscy wyciągają wszyscy naraz miecze i ścinają króla i jego świtę, tak jak postanowił zmarły Chan.

Potem odbywa się śpieszny wymarsz, podróż z powrotem do Karakorum ze zmarłym władcą spoczywającym w trumnie, w jurcie załadowanej na kibitkę, gwardia przyboczna Chana odprowadza ją pod dowództwem Toluja, podczas gdy reszta wojska zostaje pod jego zastępcą, by kontynuować walki.

Kondukt żałobny przeciąga w milczeniu, na szerokim na całe mile froncie, i wojownicy zabijają bez pardonu wszystko, co znajdzie się na ich drodze, ludzi i zwierzęta, a także równają z ziemią zabudowania, pustoszą i palą pola: jest

to wyraz żałoby i daje to ulgę wojownikom, jest to równocześnie objaw czci dla Chana, w wierze, że wszyscy, którzy zostaną zabici podczas jego konduktu pogrzebowego, pójdą za nim do królestwa śmierci, by mu tam służyć.

Dopiero gdy kondukt opuścił wrogie kraje i doszedł do własnych pustynnych okolic, rozbiegają się gońcy na wszystkie strony, by obwieścić o zgonie Chana, zaczynają się żałobne pienia i biadania, rozlegają się bębny śmiertelne, po czym pochód trwa dalej w stronę Karakorum.

Żałobne rzesze wychodzą im na spotkania i przyłączają się do pochodu, gromady jeźdźców przybywają z Karakorum i zsiadają z koni, by rzucić się na ziemię, po której przeciąga wóz ze zmarłym, na skraju miasta trumnę zdejmują z kibitki, niosą ją dalej na barkach wojownicy, żałobne biadania zagłuszają dudnienie bębnów, wszędzie ludzie rzucają się w proch, na ziemi rozpościerają odzież i futra i dywany różnego rodzaju na drodze, którą przeciąga kondukt z trumną mieniającą się od złota w słońcu.

Börte z Ögödejem u boku witają zmarłego siedząc w jurcie władcy i padają na kolana przy trumnie postawionej przed nimi, następnie otwarte zostaje wieko i obok trumny przesuwa się szereg starych towarzyszy bojów Chana, by rzucić ostatnie spojrzenie na zmarłego władcę.

Trumnę wnoszą ponownie z Karakorum i wkładają na kibitkę, kondukt udaje się dalej w dolinę rzeki, gdzie Chan ma zostać pochowany w gaju modrzewiowym, który sam wybrał dla siebie.

I WSZĘDZIE, gdzie przeciąga żałobny kondukt, śpiewacy intonują pieśni pożegnalne dla Chana:

Śmiertelna jurta toczy się, koła zgrzytają, woły stękają, gdyż wewnątrz spoczywa Chan.

Pustynna równina rozlega się echem wołań, a góry na wszystkie strony powtarzają: Wielki Chan nie żyje!

Trawa w dolinach rzek i nadbrzeżne trzciny szumią i szepcą: Wielki Chan nie żyje!

W krzyku dzikich gęsi, na skrzydłach szarańczy roznosi się po świecie wieść: Wielki Chan nie żyje!

Gońcy pędzą na spienionych koniach i dzwonią w swoje dzwoneczki: Wielki Chan nie żyje!

Tak, wielki Chan umarł, największy z wszystkich Mongołów nie żyje, ale jego moc trwa nadal.

Woda zatrzymuje się w swym biegu, wysokie sosny spadają w przepaści i ziemia skręca się w bólu.

Zwierzęta, na które polował, konie, których dosiadał, zatrzymują się wśród cieni, by go wspominać.

Dymy, które unoszą się z jurt, kłaniają się, a wiatr przychodzi z zapachem róż odświeżonych przez deszcz.

Wielki Chan nie żyje: biadania, biadania z powodu jego śmierci i radość, radość z powodu tego, że istniał!

Był jak chmura na burzę naładowany Wolą Nieba i ośniewał cały świat swymi błyskawicami.

Nigdy przedtem żaden mąż nie sięgnął na swoim koniu tak daleko na zachód i tak daleko na wschód słońca.

Jako niezrównany zwycięzca stał wobec bezkresnego morza i niebotycznych gór.

Zgiął najskrajniejsze końce świata ku sobie, tak jak napina się łuk niemal aż do granicy pęknięcia.

Połączył największe różnice jak most potężniejszy niż tęcza.

Niszczył i tworzył, brał i dawał z jednakim rozmachem, nikt i nic nie mogło mu się oprzeć, a jego sprawiedliwość była niewzruszona jak Wola Nieba.

Był jak nikt inny mścicielem krzywd i rozdawcą nagród za wierność, promiennym słońcem Mongołów.

Jego miecz był jak piorun z jasnego nieba, jego sztuka wojenna spotkaniem rozżarzonego żelaza z najczystszyym lodem.

Przychodził z wichrem i rzał jak dziki koń, ale był też czystym dniem zimowym z dymami wznoszącymi się prosto do nieba.

Swoją mądrością otwierał serca i wdzierał się do trzewi, tłumaczył wszelkie ukryte znaki jak największy z szamanów.

Rozszerzył świat i przygotował miejsce na to, co musi się stać, na to, co musi powstać.

Wprowadził swój lud przez bramę Przyszłości, skąd nie ma już powrotu.

Wielkie czasy, potężne boje, dźwięk cięciw, świst strzał i kwaśny odór rozlanej krwi!

Dla swego ludu był tarczą, która go unosiła, włócznią, która miotła go do przodu.

Dla swoich wrogów był wielkim drzeniem, które wdzie-rało się aż do snów i objawień.

Tak, był wielkim drzeniem dla krajów, które puchły w swoim gnoju i tłuściały w dymach, dla leniwych ludów w ich miastach z kamienia.

Samo drzewo świata drżało od kroków wielkiego Chana, drżało jak żelazny dąb z miedzianymi liśćmi.

Na wszystkie strony świata: poddanie się albo zagłada, żądanie wierności jako zastaw życia.

I każdy bunt zniweczony w większym buncie niczym płomień w szalejącym pożarze.

Jego chwała mieszka w bezkresie i bezmiarze, jego jurta jest jak własne sklepienie Nieba.

Ani plamka zapomnienia nie może zaciemnić jego pamięci, tego orła, który przeleciał nad ziemią.

Wielki Chan nie żyje, ale pozostali jego następcy, synowie orła, którzy spadają z wyżyn.

Także w królestwie śmierci wielki Chan będzie władcą, psy otchłani nie zdołają mu nic zrobić.

W swym śnie będzie obejmował swoje mocarstwo, posiadał wszystko i darowywał wszystko, najpotężniejszy z wszystkich z pustymi rękami.

Prawdziwy nomada, jasny jak źródło, skromny jak trawa na wietrze, braterski, szczodry, niezawodny!

A jednocześnie najstraszliwszy z Mongołów, który sprawił, że drzewo świata długo będzie drzeć jak żelazny dąb z miedzianymi liśćmi!

Wielki Chan nie żyje, wielki Chan nigdy nie umrze!

Tak śpiewają mongolscy pieśniarze, i tak będą nadal śpiewać przez wiele pokoleń.